

OBRONA BIESZCZAD
Dzikiem puszczy Karpat
grozi rabunkowy wyręb

POZORY DOZORU
W polskim więzieniu
wszystko jest możliwe

PEKA BRYTANIA
Brexit: nie ma wyjścia
po angielsku

WYWROTOWIEC
Formy i sztuki
Witkacego

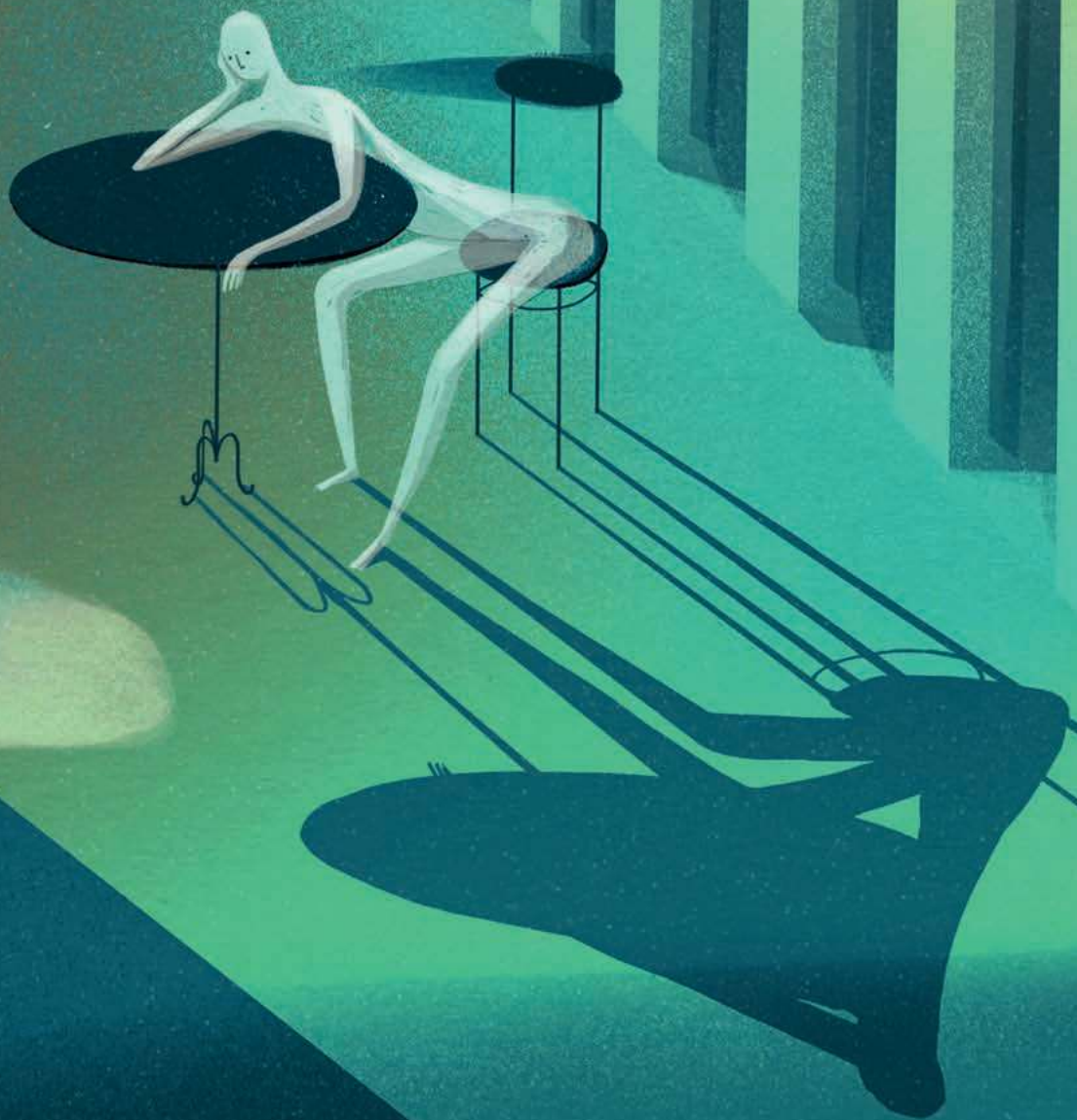
Kraków 15 września 2019 nr 37 (3662) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Głowa po urlopie

JAK DZIAŁA NUDA
I JAKI Z NIEJ POŻYTEK



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425





WSZYSTKIE STWORZENIA W NAJLEPSZYCH TEKSTACH

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

WYDANIE SPECJALNE

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl Kraków 24 lipca 2019 nr 3 (133)
cena 19,90 zł (w tym m. vat)

ZWIERZENIA ZWIERZĄT



Miłosz JASKÓŁKA

Nowosielski SŁOWIK Stasiuk

Łozówka Tokarczuk DELFIN Fernandez PIES

Matsuzawa KOT Godfrey-Smith KOŃ Strycker KROWA de Waal LIS Boniecki

MOTYL Hołownia MUCHA Jaromi TYGRYS Musiał NOSACZ Antas OŚMIORNICA

Kruszewicz GORYL Kruczyński DŻOŻOWNICA Zajączkowska AMEBA Brożek RYBIK

Hohol DERKACZ Kwiatek SZYMPANS Lamża TRZCINNICZEK Robiński

PAW GOC PSZCZOŁA Łubieński WILK Olszewski NIEDŹWIEDŹ Pluszka



„Tygodnik Powszechny” i Nowy Teatr zapraszają na pierwsze spotkanie z cyklu **TrzePak w Nowym**

W dyskusji wokół wydania specjalnego „Zwierzenia zwierząt”
udział wezmą Urszula Zajączkowska, Łukasz Lamża i Adam Robiński

Do zobaczenia we **wtorek 24 września o godz. 19.00**
w Nowym Teatrze przy ul. Madalińskiego 10/16 w Warszawie.

Liczba miejsc ograniczona. Bezpłatne wejściówki dostępne na powszech.net/trzepak

**NOWY
TEATR**

Wydanie specjalne do kupienia tylko w sklepach z dobrą prasą
oraz na powszech.net/zwierzenia

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO**

KS. ADAM

Boniecki: Drzewa i pamięć

ROZMOWĘ ADAMA ROBIŃSKIEGO Z ANNA Błachno, którą publikujemy w tym numerze, przeczytałem jeszcze w Bieszczadach, gdzie uczestniczyłem w wakacjach Klubów „Tygodnika Powszechnego”. Opisany w niej oddolny ruch społeczny Dzikie Karpaty budzi radość – ten wyjątkowy kawałek Polski zyskał żarliwego opiekuna. Budzi też szacunek, bo tego rodzaju społeczna działalność nie zawsze cieszy się zrozumieniem i miewa zaciętych wrogów.

Inicjatywa Dzikie Karpaty chce zapobiegać rabunkowej gospodarce zagrażającej ostańcom Puszczy Karpackiej. Sam kilkakrotnie słyszałem od turystów o wycince starych drzew w rejonach mało odwiedzanych.

Że Bieszczady są piękne, nie trzeba nikogo przekonywać. Ale poza pięknem i bogactwem przyrody przechowują ślady powojennej tragedii. Co chwila trafia się tu na pozostałości kwitnącego niegdyś życia, nikt nie resztki spalonych wsi i wspomnienia spalonych cerkwi. Czasem jedynym śladem dawnego życia jest cmentarz, na którym nikt już nie odwiedza grobów, już niemal niewidocznych, zwykle anonimowych.

Na jednym z nich nieznana ręka umieściła kartonik z wierszem: „Bezimiennie duchy krążą cichuteńko nad zapadniętymi bez krzyża grobami, czekając wędrowca krótkiej modlitwy, by znów się ułożyć na wieczny spoczynek tak zasłużony, a tak sponiewierany. Więc przystań, przechodniu, pochyl pokornie głowę, nad nimi się ulituj, złóż w myślach prośbę, lecz szczerą modlitwę, by ziemia im lekka była. Niech duchy tej ziemi po latach tułaczki wiodą byt wiekuisty tak, jak Pismo mówi...”

Kartka na zapomnianym nagrobku w Jaworcu nosi datę 24 marca 2001 r. W 1938 r. wioska liczyła 91 zagród, 647 mieszkańców. Dziś Jaworca nie ma. Częściowo zrekon-



struowano jeden dom, spalony w 1947 r. Należał do rodziny Kaczorów. Jak wszystkich mieszkańców wsi wysiedlono ich, spalono wszystkie domy i cerkiew. Odnajdywaniem i zabezpieczaniem tych śladów w Bieszczadach zajęli się m.in. wolontariusze Stowarzyszenia Magurycz oraz Stowarzyszenia Rozwoju Wetliny. Są napisy z objaśnieniami w dwóch językach, po polsku i po ukraińsku.

Ochrona drzew i ochrona pamięci... W naszej grupie jest pani Dorota Nalepka, profesor biologii. Stosując analizę pyłkową, bada przekształcenia roślinności przez ostatnich 15 tys. lat (po ustąpieniu ostatniego zlodowacenia), wywołane czynnikami naturalnymi i działalnością człowieka na północ od Karpat. Pytam, czego z jej punktu widzenia potrzebują Bieszczady. Wylicza: najpierw przestrzegania już obowiązującego prawa. Kładzenia nacisku na zabudowę zwartą, a nie rozproszoną wzdłuż dróg i brzegów rzek. Wprowadzenia zakazu wjazdu dla pojazdów spalinowych i hałaśliwych. A z perspektywy swojej specjalności jako pilne wymienia: poszerzenie otuliny parku narodowego, rzetelny nadzór nad rezerwatami, zakaz wprowadzania nowych, inwazyjnych gatunków (jak np. akacja, dąb czerwony, sumak), powstrzymanie sadzenia nowych świerków, szczególnie obcych (np. syberyjskich), tui, zwłaszcza jako żywopłotów, promowanie zamiast nich jodły – ale nie gatunków egzotycznych. Marzą jej się edukacyjne tablice ze zdjęciami ważnych roślin i objaśnieniami.

Wyjątkowość Bieszczadów tworzyła się przez wieki, ale tej wyjątkowości można je szybko pozbawić, a tego się już nigdy nie naprawi. Szanujmy więc Bieszczady, szanujmy nasze dzikie Karpaty. Drugich takich nie mamy i nie będziemy mieli. ©P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



TP

Już w następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego” drugi tegoroczny numer Magazynu Conrad, a w nim sylwetki wybranych gości tegorocznej edycji Festiwalu Conrada, największego wydarzenia literackiego w Polsce i jednego z największych na świecie:

CHARLOTTE GORDON, ZYTY RUDZKIEJ, DIDIERA ERIBONA I DMITRIJA BYKOWA.

Oprócz tego prezentacja pasma berlińskiego, w ramach którego odbędą się dyskusje, premiery książkowe, pokazy filmowe i wystawy.

Zapraszamy do lektury i do Krakowa w dniach 21-27 października!



Festiwal Conrada jest laureatem EFFE 2019-2020 – znaku jakości Europejskiego Stowarzyszenia Festiwali (EFA) dla wybitnych festiwali artystycznych.





22 Dumni, pewni, niegotowi

OLAF OSICA

Nowoczesna polityka zagraniczna ma niewiele wspólnego z tradycyjnie rozumianą dyplomacją. Jest raczej wypadkową decyzji stricte krajowych.

42 Widmo rewolucji krąży po Pekinie

JAN GÓRSKI

Jeśli mieszkańcy Hongkongu zaniechają walki, staną się częścią ściśle kontrolowanego społeczeństwa i będą zmuszeni zapomnieć o wolności.

45 Zbiorowy ruch oporu

ROZMOWA

Z MIESZKANKĄ HONGKONGU:

Dla nas, zwykłych obywateli, policjanci są jak terroryści.



62 Tortury przy podwieczorku

ELIZA KĄCKA

Stanisław Ignacy Witkiewicz nie tylko zdobył zasłużoną pośmiertną sławę, lecz stał się nawet ikoną popkultury. Wiemy już o nim sporo. Nie wiadomo tylko, kim był naprawdę...



27 Niech będzie dziko

Z ANNA BŁACHNO
Z INICJATYWY DZIKIE
KARPATY ROZMAWIA

ADAM ROBIŃSKI:

Dopóki najstarsze lasy w Bieszczadach nie będą pod odpowiednią ochroną, musimy patrzeć leśnikom na ręce.



32 Kędy wieje duch

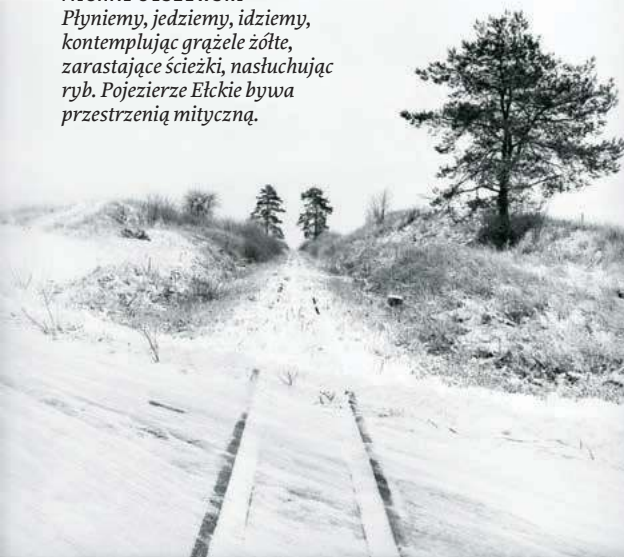
MARCIN CHODUŃ

W ruchu odnowy charyzmatycznej do niedawna widziano wiosnę w Kościele katolickim. Dziś nie brakuje głosów, że może on być zagrożeniem.

78 Dni halcyjońskie

MICHAŁ OLSZEWSKI

Płyniemy, jedziemy, idziemy, kontemplując grążele żółte, zarastające ścieżki, nasłuchując ryb. Pojezierze Elckie bywa przestrzenią mityczną.



6 Premier bez mocy
DARIUSZ ROSIAK

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Dumni, pewni, niegotowi
OLAF OSICA

**25 Przymknięte oko
sprawiedliwości**
MARIUSZ SEPIOŁO: *W polskim
więzieniu wszystko jest możliwe*

27 Niech będzie dziko
ROZMOWA Z ANNĄ BŁACHNO

■ ■ **WIARA**

32 Kędy wieje duch
MARCIN CHODUŃ

36 Strażacy Franciszka
EDWARD AUGUSTYN: *Nowe
nominacje wzmacniają
wśród kardynałów grupę
hierarchów „z peryferii”*

38 Klucz, nie miecz PIOTR
SIKORA: *Jaki sens krzyża mają na
myśli organizatorzy masowej akcji
„Polska pod Krzyżem”?*

■ ■ **ŚWIAT**

**42 Widmo rewolucji krąży
po Pekinie** JAN GÓRSKI

45 Zbiorowy ruch oporu
ROZMOWA Z MIESZKANKĄ
HONGKONGU

46 Tajemniczy bracia
PIOTR TARCZYŃSKI: *Dwaj
miliarderzy, bracia Koch,
odegrali wielką rolę w polityczno-
-kulturowej przemianie w USA*

TEMAT TYGODNIKA



JOANNA RUSINEK

12 Horror nicnierobienia

ŁUKASZ ŁAMŻA

Znudzony mózg przechodzi katusze.
Ale nuda to też wyzwanie, które pobudza
go do kreatywności.

15 Jak się nudzić zdrowo

ROZMOWA Z PIOTREM POPIKIEM,
NEUROPSYCHOFARMAKOLOGIEM:

Zdolność do nicnierobienia, z pozoru będąca stratą
czasu, ma działanie ochronne dla mózgu. Sprząta
umysł i w tym sensie bywa twórcza.

76 Nagroda Literacka Gdynia 2019

■ **FELIETONY** ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER 41 SZYMON HOŁOWNIA

53 WOJCIECH BONOWICZ 75 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: JOANNA RUSINEK

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŻMIŃSKI

**49 Pięć milionów szkockich
głosów** PATRYCJA BUKALSKA:
*W Szkocji nasilają się tendencje
niepodległościowe*

50 Mały kraj na małym wyspie
ROZMOWA Z IAINEM
MACWHIRTEREM, SZKOCKIM
KOMENTATOREM: *Rozwiązaniem
dla przyszłości Wielkiej Brytanii
mógłby być federalizm*

■ ■ **HISTORIA**

54 Sosabowski miał rację
ROZMOWA Z ANTONYEM
BEEVOREM, HISTORYKIEM:
*Alianci potraktowali polskiego
generała w oburzający sposób*

■ ■ **NAUKA**

58 Przeszczep z mitologii
BARTOSZ KABAŁA: *Czy będziemy
w przyszłości hodować ludzkie
narządy w organizmach zwierząt?*

■ ■ **KULTURA**

62 Tortury przy podwieczorku
ELIZA KĄCKA

**66 Skóry, które z siebie
zdejmują** PIOTR KOSIEWSKI:
*Wraz z powszechnym uznaniem
twórczość Abakanowicz
przestawała budzić emocje*

70 Sennik antropocenu ADAM
ROBIŃSKI: *O Thomie Yorke'u
i Radiohead*

72 W piwnicznej izbie ANITA
PIOTROWSKA o filmie „Parasite”

74 Próba pana Deutscha LEKTOR
*o książce Macieja Hena „Deutsch
dla średnio zaawansowanych”*

■ ■ **WAKACJE**

78 Dni halcyjońskie
MICHAŁ OLSZEWSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Woś się jeży: Sprzątanie po Buzku**

Wprowadzenie w Polsce emerytury obywatelskiej jest nieuniknione.
Nawet ono jednak nie wystarczy – **RAFAŁ WOŚ** apeluje, by zacząć
przyzwyczajając się do myśli o powrocie do emerytalnej solidarności.
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ **Kryzys klimatyczny – serwis specjalny**

Tematu klimatycznej katastrofy nie da się już dłużej ignorować
– w **SERWISIE SPECJALNYM** poruszamy na bieżąco
najważniejsze zagadnienia związane z naszą planetą.
tygodnikpowszechny.pl/kryzys-klimatyczny

➔ **Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA**

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny



PREMIER BEZ MOCY

REUTERS / FORUM

Jakkolwiek rozwinie się sytuacja w Wielkiej Brytanii, nie ma w tej chwili perspektyw na rozwiązanie brexitowego kłinczu.

DARIUSZ ROSIAK

PLAN BORISA JOHNSONA BYŁ PROSTY. Najpierw mocny przekaz: niech się wali i pali, Zjednoczone Królestwo opuszcza Unię Europejską 31 października – z umową albo bez. Wcześniej premier chciał ogłosić serię reform społecznych kończących politykę zaciskania pasa i rozpiścić wybory. W ten sposób jego Partia Konserwatywna pozbyłaby się zagrożenia ze strony Partii Brexit (bo sama stałaby się ugrupowaniem jednoznacznie brexitowym) i pogrzebała laburzystów pod wodzą Jeremy'ego Corbyna, który nie może się zdecydować, czego chce w sprawie brexitu, a w dodatku nawet przez potencjalnych wyborców Partii Pracy jest uznawany za leninowskiego mastodonta, nienadającego się na premiera.

Miniony tydzień wywrócił plan Johnsona. Posłowie przejęli kontrolę nad procedurą brexitu, następnie przyjęli ustawę wykluczającą wyprowadzenie kraju z Unii bez „umowy rozwodowej”, a na koniec odrzucili wniosek premiera o wcześniejsze wybory. Opozycja nie wierzy Johnsonowi – boi się, że datę wyborów przesunąłby on tak, by doszło do twardego brexitu. Teraz, jeśli do 19 października rząd nie zawrze z Unią nowej umowy i nie zostanie ona ratyfikowana przez parlament, premier będzie musiał poprosić Brukselę o przesunięcie terminu brexitu do końca stycznia. Johnson został więc praktycznie ubezwłasnowolniony przez posłów. I to nie tylko członków opozycji, ale także buntowników z Partii Konserwatywnej – aż dwudzie-

Premier Boris Johnson wizytuje farmę rolnika Petera Watsona. Darnford w Szkocji, 6 września 2019 r.

stu jeden głosowało za przyjęciem projektu ustawy. Wszystkich wyrzucono za to z partii (jeden sam odszedł); są wśród nich tak zasłużeni torysi jak Kenneth Clarke (b. minister w trzech rządach) czy Nicolas Soames, wnuk Winstona Churchilla. W proteście przeciwko czystkom w partii z rządu odeszła minister pracy Amber Rudd, a prasa podaje nazwiska kolejnych ministrów gotowych na dymisję.

Z dnia na dzień możliwości Johnsona stają się coraz bardziej ograniczone – w poniedziałek 9 września po południu projekt ustawy miał zostać podpisany przez królową i stać się prawem. Premier jednak się nie poddaje. Powtarza, że prędzej „zgnije w rowie”, niż poprosi Unię o opóźnienie brexitu. Twierdzi też, że negocjuje z nią nową umowę, choć nikt w Brukseli nie potwierdza, że ze strony brytyjskiej padły istotne nowe propozycje. Próbuje też ominąć nową ustawę: według dziennika „Daily Telegraph” jego pomysł polega na tym, by wraz z nakazaniem przez nowe prawo wnioskiem o przełożenie wysłać do Brukseli drugi – w którym rząd wnosi o nieprzekładanie terminu. Zapewne chodziłoby o to, by skołowani liderzy Unii wypchnęli Londyn 31 października, chcąc się wreszcie pozbyć problemu, który zatruwa życie Europy od trzech lat. Z Brukseli dochodzą zresztą wieści, że sojusznikiem Johnsona może się stać prezydent Francji Emmanuel Macron, który ponoć rozważa zawetowanie przedłużenia.

Innym rozwiązaniem byłoby zgłoszenie przez Johnsona wniosku nieufności wobec samego siebie, co spowodowałoby upadek rządu i konieczność nowych wyborów. Jednak – i tu dochodzimy do szczytu politycznej farsy, jaką stał się brexit – opozycja zapewne zagłosowałaby przeciw, ratując rząd i unikając rozpisania wyborów przed końcem października. Teoretycznie Johnson mógłby po prostu złamać prawo i nie zastosować się do wymagań nowej ustawy, ale, po pierwsze, groziłoby mu za to więzienie, a po drugie, w brytyjskiej praktyce politycznej wydaje się to niewyobrażalne.

Dramat sytuacji na Wyspach polega na tym, że jakkolwiek rozwinie się sytuacja, nie ma w tej chwili perspektyw na rozwiązanie brexitowego kłinczu. Kraj jest przepołowiony i poraniony. Ani wybory, ani odsunięcie od władzy Johnsona tego nie zmienią. Wielka Brytania dołącza do grona państw, w których prowadzenie polityki z centrum stało się niemożliwe. ©

Tekst ukończono w poniedziałek 9 września.

O związanej z brexitem szkockiej dyskusji na temat niepodległości piszemy w dziale Świat.



STR / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Ukraina: cena wolności

WYSOKI KOSZT PŁACI UKRAINA za uwolnienie z rosyjskich więzień 35 swych obywateli, wśród nich reżysera Ołeha Sencowa (na zdjęciu; siedział on 5 lat) i marynarzy wziętych do niewoli na Morzu Azowskim. Choć przeprowadzona w minioną sobotę operacja sprawiała wrażenie zwykłej wymiany (proporcjonalnie: 35 za 35, jeden za jednego), w istocie mieliśmy chyba do czynienia z szantażem ze strony władz Rosji.

Jurij Butusow – dziennikarz portalu Censor.net.ua, mający dobre źródła w ukraińskiej armii i służbach – sugeruje, że wymiana doszła do skutku tylko dlatego, że Kijów ustąpił żądaniu, by wśród zwolnionych był Władimir Cemach. To głównie na nim miało zależeć Putinowi. Cemach mógł być ważnym świadkiem w procesie o zestrzelenie sa-

molotu MH-17 nad Donbasem, który wkrótce zacznie się w Hadze: w 2014 r. kierował tam rosyjską obroną przeciwlotniczą. Gdyby Kijów nie zgodził się go wydać, pewnie nie doszłoby do wymiany jeńców (zakładników?).

Cemach trafił do ukraińskiego więzienia niedawno, dzięki śmiałej ukraińskiej operacji: uprowadzony z okupowanej części Donbasu, został przeprowadzony nocą przez linię frontu; akcję opisał właśnie Butusow. Zginął wtedy 45-letni zwiadowca Ołeksandr Kołodiaznij, prowadzący grupę przez pole minowe. Dziś wiemy, że oddał życie za wolność tych 35 ludzi.

Tymczasem adwokat z Krymu Emil Kurbedinow opublikował w sobotę listę 86 działaczy tatarskich, którzy siedzą w rosyjskich więzieniach. Prezydent Zełenski obiecał, że teraz będzie zabiegać o ich zwolnienie. Tylko – czy ma tu dostatecznie mocną kartę przetargową?

© © WOJCIECH PIĘCIAK

Erdoğan chce wielkiego przesiedlenia

GOSZCZĄCA 3,6 MLN uchodźców Turcja planuje utworzenie „strefy bezpieczeństwa” w północno-wschodniej Syrii, gdzie przesiedlono by około miliona z nich. Prezydentowi Erdoğanowi nie chodzi jednak tylko o los ludzi. Przy okazji zażądał od USA zaprzestania wspierania oddziałów kurdyjskich, przez ostatnie lata ważnego sojusznika Zachodu w walce z tzw. Państwem Islamskim.

Mimo zaprzeczeń Ankary, już teraz wielu Syryjczyków zmusza się do powrotu do kraju, często do nowych, obcych im miejsc. Kilka dni temu Erdoğan ostrzegł,

że jeśli jego planu nie poprze UE, Turcja „otworzy bramy”, ponownie umożliwiając podróż uchodźcom i migrantom do Europy. Na greckich wyspach Morza Egejskiego w ostatnich dwóch tygodniach zanotowano już znaczny wzrost liczby przybyłych. 29 sierpnia, w ciągu godziny, na Lesbos dotarło 13 pontonów z 546 Syryjczykami; okryty złą sławą, znajdujący się na wyspie obóz Moria (gdzie w wyniku bójki zginął niedawno 14-letni Afgańczyk, a kobiety stale są ofiarami przemocy seksualnej) jest przepełniony – mieszka tam ok. 10 tys. ludzi. Grecy ewakuowali ostatnio kilkuset, lecz działacze pracujących na Lesbos NGO-sów ostrzegają: to działania piarowe, „kartą uchodźców” grają zaś i tureccy, i greccy politycy. © © MARCIN ŻYŁA



WALDO SWIEGERS / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Mugabe: satrapa z Zimbabwe

GDY OBEJMOWAŁ WŁADZĘ W 1980 R. w Zimbabwe – kraju zrodzonym z samowolnej białej Rodezji – uchodził za wcielenie wszelkich zalet. Przywódca ruchu wyzwolenczego, wykształcony, o manierach arystokraty – Robert Mugabe miał być doskonałym przywódcą kraju, uchodzącego za raj na ziemi. Raju zastrzeżonego dotąd dla białych, do którego teraz dostęp mieli mieć także czarnoskórzy.

Podobnie jak ćwierć wieku później Nelson Mandela, obejmując urząd prezydenta, Mugabe nie wzywał do rozprawy z niedawnymi ciemnizytlami, ale przekonywał do pojednania, którego fundamentem była dzentelmeńska umowa, że nie tknie majątków białych, jeśli nie będą mu się wtrącać do polityki.

O ile jednak Mandela oddał władzę po pięcioletniej kadencji, o tyle Mugabe panował prawie 40 lat. Doprowadził bogaty kraj do ruiny, a gwoździem do trumny stały się wywłaszczenia białych farmerów (za to, że zaczęli się mieszać do polityki i wspierać opozycję), które uśmierciły rolnictwo. Podniósł rękę na białych i na Zachodzie z wielkiej nadziei stał się uosobieniem satrapy. Jesienią 2017 r. armia i jego własna partia odsunęły go od władzy.

Robert Mugabe zmarł 6 września w wieku 95 lat.

©© WOJCIECH JAGIELSKI

Dania: odpoczynek dla słońi

OSTATNIE CYRKOWE SŁONIE w kraju wykupił rząd duński. Minister rolnictwa Mogens Jensen ogłosił, że kraj zapłaci 11 mln koron duńskich (to ponad 6 mln złotych) za Ramboline, Larrego, Djungi i Jenny. Zwierzęta na razie pozostaną w cyrkach, w których wcześniej występowały, ale nie będą już pracować. W tym czasie ministerstwo chce znaleźć im dom w odpowiednim rezerwacie, gdzie spędzą resztę życia. W duńskim parlamencie jeszcze w tym roku ma zostać uchwalona nowa ustawa o przeciwdziałaniu okrucieństwu, która wprowadzi całkowity zakaz wykorzystywania dzikich zwierząt w cyrkach. Oby za tego typu głośnymi i budzącymi powszechny zachwyt działaniami szły kolejne regulacje poprawiające losy i dobrostan zwierząt. Także tych, które nie wzbudzają tyle współczucia co majestatyczne cyrkowe słonie.

©© EB

KRAJ W SKRÓCIE

KARA BOŻA. W Kowalu 34-letni mężczyzna próbował ukraść kościelne ryny, ale spadł z dachu i trafił do szpitala, gdzie stwierdzono, że ma 1,5 promila alkoholu w organizmie; oprócz kary, która dosięgła go z nieba, grozi mu jeszcze 5 lat więzienia.

ZŁOTE GÓRY. Żadna kara nie spadła na polityków obiecujących złote góry podczas weekendowych konwencji. W tle tych najgłośniejszych, lider PSL obiecywał przedsiębiorcom wakacje od ZUS, a młodym rodzinom po 50 tys. zł na wkład własny przy zakupie mieszkania.

DŁUGO ŻŁE. „Nie wytrzymam, muszę coś państwu opowiedzieć.

Skoro uroczystość się już zakończyła, to tak już bardziej na wesoło” – mówił prezydent Duda na spotkaniu z funkcjonariuszami Centralnego Ośrodka Szkolenia Straży Granicznej, po czym opowiedział przydługą historię o finansowaniu policji, która wcale wesoła nie była.

KRÓTKO NIE LEPIEJ.

Oszczędniejszy w słowach był Jerzy Brzęczek, selekcjoner piłkarskiej reprezentacji Polski, podczas przegranego meczu ze Słowenią.

„Nie otrzymałem żadnych zadań. Trener powiedział tylko: Krystian, próbuj” – opowiedział o instrukcjach, jakie dostał od trenera, wchodzący z ławki rezerwowych Krystian Bielik.

BĘDZIE CO TŁUC. Z informacji przetargowych na stronach Służby Ochrony Państwa wynika, że zamierza do końca roku wydać 7,2 mln zł na zakup nowych aut.

LICZBA TYGODNIA

830

obywateli Wielkiej Brytanii zarejestrowało swój pobyt lub uzyskało prawo stałego pobytu w Polsce. To o 33 proc. więcej niż w całym 2018 r. Rejestracja pobytu może być ułatwieniem dla obywateli Wielkiej Brytanii, którzy będą chcieli pozostać w Polsce po brexicie.

Kidawa, czyli Szydło dla elit

ANDRZEJ STANKIEWICZ



LIDER PO GRZEGORZ SCHETYNA OGŁOSIŁ, że rezygnuje ze swych kilkunastoletnich marzeń o premierostwie, i wyznaczył na kandydatkę Małgorzatę Kidawę-Błońską. Nie jest to jednak ruch starannie zaplanowany, na co wskazuje fakt, że kilka tygodni wcześniej upchnięto ją na czele listy wyborczej Platformy we Wrocławiu, by się jej pozbyć ze stolicy. Teraz została w trybie przyspieszonym zwrócona Warszawie.

Zagranie jest czytelne – podobnie jak wist Jarosława Kaczyńskiego z Beata Szydło sprzed czterech lat. Lider Platformy, tak jak szef PiS wówczas, nie ma dobrych sondaży. W związku z tym chce skupić kampanię na nowej twarzy. Kidawa-Błońska na pierwszy rzut oka dobrze się do tego nadaje i ma być magnesem dla wyborców liberalno-lewicowych. Dobrze urodzona, przedstawicielka stołecznych elit, w sprawach światopoglądowych bardzo liberalna.

Jednak plan Platforma realizuje bez zapалу i opieszale. Kandydatka nie pojawiła się w Krynicy, gdzie podczas Forum Ekonomicznego miała szansę odebrać nieco zainteresowania politykom PiS. Kiedy wreszcie zabrała głos, przedstawiając program wyborczy Platformy, okazało się, że niewiele w nim nowości. Od siebie dodała m.in. propozycję zwolnienia emerytury z PIT dla osób, które pracują. O większości pozostałych pomysłów lider PO Grzegorz Schetyna mówił już dwa lata temu na kongresie w Łodzi jesienią 2017 r. W dodatku to hasła powtarzane potem w kampaniach samorządowej i europejskiej – co pokazuje, że pomysły Platformy nie wryły się w świadomość społeczną.

Czy Kidawa-Błońska to realna kandydatka na premiera? Jeśli PO dane będzie po wyborach rządzić, to tylko w szerokiej koalicji z PSL i lewicą. Wówczas stanowisko premiera będzie elementem politycznego targu, co może skończyć się odsunięciem kandydatki na boczny tor. Ponieważ pani marszałek ma w partii słabą pozycję, to nie ma instrumentów, by się przed marginalizacją obronić. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.



MAMRAEL / AFP / EAST NEWS

Pielgrzymka do Afryki

UZNAWANIE INNYCH, nawiązywanie więzi, budowanie mostów – takie warunki tworzenia pokoju wskazał Franciszek władzom Mozambiku (targanego od lat 70. wojną domową) podczas pielgrzymki do tego kraju 4 września. W homilii do 60 tys. ludzi przypomniał, że Bóg „nie zaprasza do abstrakcyjnej miłości, zredagowanej na biurkach do przemówień, ale każe miłować tego, kto nas nienawidzi, wyklucza, lży i gardzi naszym imieniem”.

W kolejnych dniach papież przebywał na Madagaskarze; zachęcał polityków do walki

z korupcją, ubóstwem, wykluczeniem i rabunkową eksploatacją lasów. Biskupom wskazał, że ich misja ma być skierowana do „ubogich, zepchniętych na marginesy”. Czuwając z młodzieżą, nauczał, że uczeń Jezusa „nie może trwać w bezruchu, narzekać i patrzeć na siebie; Bóg wymaga, byśmy nie obawiali się pobrudzenia sobie rąk”. Podczas mszy z udziałem miliona wiernych w stolicy kraju (na zdjęciu) przestrzegał przed pokusą „zamknięcia się w swoim małym świecie”, w którym nie ma miejsca dla ubogich, a głos Boga jest niesłyszalny. Ostatniego dnia pielgrzymki (9 września) Franciszek polecił na Mauritius. © PAM MAM

Odpowiedzialność: nieustający problem

TE DWA ZDANIA padły w ubiegłym tygodniu. Pierwsze: „Nikt mu nie zlecał molestowania dzieci”. Tak o ks. Jarosławie P., który przez 9 lat wykorzystywał seksualnie chłopca (zaczął, gdy ten miał 9 lat), mówił pracownik toruńskiej kurii. Uzasadnił w ten sposób odmowę wglądu do akt sprawy Mariuszowi Milewskiemu, dziś dorosłej ofierze. Sprawę rozpatrywały sądy biskupi i powszechny. Ten pierwszy orzekł, że Jarosław P. jest niewinny, a wykorzystane przez niego dziecko nazwał współnikiem w grzechu cudzołóstwa. Sąd powszechny uznał księdza za winnego i skazał na 3 lata; przebywał on w więzieniu (sprawę ujawnili dziennikarze „Superwizjera”).

Drugie zdanie: „Nie robił tego w wyniku powierzenia mu wykonywania czynności”. Tak mówił KAI Krzysztof Wyrwa, adwokat Towarzystwa Chrystusowców – po tym, jak zgromadzenie wniosło o kasację wyroku w sprawie Romana B. Należący do chrystusowców zakonnik więził i wykorzystywał 13-latkę. W sprawie zapadł prawomocny wyrok: milion zadośćuczynienia dla ofiary i comiesięczna renta (800 zł). Teraz więc chodzi nie o podważenie winy Romana B., lecz odpowiedzialności zgromadzenia za swego (byłego już) zakonnika, gdyż to zgromadzenie ma płacić zadośćuczynienie.

Obie sprawy pokazują, że mimo dyskusji, w której – zdawałoby się – powiedziano już wszystko, wielu przełożonych kościelnych wciąż nie umie podjąć odpowiedzialności. © PAM ANNA GOC

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

GŁOS ROZSĄDKU.

„Nie ochronię emocjonalnego rozwoju dziecka protesty przeciw mniejszościowym manifestacjom, jeśli równocześnie dziecko nie będzie miało szans na wzrost i dojrzewanie w kochającej się rodzinie” – zauważył bp Damian Muskus. Krakowski biskup pomocniczy uczestniczył w fatimskim czuwaniu w Miejscu Piastowym koło Krosna.

PAMIĄTKA

PO MĘCZENNIKU. List luterńskiego biskupa Warszawy Juliusza Burschego, zamordowanego przez nazistów w Berlinie w 1942 r., trafił do Sanktuarium Nowych Męczenników w Rzymie, którym opiekuje się Wspólnota Sant'Egidio. Sanktuarium powstało z inicjatywy Jana Pawła II w bazylice św. Bartłomieja na Wyspie Tyberyjskiej. Znajdują się w nim relikwie współczesnych męczenników z różnych denominacji chrześcijańskich.

TEOLOG PROBOSZCZEM.

Jeden z najciekawszych polskich teologów, ks. Grzegorz Strzelczyk, został proboszczem parafii św. Maksymiliana Marii Kolbeego w Tychach. Nominację tę otrzymał 26 sierpnia. Ks. Strzelczyk nadal zajmować się będzie pracą na Wydziale Teologicznym UŚ oraz formacją kandydatów do diakonatu stałego.

PAPIEŻ I JEGO KRYTYCY.

„To dla mnie zaszczyt, że Amerykanie mnie atakują” – powiedział Franciszek w drodze z Rzymu do Mozambiku francuskiemu dziennikarzowi Nicolasowi Senèze'emu. Wręczył on papieżowi swą książkę „Comment l'Amérique veut changer le pape” (Jak Ameryka chce zmienić papieża), poświęconą krytyce obecnego pontyfikatu przez konserwatywne środowiska katolickie w USA.

Kardynał do spraw kryzysowych

AGENCYJNE BIOGRAMY zmarłego w wieku 96 lat kard. Rogera Etchegaraya zaznaczają, że był jedną z najważniejszych postaci Kościoła, co jest oczywiście prawdą, jednak dla tych, którzy go znali, informacje te wydają się dziwnie odległe od purpurata.

Aby przybliżyć go czytelnikom, należy zacząć od uśmiechu. Uśmiech, którym każdego witał, był ciepły i ewidentnie płynący z głębi człowieka, który jest życzliwie nastawiony do bliźniego i autentycznie cieszy się spotkaniem. Trzeba też zajrzeć do jego książek: zapamiętałem m.in. artykuł o tym, że przed Soborem Kościół był jak rzeka, która zmieniła bieg i popłynęła korytem z dala od osad ludzkich.



FILIPPO MONTEFORTE / AFP / EAST NEWS

Lista dokonań kardynała jest długa: podróżował w imieniu Jana Pawła II do krajów ogarniętych konfliktami; współorganizował wizytę papieża na Kubie; odwiedził Chiny, Wietnam, Rwandę, Izrael, Irak. Dla mnie pozostanie na zawsze związany ze spotkaniem przywódców wszystkich religii na modlitwach o pokój w Asyżu w 1986 r. Był, z pewnością nie tylko z urzędu, głównym architektem tego bodaj największego i najbardziej rewolucyjnego wydarzenia pontyfikatu Jana Pawła II.

Ufam, że Kościołowi nadal towarzyszy serdeczny uśmiech i dobre spojrzenie wielkiego Baska – bo kard. Etchegaray był Baskiem i chętnie się swoim pochodzeniem chlubił. Jego talenty mediacyjne, miłość i prostota dziś bardzo by się nam przydały. Niech z nieba wspiera Kościół, któremu tak wspaniale służył.

© PAM KS. ADAM BONIECKI

Więcej o zmarłym kardynale na: powszech.net/kard-etchegaray

Kultura na eksport

PIOTR KOSIEWSKI



NAJWYŻSZA IZBA KONTROLI PRZYJRZAŁA SIĘ promocji polskiej kultury za granicą. Upubliczniony właśnie raport dotyczy działań instytucji państwowych w latach 2013-18 i pokazuje, że te działania są niekonsekwentne. Słaba jest koordynacja między instytucjami, brak długofalowych planów oraz monitorowania skuteczności działań. Tymczasem kwoty przeznaczane na ten cel są niemałe (choć nie porażają). Na przykład Instytut Adama Mickiewicza otrzymywał rocznie od 37 do 63 mln zł.

Dotychczasowy sposób funkcjonowania instytucji odpowiedzialnych za promocję obnaża – po raz kolejny – słabości naszego państwa. Dodajmy, że NIK nie zajmował się wyborami programowymi, tym, jaką twórczość pokazywaliśmy i do kogo z nią dotarliśmy. Nie przyglądał się też zmianom priorytetów, jakie dokonywały się za czasów PiS-u – zaznacza tylko, że nacisk na politykę historyczną wiązał się z ograniczeniem wydatków na promocję kultury.

Warto pamiętać, że państwo ma dziś ograniczony wpływ na hierarchie ważności w kulturze, a także na jej obecność w świecie. Może jednak pomóc w dotarciu do zagranicznych odbiorców, pod warunkiem że działa mądrze i odpowiedzialnie oraz – co najważniejsze – zna własne ograniczenia.

©



GISELA SCHÖBER / GETTY IMAGES

WYBITNY FOTOGRAF MODY Peter Lindbergh nie żyje. Od lat 70. przed jego obiektywem stawały supermodelki, gwiazdy kina i muzyki, aktywistki i polityczki. Charakterystyczne czarno-białe zdjęcia niemieckiego fotografa są proste w formie, a portretowane kobiety mają na nich delikatny makijaż, ważna jest naturalność. Dbał, by nie nadużywać retuszu, a jego podejście do fotografii modowej można nazwać rewolucyjnym. „Obowiązkiem dzisiejszych fotografów powinno być wyzwolenie kobiet, a wreszcie wszystkich, od terroru młodości i perfekcji” – mówił w 2014 r. dla magazynu „Interview”. Zmarł 3 września. Miał 74 lata. © EB

KULTURA W SKRÓCIE

Z NARNII. W minionym tygodniu pożegnaliśmy wybitnych literaturoznawców i tłumaczy. 4 września w wieku 94 lat zmarł Florian Śmieja, poeta, tłumacz i badacz literatury hiszpańskiej, autor „Tygodnika”. Dzień później dotarła wiadomość o odejściu Andrzeja Polkowskiego (na zdjęciu), pisarza



MIECISŁAW WĘDORSKI / REPORTER

i archeologa, a przede wszystkim wybitnego tłumacza z angielskiego. Popularność przyniosły mu przekłady książek o Harrym Potterze, ale spolszczył też np. „Opowieści z Narnii” i „Trylogię kosmiczną” Lewisa oraz „Księgę dżungli” Kiplinga. Miał 80 lat.

Z WENEЦИИ. Zakończył się 76. Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Wenecji. Srebrnego Lwa – Wielką Nagrodę Jury – zdobył „Oficer i szpieg” Romana Polańskiego, a nagrodę główną, Złotego Lwa, „Joker” Todda Phillipsa. „Oficer i szpieg” to ekranizacja powieści Roberta Harrisa, inspirowana historią Alfreda Dreyfusa: skazanie tego oficera pochodzenia żydowskiego w 1894 r. wywołało we Francji kryzys.

Z WARSZAWY. Małgorzata Ludwisiak nie będzie już dyrektorem Centrum Sztuki Nowoczesnej – zdecydował minister Piotr Gliński. To kolejna zmiana w instytucjach kultury, która budzi zdziwienie muzealników. Nie ustaje dyskusja o działalności Jerzego Miziołka na stanowisku szefa Muzeum Narodowego w Warszawie; na powołanie na stanowisko szefa POLIN przez ministra wciąż czeka Dariusz Stola. Ludwisiak zapowiada odwołanie.

Zagrać piosenkę, wysadzić most

„**POLSKI OFICER**”, występujący pod nazwiskiem Peter Peterkin, będzie przychodził do Bush House [w czasie II wojny światowej siedziba Serwisu Zagranicznego BBC w Londynie – red.] codziennie o g. 15:45 i 21:15, prosząc o widzenie z Panem lub Pana zastępcą. Przekaze nagranie gramofonowe i zaczeka na jego zwrot po zakończeniu transmisji. Zagwarantowałem, że nagranie to zostanie wyemitowane, co najmniej przez minutę, pod koniec wiadomości o g. 16:00 i 21:30. (...) Procedura została uzgodniona z polskim MSW i Sekcją Radiową Rządu Polskiego”.

Za pomocą takich dokumentów, adresowanych do szefów anten (ten z datą: 24 XII 1941 r.; temat: „Nagrania gramofonowe w polskich wiadomościach”; dopisek: „TAJNE”), kierownictwo BBC umożliwiało przysyłanie kodowanych wiadomości do ruchu oporu w okupowanej Europie. Wiemy o tym od dawna, ale wojenne archiwa rozgłośni – ujawnione w minionym tygodniu, w 80. rocznicę wypowiedzenia przez Wielką Brytanię wojny Niemcom – dają wgląd w nieznane szczegóły. Więcej na stronie bbc.com pod hasłem „The BBC and World War Two”. © MARCIN ŻYŁA



MARIO TAMA / GETTY IMAGES

Życie po erupcji

CHOĆ WYBUCHAJĄCY WULKAN i potoki lawy nie kojarzą nam się z rozkwitem życia roślinnego, natura nie podziela tych uprzedzeń. Okazuje się, że po zeszłorocznej erupcji hawajskiego wulkanu Kilauea (na zdjęciu: ciekawscy na jego zboczu) w przyległych wodach Oceanu Spokojnego nastąpił niebywale bujny wzrost glonów, czyli fitoplanktonu. Głodni wiedzy naukowcy już miesiąc po erupcji wybrali się na oceaniczną wyprawę, by zbadać, co odpowiada za tajemniczy zakwit. W bieżącym numerze „Science” wyjawiono w końcu niebanalną prawdę: odpowiedzialny był nie taki czy inny składnik lawy, lecz jej wysoka temperatura. Ciepło opadających na dno oceanu kawałów świeżej, dopiero co wypłutej z wnętrza Ziemi skały wulkanicznej podgrzało żyzne wody przydenne, wcześniej spoczywające w bezruchu setki metrów pod powierzchnią oceanu. Woda ta wypłynęła następnie na powierzchnię, karmiąc fitoplankton. Skomplikowany ten nasz świat, prawda?

© ŁUKASZ KWIATEK

HORROR NICNIEROBIENIA

TEKST ŁUKASZ ŁAMŻA ILUSTRACJE JOANNA RUSINEK

Znudzony mózg przechodzi katusze. Ale nuda to też wyzwanie, które pobudza go do kreatywności.

BYĆ MOŻE PAMIĘTACIE TEN EKSPERYMENT – było o nim głośno parę lat temu. Badaną osobę zamyka się na 15 minut w pomieszczeniu, gdzie nie znajduje się nic interesującego oprócz przycisku, który – o czym informuje zawczasu eksperymentator – wywołuje lekki szok elektryczny: niegroźny, ale nieprzyjemny. Zaskakującym wynikiem było nie tylko to, że znacząca część badanych postanowiła z własnej woli wcisnąć przycisk, byle tylko znaleźć sobie jakieś zajęcie, ale że wiele osób wciskało go wielokrotnie. Ogółem 67 proc. mężczyzn i 25 proc. kobiet woli bodziec negatywny od braku bodźców.

Podobne badania przeprowadzono też z udziałem szczurów. Obok tradycyjnego rażenia prądem istnieją jednak również bardziej humanitarne eksperymenty ilustrujące niechęć gryzoni do monotonii. Gdy zwierzęta te utrzymuje się przez wiele dni na monotonnej diecie składającej się wyłącznie z ich ulubionego pokarmu, to gdy później da im się do wyboru kilka różnych pokarmów, z własnej woli zjedzą coś, czego kilka dni wcześniej by nie tknęły. Tylko dlatego, że standardowy pokarm im się znudził.

Nuda to świetny i ważny, choć przez długie lata niedoceniany temat badawczy. A przecież należy do najbardziej uniwersalnych, najczęściej przeżywanych stanów emocjonalnych – ktoś z nas w ciągu ostatniego tygodnia nie nudził się przynajmniej raz? Badania pokazują, że spotyka nas to szczególnie często w pracy, co przynosi wymierną szkodę nie tylko dla nudzącego się pracownika, ale i dla pracodawcy. Ba, wygląda na to, że w dra-

matycznym zwrocie „śmiertelna nuda” tkwi ziarno prawdy – długotrwała, patologiczna nuda na tyle obniża jakość życia, że potrafi doprowadzić do samobójstwa. Z drugiej strony codzienne, przelotne znudzenie nasze powszednie to wyzwanie dla mózgu, na które ten potrafi reagować wzmożoną kreatywnością. No więc jak to jest z tą nudą?

Odpywanie przy u-boocie

Istnieje w psychologii szereg konkurencyjnych definicji nudy. D.R. Davies, V.J. Shackleton i Parasuraman zdefiniowali ją w 1983 r. jako „reakcję emocjonalną na środowisko, które jest niezmiennie, lub które zmienia się w powtarzalny i łatwy do przewidzenia sposób”. P.C. Smith w 1955 r. stwierdził, że jest to „doświadczenie pojawiające się wskutek ciągłego wykonywania czynności, którą uważa się za monotonną lub powtarzalną”. Cynthia Fisher w 1993 r. zaproponowała następującą definicję: „nuda to przelotny stan afektywny, w którym jednostka odczuwa przejmujący brak zainteresowania bieżącą aktywnością”.

Za wszystkich tych propozycjami kryje się jednak fundamentalna prawidłowość: umysł człowieka (i wielu zwierząt, jak się okazuje) nie znosi braku pobudzenia i cierpi, gdy zaczyna mu brakować nowych bodźców. W tym momencie pojawia się nuda, a umysł zaczyna coraz gwałtowniej szukać sobie zajęcia. Jakiegokolwiek. A mózg ludzki przełączony na tryb „zrób cokolwiek!” to przedziwne zwierzę.

Nuda weszła z pełną mocą w świat psychologii akademickiej po II wojnie świa-

towej, w trakcie której jej negatywne konsekwencje nabrały wymiernego znaczenia militarnego. Analitycy brytyjskich Królewskich Sił Powietrznych (RAF), badając skuteczność wykrywania u-bootów przez operatorów radaru, odkryli, że spada ona w zastraszającym tempie wraz z upływem czasu spędzonego na służbie. Było to nie tylko niebezpieczne, ale i zastanawiające, ponieważ łódź podwodna wroga pojawia się na radarze w postaci wyraźnej, jasnej plamki. Jak trudne może być dostrzeżenie świetlistej kropki tuż przed oczami, gdy wyczekiwanie na nią jest naszym jedynym zadaniem? Okazuje się, że bardzo, ale to bardzo trudne.

Angielski psycholog N.H. Mackworth przeprowadził na zlecenie RAF-u badanie, w którym uczestnicy śledzili podświetlające się kolejno cyfry na okrągłej tarczy zegara: 1... 2... 3... 4... Jedyne ich zadanie polegało na wcisnięciu przycisku, gdy któraś cyfra została pominięta, np. bezpośrednio po trójce podświetliła się piątka. Szybko okazało się, że zdrowi, dorośli badani już po spędzeniu pół godziny przy tym porażająco nudnym zadaniu stawali się nieskuteczni. Mózg za wszelką cenę unika monotonii i gdy tylko środowisko nie dostarcza mu wystarczającej stymulacji, uruchamia szereg działań zaradczych, czemu towarzyszy znane zjawisko „odpywania”.

Stany patologiczne

Tuż po II wojnie światowej, w 1951 r., kanadyjski neuropsycholog Donald O. Hebb przeprowadził jedną z najsłynniejszych serii eksperymentów mających rozwikłać „metodologię znudzonego umy-



ślu”. Szybko okazało się, że systematycznie pozbawiony podniety mózg popada w stany, które trudno określić inaczej niż „patologiczne”.

Do badań Hebba zaproszono studentów, wyłącznie płci męskiej, płacąc im 20 dolarów za dzień. Badani zostali zamknięci w niewielkim pomieszczeniu, w którym znajdowało się tylko łóżko, kratka wentylacyjna i zamknięte drzwi. Aby mózgi badanych otrzymały jak najmniej bodźców zmysłowych, na dłonie nałożono im bawełniane rękawiczki, a ręce otoczono kartonowymi tubami, aby ograniczyć zakres ich ruchów. Poduszki w kształcie litery „U” otaczały ciasno ich uszy, a wszelkie pozostałe dźwięki tonęły w jednorodnym szumie wentylatora. Na oczy nałożono im panele z mlecznego półprzezroczystego plastiku, które przepuszczały światło i pozwalały na orientację w przestrzeni, ale uniemożliwiały dostrzeganie detali. Uczestnicy eksperymentu Hebba jedli w swoich pokojach, siedząc na łóżku, a potrzeby fizjologiczne załatwiali w położonej nieopodal toalecie, prowadzeni za rękę przez pomocników eksperymentatora. Eksperyment można było oczywiście przerwać w dowolnym momencie.

Większość studentów początkowo wyrażała się o nim entuzjastycznie, twierdząc, że w końcu będą mieli okazję „na spokojnie pomyśleć”, sporządzić plan pracy rocznej, przemyśleć wykłady itd. Jak można się spodziewać, nic z tego nie wyszło. Późniejsze relacje tych badanych, którzy wytrzymali pełne trzy dni eksperymentu, stanowią niepokojące świadectwo stopniowej dezintegracji nor-

malnych procesów myślowych. Choć ich myśli początkowo rzeczywiście krążyły wokół pracy, życia prywatnego czy planów na przyszłość, tematy te szybko się wyczerpały. Wielu badanych opowiadało, że dla zabicia nudy odtwarzało w głowie, scena po scenie, swoje ulubione filmy, albo przypominało sobie znaną dobrze trasę, oczami wyobraźni śledząc każde drzewo, budynek i znak drogowy. Inni liczyli w głowie, dochodząc czasem do wielu tysięcy. I to jednak nie wystarcza na dłużej niż kilka godzin. Z czasem możliwości myślenia po prostu się wyczerpały. Jak to ujął jeden z badanych: „Nie potrafiłem wymyślić niczego, o czym mógłbym myśleć”.

Strach przed duchami

Od tego momentu stan emocjonalny badanych zaczął się degenerować. Epizody irytacji i lęku przeplatały się z dziecinny wręcz pobudzeniem i wesołością. Mniej więcej połowa przeżywała też halucynacje wzrokowe. Zwykle rozpoczynało się od prostych form geometrycznych, jak świetliste paski, pręgi i kropki, ale z czasem – gdy i to było za mało dla śmiertelnie znudzonego mózgu – treść ich stawała się coraz bardziej złożona. Jeden z badanych oczami cieni drzewa padającego na skałę; inny – niekończącą się procesję wiewiórek z zarzuconymi na grzbiet sakwami; jeszcze inny – spacerujące ulicą gigantyczne okulary, jedno za drugim. Wizje te początkowo przyjmowane były z radością i zainteresowaniem, jednak z czasem ich miejsce zajmowało zmęczenie i niepokój, ponieważ obrazów tych żadnym sposo-

bem nie dało się wykorzenić. Pojawiały się też halucynacje słuchowe, a nawet dotykowe: jeden z badanych czuł, jak w ramię uderzają miniaturowe pociski wystrzelone z maleńkiego statku kosmicznego, który fruwał po pomieszczeniu.

Eksperymentatorzy – którzy dziś, w erze profesjonalnych komitetów etycznych, prawdopodobnie nie doprowadziliby tego eksperymentu tak daleko – przeprowadzali na badanych rozmaite testy psychologiczne. Okazało się, że ich kreatywność, spostrzegawczość czy zdolność zapamiętywania spadają na łeb na szyję. Ale to nie wszystko. Mniej więcej w połowie okresu izolacji badanym odtworzono nagranie krótkiego wykładu „argumentującego za realnością duchów, poltergeistów i innych zjawisk ponadnaturalnych”. Spragnione jakiegokolwiek treści umysły żarłocznie rzuciły się na tę nową gratkę, wskutek czego jeszcze wiele dni po zakończeniu eksperymentu niektórzy badani (dorośli mężczyźni!) zgłaszali, że naprawdę boją się duchów.

Badania Hebba pokazały z całą ostrością, że umysł ludzki, któremu nie przedstawia się żadnych ustrukturyzowanych bodźców i pozwoili zająć się sobą, szybko popada w stany patologiczne. Psychologowie społeczni chętnie zaakceptowali wyniki tego eksperymentu, rozwijając teorię „degeneracji społecznej poprzez nudę”: nuda, monotonia i brak perspektyw – analizowane już w skali mas ludzkich – miałyby skłaniać do zachowań ryzykownych, przyjmowania narkotyków i przestępczości. Pod koniec XX w. opinia naukowców na temat nudy była już w przeważającym stopniu negatywna: ➔



→ zarówno jednostka, jak i społeczeństwo, wystawione na „okrutną wolność”, brak zadań i konstruktywnego pobudzenia, miałyby dryfować w sposób zasadniczo autodestrukcyjny.

Podstawa kreatywności

Ale jest jeszcze druga strona medalu. Swobodna gra wolnego umysłu to wszak warunek konieczny dla procesu twórczego. Znane są anegdotyczne przypadki, gdy wielcy ludzie wpadali na genialne pomysły na nudnych spotkaniach (jak polski matematyk Stanisław Ulam, który w ten sposób odkrył spiralę Ulama, stanowiącą ilustrację pewnej formy porządku w liczbach pierwszych) albo w trakcie bezcelowego grzebania w ogródku (jak pracował ponoć niemiecki matematyk David Hilbert).

Nawoływanie do „konstruktywnego nudzenia się” stało się też modnym tematem dziennikarskim. W 2017 r. magazyn „Wired” ogłosił, że „śmiertelne znudzenie czyni nas bardziej kreatywnymi”, zachęcając do swobodnego oddawania się bezcelowemu klikaniu w godzinach pracy, zwłaszcza pracowników „sektora kreatywnego”. Bo kto wie, czy właśnie

w tym momencie nie znajdziemy rozwiązania problemu, z którym się zmagamy?

Za hipotezą tą wydają się świadczyć wyniki kilku szeroko nagłośnionych eksperymentów, zwłaszcza tego przeprowadzonego w 2014 r. przez brytyjskie psycholożki. Sandi Mann i Rebekah Cadman podzieliły badanych na dwie grupy – „wynudzoną” i kontrolną, aby sprawdzić, która z nich lepiej spisze się w zadaniu sprawdzającym kreatywność. Osoby z pierwszej grupy poproszono, jeszcze przed zasadniczym zadaniem, o przepisywanie przez 15 minut numerów telefonów z książki telefonicznej, upewniając się następnie, przy pomocy kwestionariusza, czy uznały tę czynność za nudną (odpowiedzieli tak niemal wszyscy). Przedstawiciele z grupy kontrolnej przystępowali do testu kreatywności z marszu. Przed badanymi stawiano dwa plastikowe kubki, prosząc o wymyślenie dla nich jak największej liczby zastosowań. Osoby z grupy kontrolnej podawały średnio 7,33 zastosowań, a osoby wynudzone – 10,63.

Można jednak powątpiewać, czy eksperyment ten mierzył prawdziwą, konstruktywną kreatywność, czy raczej nadpobudliwość i chęć wyżycia się po męczącym przepisywaniu cyferek. Zdolność do rozwiązywania rzeczywistych problemów sprawdzić w warunkach laboratoryjnych dużo trudniej, a znajdowanie zastosowań dla plastikowych kubków brzmi raczej jak ćwiczenie na korporacyjnym wyjeździe integracyjnym, a nie test autentycznej kreatywności.

Istnieją jednak zupełnie innego typu badania, które rzucają nieco więcej świa-

ła na to, w jaki sposób umysł radzi sobie z nudą.

Lepsze i gorsze motocykle

W 1985 r. R. Perkins i A. Hill opublikowali interesujący artykuł na temat różnic jednostkowych w reakcji na nudną czynność. Badanych poproszono wstępnie o oszacowanie, na ile interesują się motoryzacją i na ile interesujące byłoby dla nich przeglądanie zdjęć motocykli. Do dalszej części badania – polegającego na... przeglądaniu zdjęć motocykli – wybrano złośliwie tylko tych, którzy zadeklarowali, że byłoby to dla nich zajęcie wysoce nieinteresujące, a zawiedzionych fanów eksperymentu było sprawdzenie, w jaki sposób badani poradzą sobie z nieinteresującym dla nich zadaniem, jeśli da im się możliwość uczynienia go nieco bardziej interesującym. Otóż zdjęcia pokazywano parami, polecając każdorazowo wybrać „lepszego” motocykla, jednak badani mogli swobodnie wybrać kryterium „lepszości” oraz liczbę kryteriów. Innymi słowy, mogli spędzić kwadrans po prostu apatycznie wskazując palcem na zdjęcia albo opracować własne zasady. Co bardziej kreatywni uczestnicy oceniali ostatecznie motocykle na kilkunastu samodzielnie opracowanych skalach i raportowali później, że zadanie było w rzeczywistości dużo bardziej interesujące, niż wcześniej przypuszczali.

Podobne są wyniki obserwacji strategii podejmowanych przez pracowników zmuszonych do wykonywania nudnych zadań – np. księgowych czy magazynierów. Okazuje się, że nawet wtedy, gdy



ŁUKASZ ŁAMŻA będzie gościem Grzegorza Chłasty w środę 11 września

o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM |

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl



nie można sobie pozwolić na bujanie w obłokach, istnieją techniki pomagające wytrzymać kolejną dniówkę. Do najczęstszych należy wprowadzanie drobnych zmian w sposób wykonywania zadania, np. odwracanie kolejności niektórych czynności – na tyle, na ile to możliwe. Popularne jest też celowe manipulowanie tempem pracy, co przypomina nieco trening interwałowy znany sportowcom – najpierw pracuje się pełną parą przez kwadrans, potem przez pół godziny leniwie. Wojtkowi patrolujący przez wiele godzin w sytuacji zerowego zagrożenia (np. obchodząc macierzystą jednostkę) wymyślają też sobie minikonkursy albo urozmaicając marsz spontanicznymi ćwiczeniami fizycznymi.

Co ciekawe, choć od kilkudziesięciu lat psychologowie wyłóżą ze skóry, aby dowieść, że skłonność do urozmaicania sobie w ten sposób nudnych zajęć skorelowana jest z inteligencją – co potwierdzałoby starą intuicję, że „mądry człowiek zawsze znajdzie sobie jakieś zajęcie” – badania nie wydają się tego potwierdzać. Sytuacja jest najwyraźniej nieco bardziej skomplikowana.

Geniusz w koszarach

Ci czytelnicy, którzy dotrwali do tego miejsca, nie znajdując sobie w międzyczasie innego zajęcia, mogą się zastanawiać, czy z tego wszystkiego płyną praktyczne wnioski. Najważniejszy jest chyba ten, że długotrwały brak bodźców i przymusu wcale nie pobudza kreatywności. Jeżeli planujecie zrobić sobie pół roku przerwy od wszystkiego,

aby w końcu napisać swoją wielką powieść albo rozwinąć skrzydła w inny spektakularny sposób, to najprawdopodobniej kiepski plan. Jest spora szansa, że skutkiem swobody absolutnej będzie po prostu chaos.

Tłumaczy to, nawiasem mówiąc, początkową klęskę międzywojennego planu utworzenia „oboazu geniuszów”, jakim był Institute for Advanced Study. Jego założyciele zaprosili do niego na początku lat 30. XX w. garstkę najwybitniejszych wówczas osobowości świata fizyki, nie dając im żadnych obowiązków poza „swobodnym myśleniem o najważniejszych problemach naukowych”. Okazało się, że skutkiem całkowitej swobody bywa lenistwo intelektualne.

Zaproszony do projektu Richard Feynman po krótkiej wizycie w IAS w latach 40. skwitował panujący tam marazm następująco: „Widziałem, co się stało z tymi wszystkimi wielkimi umysłami w Institute for Advanced Study, które specjalnie zaproszono za te ich wspaniałe mózgi i którym dano szansę siedzieć w tym pięknym domku w lesie, bez żadnych zajęć ze studentami i żadnych zobowiązań. Te biedne sukinsyny mogły w końcu spokojnie siedzieć i myśleć, tak? No więc teraz nie przychodzi im nic do głowy: mają szansę coś zrobić, ale nie mają żadnego pomysłu. (...) Nic się nie dzieje, bo tam nie ma żadnej prawdziwej aktywności i żadnego wyzwania: nie jesteś w kontakcie z doświadczalnikami, nie musisz się zastanawiać nad pytaniami studentów. Nic!”. © ŁUKASZ ŁAMZA

Jak się nudzić zdrowo

PIOTR POPIK,
NEUROPSYCHOFARMAKOLOG:

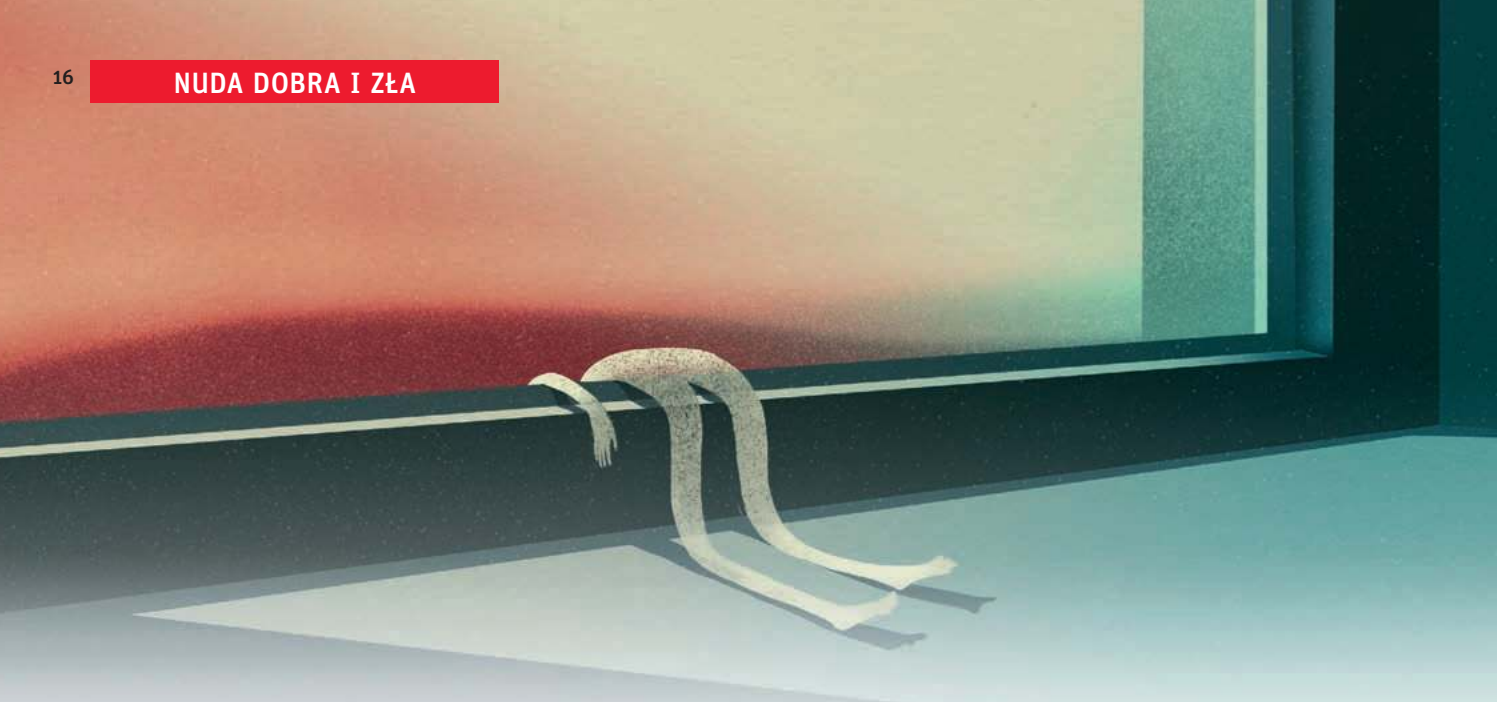
Zdolność do nicnierobienia, z pozoru będąca stratą czasu, ma działanie ochronne dla mózgu. Sprząta umysł i w tym sensie bywa twórcza.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Nuda jest szkodliwa?

PROF. PIOTR POPIK: Każdy ssak potrzebuje pewnego poziomu stymulacji, przy którym jego mózg pracuje optymalnie. Czujemy się źle, gdy nic się nie dzieje, i źle, kiedy nasz umysł jest przeładowany. Drugi stan prowadzi do zmęczenia, pierwszy nawet do zaburzeń psychicznych, takich jak halucynacje – ale są to oczywiście sytuacje ekstremalne.

Kiedy mózg pracuje optymalnie?

Wszyscy mamy różne potrzeby, w tym potrzeby intelektualne. Kiedy odczuwamy dyskomfort z powodu braku nowych informacji, bodźców, wrażeń – nazywamy to nudą. Jeżeli ktoś dobrze się



→ czuje z tym, że otrzymuje pięć maili na godzinę, a w pewnym momencie dostaje jednego lub wcale, rodzi się niepokój. Umysł sygnalizuje: jestem gotowy do skonsumowania nowej porcji informacji. Podobnie jak z apetytem.

Jak ludzie się nudzili sto lat temu?

Były tylko listy słane pocztą, telegraf, niewiele telefonów.

Dziś czytamy maile nawet co kilka minut. Nasz mózg jest pod wiecznym ostrzałem nowymi informacjami.

Ale jakie to były listy! Nie pamiętam, kiedy ostatnio napisałem cały list piórem...

Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jak się nudzono sto lat temu, natomiast gdyby zapytać o to, jak się nudzą ludzie o wielkim głodzie nowych wrażeń i ludzie, którzy mają mniejszy apetyt na informacje, odpowiedź brzmi: nudzą się podobnie. Różnica tkwi wyłącznie w dyskomforcie związanym z brakiem bodźców: przy podobnym poziomie stymulacji u tych pierwszych pojawia się on wcześniej, u drugich – później. I zapewne identycznie było sto lat temu.

Tylko że sto lat temu było mniej tych bodźców.

Nie pamiętam, żebym się jakoś specjalnie nudził na studiach, choć nie było to sto lat temu. Rzeczywiście, dzisiaj czujemy się dobrze, gdy rozmaite elektroniczne gadzety atakują nas dźwiękami w kieszeni lub na nadgarstku. A kiedy nagle tego zabraknie – zgubimy komórkę lub braknie internetu – wpadamy w panikę.

Dotyczy to szczególnie bardzo młodych ludzi?

Zapewne dotyczy to wszystkich grup wiekowych, w końcu wszyscy posiadamy smartfony i na tym polega jeden z aspektów rewolucji informatycznej. Z jednej strony uzależniamy się od nowych bodźców, źródeł informacji, gadżetów, a z drugiej zaczynamy zaniebyszać tradycyjne formy relacji ze światem. Nie ma czasu na przeczytanie całej książki, ponieważ tyle się dzieje! W internetowym slangu „tldr” oznacza „too long; didn’t read”, czyli „za długie; nie czytałem”. Co do obsesji bycia cały czas *online*, czyli jakiejś formy „nie-nudy”, zapewne może ona niekiedy wynikać z fałszywego przekonania, że wypada być zajęтым, że nuda jest zła, szkodliwa, nierozwijająca. Że przeciwieństwem nudy jest robienie czegoś pożytecznego.

Jestem za tym, co pożyteczne!

Jednak mózgowi trzeba dać poleniuchać, ponieważ umysł potrzebuje czasu i spokoju, żeby nabyte informacje poukładać, a później wykorzystywać.

Posłużę się metaforą kulinarną: żeby upiec ciasto, kupujesz masło, jajka, mąkę. Z tych produktów chcesz zrobić coś bardziej przetworzonego i użytecznego. Jeśli jednak nie masz czasu na upieczenie ciasta, lecz wciąż kupujesz nowe produkty, to w pewnym momencie masz pełno produktów, lecz żadnej szansy, by z nich skorzystać. Słowem, potrzebujemy chwili odprężenia dla mózgu, by stworzyć coś nowego.

To samo się dzieje, gdy czytam nową książkę, gdzie pojawiają się nieznane mi

dotąd informacje, które muszę zintegrować z informacjami zgromadzonymu do tej pory.

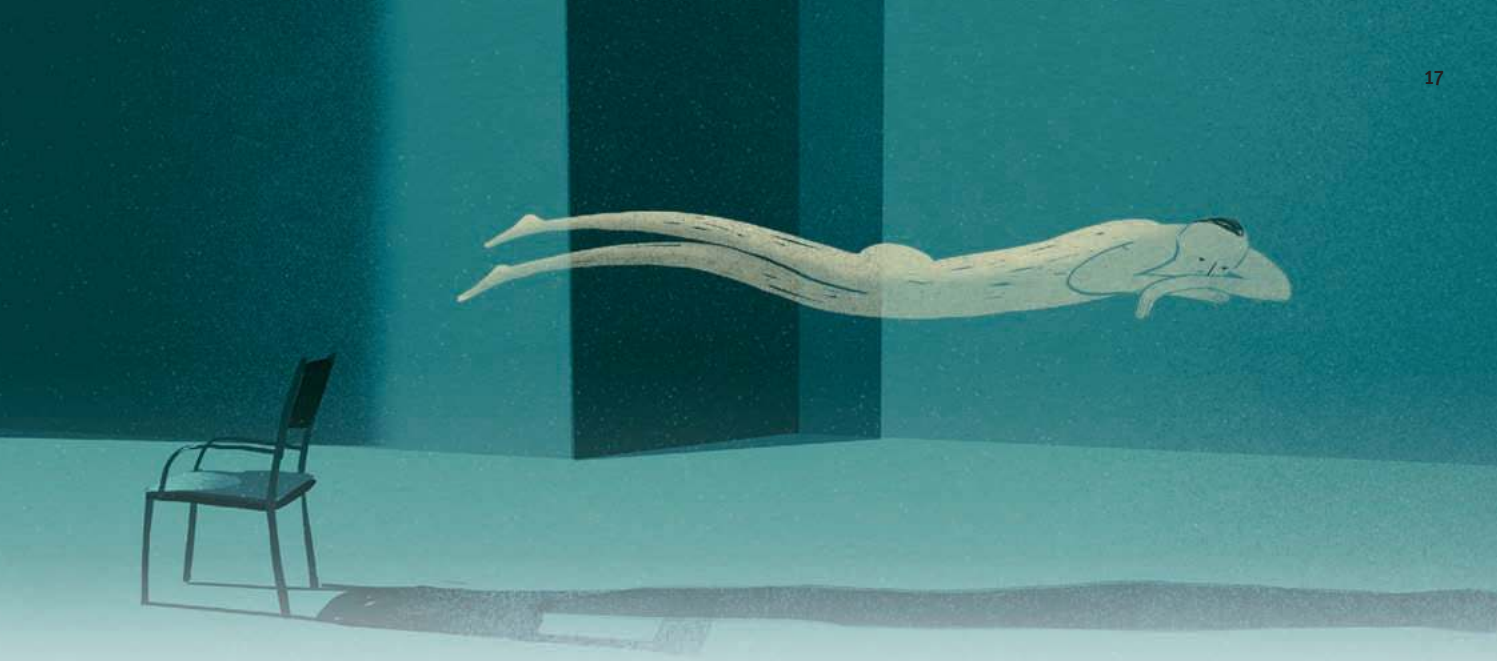
Rozmowa, którą teraz prowadzimy, nie pogłębi mojej znajomości z panią, jeśli po jej zakończeniu zajmę się czymś umysłowo wyczerpującym lub silnie emocjonalnym i nie dam sobie czasu, by zintegrować to doświadczenie.

Gdyby za chwilę zdarzyło się coś niezwykłego, powiedzmy, przed redakcją „Tygodnika” wylądowałoby UFO, zapewne i pani niewiele zapamiętałaby z naszej rozmowy.

Z tego wynika, że granica między nudą a wypoczynkiem jest płynna.

Odpoczywamy spacerując po parku, medytując, prasując koszule, uprawiając sport. I to jest właśnie ten piękny czas, w którym można sobie poukładać wrażenia zgromadzone w ciągu dnia. Niektórzy badacze uważają, że również sen jest formą przeżycia dnia na nowo i zintegrowania nowych informacji, powkładania ich do odpowiednich szufladek. Więc sen tylko pozornie jest stratą czasu, ponieważ i tak nie można, na szczęście, wykorzystać go inaczej. Cóż z tego, że zamiast chrapać, mógłbym przeprowadzać badania naukowe lub czytać naukowe teksty, skoro nie dam sobie szansy na refleksję i marzenia senne?

Mówi Pan o idealnej wersji odpoczynku: wśród drzew i traw. A przecież mnóstwo z nas zamiast tego włącza telewizor czy komputer, by oglądać serial.



Nie widzę niczego złego w oglądaniu seriali, choć zapewne oglądamy je z różnych powodów. Istnieją przecież seriale, które stanowią świetną formę rozrywki, które po prostu wypada znać. Czasem widzem jest zmęczony człowiek, który napracował się umysłowo w ciągu dnia i tylko pozornie ogląda serial – a tak naprawdę jego myśli krążą wokół innych spraw. Innym widzem może być osoba obracająca się w środowisku wywierającym presję: czy widziałeś ostatni odcinek? Kto zabił? Wreszcie, są też profesjonalści, którzy bez specjalnej pasji muszą oglądać nowości.

Brak pasji – to jest chyba coś, co nierozłącznie wiąże się z nudą.

Jednakże zaspokajamy swoje potrzeby w przeróżny sposób i to, co pozornie wydaje się stratą czasu, bywa życiową funkcją. Cokolwiek pozornie nieracjonalnego robimy, odpowiada to naszym zapotrzebowaniom. Nawet narkotyki, alkohol i hazard: jakkolwiek niczego nie rozwijają, nie budują, nie czynią dobra, to jednak ludzie wchodzą w takie pozornie irracjonalne aktywności, ponieważ chcą się poczuć szczęśliwymi, doświadczyć halucynacji, euforii lub wielkiej wygranej.

Co z tego wynika?

To, że nuda jest nam potrzebna, a nudzenie się nie jest nieracjonalne – tak było, jest i będzie. Czy powstaną nowe facebooki, czy – strach pomyśleć – pojawią się jeszcze nowsze gadzety, będziemy z nich pozyskiwać tyle samo wrażeń, co nasi rówieśnicy sto lat temu z ów-

Mózgowi trzeba dać poleniuchować, ponieważ umysł potrzebuje czasu i spokoju, żeby nabyte informacje poukładać, a później wykorzystywać.



KUBA OCIEPA / AGENCJA GAZETA

PIOTR POPIK jest z wykształcenia lekarzem, profesorem w krakowskim Instytucie Farmakologii im. Jerzego Maja Polskiej Akademii Nauk. Zajmuje się poszukiwaniem nowych leków przydatnych w leczeniu zaburzeń psychicznych. Wykłada farmakologię na Uniwersytecie Jagiellońskim.

czesnych źródeł informacji. Zdolności percepcyjne człowieka nie rozwijają się równie gwałtownie, jak nowe technologie. Nie sędzę, żeby moje przedinternetowe pokolenie i starsze od mojego pokolenie przedtelewizyjne były umysłowo gorsze czy słabsze od dzisiejszej młodzieży.

Skądinąd atrakcyjność i łatwość obsługi smartfona czy tabletu przez dzieci ułatwia pozyskiwanie nowych informacji. Właśnie w młodości wykazujemy największe potrzeby poznawcze, umysł jest szczególnie chłonny, głodny nowych wrażeń. Tak zdobywamy doświadczenia, ładujemy akumulatory, które będą wykorzystywane przez resztę życia. Natomiast dopiero czas pokaże, czy pokolenie wychowane na YouTube będzie równie szczęśliwe jak pokolenie, dla którego ważną wskazówką było „Sto lat samotności” czy „Mistrz i Małgorzata”.

A jednak formy nudy się zmieniały. Sto lat temu dla zabicia nudy człowiek czytał kronikę kryminalną, dziś ogląda kolejny serial kryminalny przypominający tuzin innych, które widział w ostatnim kwartale.

Nie wiem, czy czytano kroniki kryminalne dla zabicia nudy, czy raczej dlatego, że kroniki są po prostu interesujące. Zarówno z kronik, jak i z współczesnych mediów elektronicznych dowiadujemy się sporo o świecie. Różnica polega na czymś innym: na tym, że poprzez internet jesteśmy bombardowani, zalewani informacjami. Wszystkie konkurują o moją uwagę, natarczywie pragną, by się im przyglądać. A przecież doba ma



→ wciąż 24 godziny. Wszystkie te newsy wydają się interesujące, bardzo ważne, niezbędne. Tak nie jest. Czy coś stracę, nie włączając dziś Facebooka? Nic. Świat nie zmienił się na jotę od wczoraj. Podobnie gdy zrezygnuję z obejrzenia serialu, który *nota bene* jest właśnie tak skonstruowany, żeby wciągał, pochłaniał naszą uwagę. Doświadczeń istotnych, formatujących, każdy z nas wymieni kilka, i zapewne nie będzie to żaden serial. Żałowałbym nieprzeżycia kilku sytuacji, niepoznania kilku osób, niedoświadczenia narodzin dziecka, nieodbycia kilku podróży – lecz nie żałuję niezagłądania do sieci.

W tym sensie jesteśmy od wieków do siebie podobni.

Henri Lefebvre w „The Urban Revolution” zauważył, że nawet najmniejsze fragmenty naszego wolnego czasu zostały skolonizowane przez bezużyteczne, uzależniające śmieci. Efektem tego jest obniżenie się ludzkiego progu odporności na nudę. Lefebvre mówił to w 1970 r. – jeszcze przed upowszechnieniem komputerów i pojawieniem się internetu, telefonii komórkowej i cyfrowej telewizji. A na dzisiejszym uzależnianiu ludzi od nich zbijają fortuny... producenci chipsów i innych przekąsek.

Już Stanisław Lem w niegdysiejszych felietonach przewidywał upadek cywilizacji na skutek rozwoju raczkującego wówczas internetu. Co do przekąsek: Jerzy Konorski, największy polski psycholog eksperymentalny, w swojej książce „Integracyjna działalność mózgu” na-

zwał podobny rodzaj konsumpcji „od-ruchem orzeszkowym” występującym już u gryzoni. Siedzisz w kinie sięgając co chwilę po popcorn, a robisz to dlatego, że umysł ma „wmontowany” mechanizm tykający, dzięki któremu mamy poczucie czasu i przeżywamy rzeczywistość jako ciąg wrażeń. Prawdopodobnie powtarzanie konsumpcji tak małego obiektu jak ziarno orzeszka odpowiada temu ryt-mowi. Niektórzy badacze uważają, że palenie papierosów też może być formą synchronizowania z takim tykającym zegarem.

To kiedy nuda jest twórcza, a kiedy destrukcyjna?

Zapewne jak ze wszystkim: gdy odczuwamy dyskomfort, uciążliwość, gdy coś nam przeszkadza i niełatwo sobie z tym poradzić. Nuda długiej podróży, w samolocie, jest męcząca. Monotonna praca, towarzystwo nudziarzy, oglądanie gadających głów w telewizji, gdy ze stuprocentową pewnością można przewidzieć nawet kilka zdań naprzód, bywa nudne i wyczerpujące. Co interesujące, dziś większość studentów w ogóle nie ogląda telewizji, nie słucha radia – dzięki nowym mediom sami poszukują informacji ze źródeł, które uważają za ciekawe i wiarygodne.

Co do pożytku z nudzenia się: zdolność do nicnierobienia, z pozoru będąca stratą czasu, ma działanie ochronne dla mózgu, sprząta umysł i w tym sensie bywa twórcza. Oczywiście nie zachęcam studentów do nicnierobienia, przeciwnie, zachęcam do nasycania się wiedzą, jednak odpoczynek, chwila refleksji i spokoju są równie

ważne dla opanowania materiału jak faza – nazwijmy to – wkuwania.

Problem w tym, że dziś nudzimy się w samotności.

Ale jednocześnie dzieje się coś pozytywnego: powstają wciąż nowe miejsca, gdzie ludzie się spotykają, rozmawiają, choćby np. puby z grammi planszowymi – widocznie brakuje nam prawdziwego kontaktu z drugim człowiekiem, którego nie dają gry elektroniczne, media społecznościowe, wirtualna rzeczywistość. Chcemy z kimś pobyć. I się nie nudzić. Lub ponudzić się razem.

A Pan jak i kiedy się ostatnio nudził?

Staram się nudzić jak najczęściej! Proszę spojrzeć... (*wyciąga z kieszeni szkiełka oszlifowane przez morską wodę*). Zbie-rałem te szkiełka na brzegu Bałtyku. Byłem tam dwa tygodnie, chodziłem z psem po plaży. Odpocząłem, przemy-slałem wiele rzeczy, nabrałem energii na nowy rok.

Søren Kierkegaard pisał o nudzie:

„Bóg był tak znudzony, że stworzył człowieka. Adam nudził się, bo był sam, więc stworzona została Ewa. Od tego czasu nuda zawitała na dobre na świecie i narastała proporcjonalnie do przyrostu ludności”.

No nie wiem... Może ten wielki filozof się nudził, przedstawiając swoją alternatywną, ekscentryczną wizję stworzenia człowieka. Nam nuda się po prostu na-leży.

©Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA



REKLAMA

HYMN

SARAH BRIGHTMAN

IN CONCERT



PŁYTA JUŻ W SPRZEDAŻY

6 LISTOPADA 2019
COS TORWAR WARSZAWA
BILETY: PRESTIGEMJM.COM

WWW.SARAHBRIGHTMAN.COM

SWAROVSKI

Prestige
MJMuta
UNITED TALENT
AGENCYREGENT
WARSAW HOTELRMF
Classic

wprost

RZECZY

GAZETA BANKOWA

T3

WP

cgm.pl

STRÖER

VIXON

PRESS
SERVICE

pap

TVS

TVORUN

Grupa Mediaset

pro-art

TP Kluby „TP” zapraszają na spotkania

BIELSKO-BIAŁA

Poniedziałek, 16 września, godz. 17

„Miłość to nie tylko uczucie. Jak rozumiał katolicyzm Jerzy Turowicz”.

Gościem będzie Anna Mateja.

Miejsce: Książnica Beskidzka
(ul. Słowackiego 17A).

GOSZYCE

Sobota, 14 września, godz. 12–19

„Kultura i polityka” z cyklu

„Świat Turowicza”. Cały program dostępny

na.klubtygodnika.pl/wydarzenia.

Uwaga! Prosimy o potwierdzenie udziału

mailem: fundacja@turowicz.org

LUBLIN

Środa, 18 września, godz. 18

„Milcząca obecność – krzyżująca nieobecność. O kobiecie w Kościele”.

Gośćmi będą: prof. Elżbieta Adamiak,
ks. dr Krzysztof Podstawka.Miejsce: klasztor oo. Dominikanów
(ul. Złota 9).

RZESZÓW

Piątek, 13 września, godz. 19„Dzieci jednego Boga”. Gościem będzie
sheik Mazim Alsani. Miejsce: klasztor
oo. Dominikanów (ul. Dominikańska 15).

WARSZAWA

Wtorek, 17 września, godz. 18

„Być kobietą w Kościele”.

Gościem będzie prof. Elżbieta Adamiak.

Prowadzenie Zuzanna Radzik. Miejsce: sala KIK
(ul. Freta 20/24A, II piętro).

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabiń,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedytacja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frolow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczyńska (kierownik),
Anna Dziurdzińska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziurdzińska, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
Adam Kosiński, Ryszard Kosiński, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin
Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Świątek, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

S-NET
GRUPA ZOYAS-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla „Tygodnika
Powszechnego”Quad
GraphicsQuad/Graphics w Wyszkowie
drukuję „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Bóg Jonasz



JONASZ WYBRAŁ BOGA Z KSIĘGI LICZB, który inaczej niż ludzie nie podlega zmianom, nie myli się, nie żałuje swoich wyborów. „Bóg nie jest człowiekiem, aby nie dotrzymał słowa, ani synem człowieczym, aby żałował. Czy On powiada, a nie czyni?

I mówi, a nie spełnia?” (Lb 23, 19). Tak mówił obcy i wrogi Izraelowi prorok Balak, który zamiast przekląć Hebrajczyków wygłosił swoją wyrocznię, jak Pan mu nakazał. Podobnie brzmią dzisiaj słowa Izajasza, który pięknie wykrzykiwał potęgę i wszechmoc Pana: „Wspomnijcie na sprawy dawne, odwieczne, że Ja jestem Bogiem i nie ma innego, jestem Bogiem i nie ma takich jak Ja. Ja od początku zwiastowałem to, co będzie, i z dawna to, co jeszcze się nie stało. Ja wypowiadam swój zamysł, i spełnia się on, i dokonuję wszystkiego, co chcę. Przywołuję ze Wschodu ptaka drapieżnego, z ziemi dalekiej męża, który wykonał zamysł; jak powiedziałem, tak to wykonuję, jak postanowiłem, tak to czynię” (Iz 46, 9-11).

Zaiste, Pan się nie zmienia, uczył prorok Malachiasz. Tak myślał o swoim Bogu Jonasz, przekonany, że Niniwa powinna zginąć, bo taki los zapowiedział Wiekuisty. Jonasz powiedział Bogu: wiem, że jesteś cierpliwy, pełen łask; ale to nie oznacza, że możesz zmieniać swoje nakazy. Jonasz nie chciał podejmować się swojej misji, by nie rozczarować się swoim Bogiem i nie wpaść w złość. Wybierał śmierć, byle tylko nie zawieść się na Panu. Cekał śmierci, jaką zada mu sam Pan, bo tylko On mógł to uczynić. Jakby wiedział od początku, że Bóg postawi go w nieznosnej sytuacji. Zamiast – jak oczekiwał Jonasz – zmiażdżyć wroga, raczej go ocali. Jonasz zetknął się z wyzwaniem teologicznym, i nie umiał sobie poradzić.

A może w tym wszystkim chodziło o coś zupełnie innego? Takie sugestie odnajduję w wielu dawnych komentarzach. Bał się Jonasz tego, że zostanie nazwany zdrajcą, bo pomagał największemu wrogowi Izraela. Bał się, że jak wróci do królestwa Izraela i obwieści, co się stało, będzie się mówiło, że za jego pośrednictwem ocalono państwo okrutników, które okazało się po kilku dziesięcioleciach zabójczo groźne dla Hebrajczyków. Wszak napad Asyryjczyków na północne ziemie synów Jakuba zmiotł królestwo Izraela, a większość plemion, potomków Jakuba, zostało rozproszonych i zaginęło. Do dzisiaj nie wiemy, gdzie są i czy zachowali pamięć swojej wielkości. Była to być może największa w historii ludu katastrofa. Jonasz wolał stracić głowę i duszę, niż zostać uznanym za tego, kto ocalił największych nieprzyjaciół.

W tej opowieści widzimy, że zmienia się Bóg, albo dokładniej: odsłania nowe oblicze; ale nie zmienia się Jonasz domagając się od niego, by pozostał takim, jakiego zna i jakiego wybrał. Na czym polegała owa zmiana w istnieniu Boga – opowiem w następnych komentarzach. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Owca i krzyż



W EWANGELII ŁUKASZA CZYTAMY: „SCHODZILI SIĘ [do Jezusa] wszyscy celnicy i grzesznicy, aby Go słuchać. Faryzeusze jednak i nauczyciele Pisma szemrali: On przyjmuje grzeszników i jada z nimi. Opowiedział im wtedy tę przypowieść: Któż

z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną z nich, nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni i nie szuka tej zaginionej, aż ją znajdzie? A kiedy ją znajdzie, bierze ją z radością na ramiona. Po powrocie do domu zwołuje przyjaciół i sąsiadów i mówi im: Cieszcie się ze mną, bo znalazłem moją zaginioną owcę. Mówię wam: Większa będzie radość w niebie z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia”.

Z tą owcą sprawa nie musi wyglądać tak sielankowo, jak sobie to dzisiaj wyobrażamy. Ponoć taka owca uciekinierka stanowi poważne zagrożenie dla stada. Zakosztowawszy swobody, przy najbliższej sposobności znowu ucieknie, a co gorsza, pociągnie ze sobą pozostałe. Kiedy więc pasterz ją odnajdzie, wcale nie wpada w radosne uniesienie, przeciwnie, los takiej niesfornej owcy, nawet jeśli tylko gapowatej, jest już przesądzony.

W tym kontekście interpretacja przypowieści nabiera nowych znaczeń, zgodnych zresztą z tym, co czytamy w Biblii, gdzie Bóg mówi: „Ja bowiem nie oceniam tak jak ludzie. Ludzie poprzestają na wyglądzie, a Pan patrzy na serce”. Patrzy przede wszystkim w swoje serce, a przez nie patrzy w serca swoich dzieci. Dlatego Syn Boży nie szuka zagubionej owcy w żadnym innym celu, jak tylko po to, żeby jej dać szansę powrotu do stada, do wspólnoty.

Niesforną bierze na ramiona. Znamy takie powiedzenia jak ciężar krzyża, krzyżowa męka, upadek pod krzyżem, każdy musi swój krzyż dźwigać, Bóg zsyła krzyże i krzyżyki itd. Mówiąc tak, utożsamiamy krzyż z fizycznym i psychicznym cierpieniem i bólem, sądząc jednocześnie, że to ogrom tego cierpienia jest przyczyną zbawienia, cokolwiek pod tym określeniem rozumiemy. Popatrzmy jednak na krzyż, mając w pamięci przypowieść o zaginionej owcy. Jezus niesie owcę – Jezus niesie krzyż. Nałożmy teraz te obrazy i popatrzmy, jak krzyż zmienia swoją wymowę. Przestaje być jedynie symbolem ogromu cierpienia, a staje się symbolem miłości. Zaczynamy dostrzegać, że najprawdziwszym krzyżem Jezusa jest Jego wierność ludziom i Bogu. Stąd najprawdziwszym krzyżem, który Jezus wciąż dźwiga, jesteśmy my, ludzie i każdy człowiek z osobna bez względu na światopogląd i kondycję moralną.

Krzyżem Jezusa jest również, jeśli nie przede wszystkim, Kościół. Jednym słowem: krzyżem Jezusa jest Jego miłość do ludzi i świata. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Zasady rybactwa

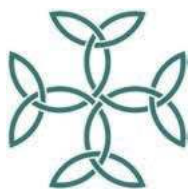
Abba Besarion
umierając powiedział,
że mnich powinien być
jak cherubiny i serafiny:
cały okiem.

PIERWSZA KSIĘGA STARCÓW



Kto jest pewny,
że cały ten różnorodny
i pełny cudów świat
jest niczym,
ten – bez żadnych
skłonności – staje się
czystym światłem
spokojnego poznania;
znajduje pokój,
jakby nic nie powstało.

ASZTAWAKRAGITA



DZIŚ ZNÓW PRAW-
dziwy „okruch”
– z pozoru wręcz
drobiazg przynie-
siony przez Liturgię.
Jakiś czas temu

przypomniała nam ona pierwsze spo-
tkanie Jezusa z Szymonem Piotrem
(w zapisie Łukasowym – zob. Łk 5,
1-11). Zamyka je zdanie-obietnica wy-
powiedziane do przyszłego apostoła,
które w polskich przekładach Biblii naj-
częściej brzmi następująco: „Nie bój się;
odtąd ludzi łowić będziesz”.

Tymczasem w greckim tekście Ewan-
gelii – w dosłownym tłumaczeniu
– czytamy: „Nie bój się; odtąd będziesz
łowiącym ludzi” (i tak też – dosłown-
nie i wiernie – tłumaczy św. Hieronim
w Wulgacie: „*Noli timere, ex hoc iam ho-
mines eris capiens*”).

Jezus nie zapowiada Szymonowi Pio-
trowi, co będzie robił, tylko kim się sta-
nie.

Podobnie zresztą czytamy w rów-
noległych tekstach u Marka i u Mate-
usza: „Uczynię was rybakami ludzi”
(Mt 4, 19); „sprawię, że staniecie się ry-
bakami ludzi” (Mk 1, 17). Obietnica
w obu redakcjach poprzedzona jest we-
zwaniem: „Pójdźcie za Mną!”.

Najwyraźniej w oczach Jezusa wy-
pełnienie misji, do której powołuje On
swoich uczniów, nie zależy od nabycia
przez nich kilku nowych umiejętności
(ich dzisiejszy katalog objąłby zapewne
studium retoryki, zajęcia z zakresu
leadership, a więc sposobów i technik

przewodzenia w grupie, propedeutykę
psychologii oraz kurs posługiwania się
nowoczesnymi narzędziami komuni-
kacji etc.). Według Jezusa powodzenie
misji apostołów zależy raczej – z ich
strony – od tego, kim są, albo (jeszcze
lepiej) od tego, kim się przy Nim staną.

To, kim będą, okaże się rozstrzyga-
jące; nie to, co potrafią, a już na pewno
nie to, ile mają.

Pan mówi o byciu rybakami do ry-
baków. Ktoś może zapytać: któż lepiej
od nich zna się na rybactwie? Czego
nowego o swoim rzemiośle mogą się
nauczyć, przebywając na co dzień z...
Cięślą?

A może jednak bardzo potrzebują
tej lekcji? Przede wszystkim dlatego,
że łowienie ludzi odbywa się wedle
innych zasad niż łowienie ryb. Ludzi
łowi się inaczej. Nie wystarczy zwy-
czajnie „rzucić sieć”; może się – na-
wet po wielu godzinach całonocnej
pracy – okazać pusta („całą noc praco-
waliśmy i nic nie ułowiliśmy”). Niby
wszystko zostało poprawnie zrobione,
wedle wszystkich reguł podpowiada-
nych przez rybackie doświadczenie.
Bez żadnego efektu. Czego zabrakło?

Może znajdą odpowiedź na to pyta-
nie właśnie będąc przy Jezusie? Może
w którymś momencie zadadzą sobie
pytanie o to, w jaki sposób On ich złó-
wił?

W jaki sposób łowi również innych?

I odkryją na pewno, że rozstrzygające
w tej relacji jest – i zawsze było – to, kim
On jest. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (15 – 22 IX)

Wybrat PIOTR SIKORA

24. Niedziela Zwykła: Wj 32, 7-11. 13-14; Ps 51;
1 Tm 1, 12-17; Łk 15, 1-32;

Poniedziałek: 1 Tm 2, 1-8; Ps 28; Łk 7, 1-10;

Wtorek: 1 Tm 3, 1-13; Ps 101; Łk 7, 11-17;

Środa: Mdr 4, 7-15; Ps 148; 1 J 2, 12-17; Łk 2, 41-52

Czwartek: 1 Tm 4, 12-16; Ps 111; Łk 7, 36-50;

Piątek: 1 Tm 6, 2c-12; Ps 49; Łk 8, 1-3;

Sobota: Ef 4, 1-7. 11-13; Ps 19; Mt 9, 9-13;

25. Niedziela Zwykła: Am 8, 4-7; Ps 113;

1 Tm 2, 1-8; Łk 16, 1-13.



KRAJ



DUMNI, PEWNI, NIEGOTOWI

Ani nam, ani naszym zachodnim sojusznikom nie grozi status potęgi. Kryterium siły będzie raczej gotowość do reagowania na zmiany technologiczne i dewastację środowiska – większe zagrożenia niż spodziewany atak ze wschodu.

OLAF OSICA



MIMO DOBREGO SAMOPOCZUCIA JESTEŚMY coraz bardziej nieprzygotowani na dokonujące się wokół nas zmiany. Polska polityka zagraniczna w ostatnich czterech latach była w najważniejszych obszarach polityką *status quo*, czyli kontynuacji. Towarzyszył jej brak profesjonalizmu oraz napady szaleństwa i megalomanii równoważone przyływami zdrowego rozsądku i realizmu. Ale przekonanie, że „więcej tego samego” jest najlepszą odpowiedzią na radzenie sobie w otaczającym nas świecie, to duży błąd.

Trump nasz powszedni

Znakiem firmowym polskiej polityki zagranicznej było mocne postawienie na stosunki z Ameryką. Choć wielu komentatorów, a także opozycja kręci nosem na samego Trumpa, doświadczenie uczy, że każdy rząd i każdy prezydent w ostatnich 30 latach za wszelką cenę zabiegali o względy administracji amerykańskiej. Także w sposób, który budził niekiedy zażenowanie.

Jeśli jest szansa na kontynuację zaangażowania wojskowego USA w regionie, jeśli mamy sprzyjający nam Kongres i prezydenta, który musi pokazać, że zarzuty o współpracę z Rosją są nieprawdziwe, to grzechem byłoby odpuścić okazję. Należy ją maksymalnie wykorzystać, bez względu na osobowość lokatora Białego Domu. A obecny woli biznes od polityki. Jeśli zatem możemy kupować gaz po konkurencyjnych cenach, przyciągnąć inwestycje lub pozyskać dostęp do technologii – trzeba to robić.

Błędem jest jednak założenie, że zwiększając ofertę biznesową budujemy silny filar polityczny, który zamortyzuje nam postępujące rozluźnienie współpracy euroatlantyckiej. Deklarując zamiar kupowania amerykańskiego uzbrojenia bez przetargów, wycofując się z podatku cyfrowego i walki z cyfrowymi monopolami z Doliny Krzemowej, nie tylko przepłacamy lub rezygnujemy z należnych nam podatków, ale przede wszystkim kupujemy złudzenie własnego znaczenia w polityce amerykańskiej. Powód odwołania ostatniej wizyty w Polsce czy decyzje o ścięciu wydatków Pentagonu na roz-

budowę infrastruktury w Polsce (fundusze przesunięto na budowę muru z Meksykiem) powinny działać trzeźwiąco.

Druga strona oddziela bowiem współpracę biznesową, której stroną są prywatne firmy (w USA, bo w Polsce to spółki Skarbu Państwa), od kwestii strategicznych, które dotyczą zobowiązań państwa. Ameryka jest związana gwarancjami bezpieczeństwa Polski wyłącznie w ramach NATO. Powracająca nieustannie idea polsko-amerykańskiego sojuszu, którego filarem jest współpraca gospodarcza, a konsekwencją mają być gwarancje bezpośrednie, to czysta fantazja.

Europejskie paradoksy

Przechył w stronę USA nie byłby może tak bardzo odczuwalny, gdyby równoważyło go silne zaangażowanie w sprawy europejskie. Tymczasem nasza polityka europejska jest największym paradoksem i zarazem największą porażką. Zaskakuje to tym bardziej, że w sporach unijno-amerykańskich Polska konsekwentnie wspierała europejskich partnerów. Polityka wobec Bliskiego Wschodu, wojna handlowa czy brexit są przykładami sytuacji, w których Polska działa pragmatycznie, stawiając na pierwszym miejscu interes państwa. Źródłem porażki jest natomiast deklarowana przez PiS ambicja zmiany reguł działania Unii.

Zapowiadane propozycje zmian traktatów nigdy nie ujrzały światła dziennego. Natomiast spór o praworządność dał Komisji Europejskiej możliwość poszerzenia swoich kompetencji w obszarze, który z prawnego punktu widzenia nie jest oczywisty. W efekcie, zamiast wzmocnić rolę rządów poszczególnych państw w procesie decyzyjnym w Unii, co wydawało się główną intencją zmiany traktatów, Polska aktywnie przyczyniła się do wzmocnienia politycznej roli Komisji. Znienawidzony przez Prawo i Sprawiedliwość Frans Timmermans wyrósł na silnego gracza.

Odkładając na bok zasadność tzw. reformy sądów, starcie amatorskiej polityki z profesjonalną biurokracją jest bolesną nauką dla wszystkich, którzy uważają, że siłę państwa mierzy się siłą narracji wspartą PKB i wielkością armii, nie zaś wiedzą i umiejętnościami polityków. Ten sam problem dał o sobie znać przy ustawie o IPN czy przy konferencji bliskowschodniej, która przerodziła się w spektakl obrażania gospodarza przez gości.

Porażki w polityce europejskiej zaciążyły na pozycji Polski w regionie. Firmowane przez ośrodek prezydencki Trójmorze udało się doprowadzić do skutku przy wsparciu administracji amerykańskiej (start inicjatywy był skorelowany z pierwszą wizytą Donalda Trumpa), a jego żywot przedłużyło wejście do projektu Niemiec, które przestraszyły się, że może on skomplikować Berlinowi grę w regionie. Choć partnerzy nie kwestionują naszych ambicji do bycia liderem regionu, w praktyce mocno i skutecznie z nami rywalizują, korzystając z polskich słabości. Dotyczy to zwłaszcza Słowacji i Litwy. Sojusz z Węgrami okazał się korzystny głównie dla Viktora Orbána: polskie kłopoty z praworządnością przykryły te węgierskie.

Więcej Niemiec

Problem ze współpracą w regionie jest też pochodną mocnej retoryki antyniemieckiej. Bliskość Warszawy i Berlina z czasów, gdy premierami byli Donald Tusk i Ewa Kopacz, uchodziła za przejaw polskich kompleksów i symbol podporządkowania Niemcom. Politycy PiS zapowiadali zasadniczą zmianę. I w tym jednak przypadku retoryka polityczna rozjechała się z realną polityką.

Polska w roku 2019 jest jeszcze bardziej związana z Niemcami, niż była cztery lata temu. Nasza wymiana handlowa jest większa niż brytyjsko-niemiecka, a polskie firmy zrównały się z włoskimi jako dostawcy dóbr i usług dla gospodarki naszych zachodnich sąsiadów, mimo że mamy gospodarkę nominalnie cztery razy mniejszą. To zjawisko pozytywne, ale trzeba pamiętać, że gospodarka niemiecka najlepsze lata ma za sobą.

Patrząc z kolei na kanclerz Merkel i słuchając prezydenta Steinmeiera podczas 80. rocznicy obchodów wybuchu II wojny światowej, trudno nie odnieść wrażenia, że to Niemcy okazują się dzisiaj najważniejszym sojusznikiem politycznym Polski w Europie. Wsparcie dla kandydatury Ursuli von der Leyen na przewodniczącą Komisji i oferta teki komisarza ds. rolnictwa dla Polski jest tego kolejnym dowodem. Trudno jednak sojusz ten nazwać świadomym swych dłuższych celów – poza kontynuacją sporu o Nord Stream.

Wielka Brytania, która miała być naszym głównym partnerem w Unii, równoważąc wpływy Niemiec, wysłała na te ważne dla nas obchody ministra spraw →

„Kawaleryjska powinność” – rekonstrukcja szarzy 18. Pułku Ułanów Pomorskich pod Krojantami. W tle śmigłowiec Sokół, 2 września 2018 r.

→ zagranicznych, choć jej rola we wrześniu 1939 r., a także podczas wojny, była dla Polski kluczowa. Francja, która miała się od nas uczyć jeść widelcem, przysłała premiera... Dla rządu i ugrupowania o dużej wrażliwości historycznej sygnały te powinny być czytelne.

Potęga status quo

Mimo więc zapowiedzi wielkich zmian, które miałyby przygotować Polskę na nowe trudne czasy, nasza polityka zagraniczna jest dzisiaj polityką faktycznego *status quo*. Za retoryką odnoszącą się do reformy czy rozszerzania Unii Europejskiej i NATO na wschód nie kryje się żadna realna koncepcja polityczna. Dominuje raczej przekonanie, że oba procesy odbyłyby się ze szkodą dla spójności i efektywności obu organizacji. Dlatego też w cieniu pozostaje polityka wschodnia, która zawsze była dla nas probierzem własnej siły.

Rosja nie była, nie jest i nie będzie w dającej się przewidzieć przyszłości gotowa do normalnej współpracy politycznej. Gdyby jednak z jakichś powodów sytuacja się zmieniła, fundament polityki Polski w NATO i Waszyngtonie zaczęłyby pękać. Stosunki z Białorusią są zawsze wypadkową problemów Aleksandra Łukaszenki z Rosją i od lat mają charakter do rażny. Jedynie Ukraina wydaje się nową kartą wymagającą nowego namysłu. Sukces jej reform, choć wciąż trudny do wyobrażenia, byłby ostatecznym końcem polskiej polityki wschodniej, tak jak zjednoczenie Niemiec, a następnie rozszerzenie Unii i NATO oznaczało kres Ostpolitik w Europie Środkowej. Do tego droga jeszcze daleka, ale warto o takim scenariuszu pamiętać.

Dlatego dbanie, aby obecny, delikatny układ sił, który daje Polsce dobre miejsce przy negocjacyjnym stole i dostęp do zasobów unijnego budżetu i amerykańskiej potęgi wojskowej, a zarazem mentalną przewagę na wschodzie, nie uległ istotnej zmianie, jest znakiem rozpoznawczym polskiej polityki. Żyjemy w świecie, który nie jest bezpieczny ani przewidywalny, ale daje nam poczucie psychologicznego komfortu. Możemy go krytykować i spierać się o niego, ale nie zaryzykujemy w nim żadnej zmiany w obawie przed konsekwencjami. To jest chyba największy sukces ostatnich czterech lat. Ma on jednak też swoją cenę.

Nowoczesna polityka zagraniczna ma niewiele wspólnego z tradycyjnie rozumianą dyplomacją.

Jest raczej wypadkową decyzji stricte krajowych.

Niegotowi na globalizację

Nigdy jeszcze po 1989 r. dyskusja o polityce zagranicznej nie była tak mocno spleciona z polityką krajową. Z jednej strony to dobrze, bo podział na to, co w środku, i to, co na zewnątrz, ma coraz częściej charakter akademicki. Przekonujemy się o tym słysząc o wojnie handlowej, która może spowodować wzrost gospodarczy, o „zielonej rewolucji”, która nie daje szansy energetyce węglowej czy o kryzysie lekowym spowodowanym uzależnieniem Europy od importu substancji czynnych z Chin. Także bolączki rynku pracy zmuszają nas do przyspieszonego kursu różnic kulturowych: nie tylko Ukraina, ale Indie, Pakistan czy Filipiny stają się dzisiaj bliższe mieszkańcom polskich miast.

Te wszystkie zmiany mają początek w wydarzeniach i decyzjach poza naszymi granicami i poza naszą kontrolą. Wydawałoby się więc, że mając świadomość postępującej globalizacji i problemów, które ona niesie, powinniśmy spierać się o to, jak sobie z nimi radzić. W praktyce dzieje się inaczej.

Rosnące otwarcie polskiej gospodarki i społeczeństwa, uzależnienie od trendów i wydarzeń globalnych sprzyja zamykaniu się we własnym świecie na przekór codziennej obserwacji. Zamiast polityki wybieramy polityczną opowieść, zamiast kuracji poddajemy się znieczuleniu, a w miejsce interesów podstawiamy wierność ideologicznym założeniom.

Największym błędem dzisiejszej polskiej polityki zagranicznej jest nieustająca pokusa płynięcia na fali (bo mamy sukces), ale za to pod prąd (bo to my wyznaczamy kierunek). Ostatnie cztery lata bardzo wyraźnie to pokazały.

Polski liberalizm polityczny przegrał, bo dał się ponieść fali globalizmu i integracji gospodarczej, zapominając o państwie i sprawiedliwości społecznej, bez których idea liberalna staje się zaprzecze-

niem wolności. Za błąd liberałów przyszło nam płacić frustracją ogromnych rzesz społeczeństwa i słabymi instytucjami, które padły pod naporem mało wyrafinowanego populizmu.

Polski narodowy konserwatyzm dał się z kolei uwieść fali deglobalizacji, która jest narzędziem walki dużych i możnych, a nie nadzieją dla małych i biednych. Jesteśmy kuszeni hasłami siły i suwerenności, których miarę stanowi gotowość udziału w cudzych bitwach, a nie mierzalny interes własnego państwa. Trudno bowiem racjonalnie zrozumieć zachwyt nad ideą Brexitu czy *Schadenfreude* wywołane kryzysem integracji europejskiej. Oba zjawiska dotyczą fundamentu, na którym opieramy swoje bezpieczeństwo i rozwój. Ceną za ideową wierność na przekór zdrowemu rozsądkowi jest nieuchronny spadek pozycji państwa, taktyczne sojusze i iluzja własnej siły.

Tak jak protekcyjnista i pozbawiona strategicznej perspektywy Europa nie leży w interesie Polski, tak izolacjonista i narcystyczna Ameryka przestaje być wiarygodnym sojusznikiem. Europe możemy jednak próbować zmieniać, na USA wpływu żadnego nie mamy.

Nie czekajmy na wojnę

Wyjściem z ideowego klinczu, który wciąż wyznacza nam pole dyskusji i sporu politycznego, nie może być reanimacja tego, co było, ani naprawa tego, co jest. Musi być nim wyjście poza ramy, w których przywykliśmy definiować miejsce i rolę Polski w polityce międzynarodowej. To będzie długi proces.

Po pierwsze, trzeba zaakceptować siebie samych, własne państwo i jego słabości. Nie czekajmy na wyśnioną siłą i suwerenną Rzeczpospolitą, która nawiąże do swych mniej lub bardziej prawdziwych tradycji, bo szkoda czasu. Ani nam, ani naszym zachodnim sojusznikom nie grozi status potęgi. Raczej wszyscy przechodzimy bolesny proces utraty znaczenia i rosnącej zależności od procesów zachodzących tysiące kilometrów od nas. Kryterium siły i suwerenności nie jest miernikiem naszej pozycji. Nie jest też żadnym drogowskazem politycznym.

Tym kryterium jest natomiast gotowość do reagowania na problemy: na zmiany technologiczne, które wystawiają naszą prywatność i polityczną spraw-

czość na łup cyfrowych korporacji i wrogich nam państw. Na zmiany klimatyczne i dewastację środowiska, które niosą większe zagrożenie dla życia i dobrobytu niż spodziewany atak ze wschodu. A także na zmiany społeczne (zmiana pokoleniowa!), które wpływają na optykę patrzenia na świat i własne państwo.

Po drugie, choć geografii nie zmienimy i na lata pozostaniemy na skraju bądź uskoku między światem Zachodu i Wschodu, nie ma sensu żyć w poczuciu ciągłego zagrożenia. Nie jest zresztą prawdą, że poważnie traktujemy zagrożenie wojną. Reforma sił zbrojnych stanowi od dekad najlepszy dowód: w miarę zwiększania funduszy maleje zdolność bojowa, rośnie natomiast zdolność defiladowa polskiej armii, która – jak celnie zauważył Juliusz Sabak z portalu Defence24.pl – jest w coraz większym stopniu „armią homeopatyczną”. Wschód jest wyzwaniem politycznym. Czy i kiedy dla zdobycia przewagi użyje narzędzi wojskowych – to kwestia otwarta. Nie mamy na to niestety większego wpływu, tak jak nie mamy i nigdy nie będziemy mieć gwarancji, że radość ze stacjonujących u nas kolejnych oddziałów sojuszniczych nie zamieni się w smutek ich żegnania. Dlatego więcej korzyści odniesiemy zachowując zdrowy dystans do nieprzewidywalnego i działając na rzecz silnej politycznie Europy jako partnera Ameryki, niż stawiając wszystko na jedną kartę i militaryzując myślenie o bezpieczeństwie.

I po trzecie, trzeba pożegnać się z myśleniem, że polityka zagraniczna jest magicznym obszarem, który pozwala kreować świat według własnych wyobrażeń. Jesteśmy odbiorcą – raz beneficjentem, innym razem ofiarą – trendów globalnych. Członkostwo w Unii, sukces transformacji i peryferyjne położenie łagodzą wiele problemów. Ale problemy nowe coraz mocniej dają o sobie znać. Nie da się ich rozwiązać za pomocą abstrakcyjnych sporów o europejskość, integrację, siłę lub suwerenność. Nowoczesna polityka zagraniczna ma niewiele wspólnego z tradycyjnie rozumianą dyplomacją. Jest raczej wypadkową decyzji, które mają charakter *stricte* krajowy.

Rolą dyplomacji niezamożnego państwa średniej wielkości jest inteligentna nawigacja między rafami, a nie satykanie flagi na pierwszej, na którą uduła się nam wdrapać, aby odtrąbić zwycięstwo.

© OLAF OSICA



Przymknięte oko sprawiedliwości

MARIUSZ SEPIOŁO

W polskim więzieniu wszystko jest możliwe. Przeoczenie samobójstwa ważnego więźnia w celi to też nic niesłychanego.

POD CELĄ WISIAŁ TRZY RAZY. DWA RAZY go odcinali, raz lina pękła. To nie jest kwestia zbiegu okoliczności, mówi, to działanie Boga, który uznał, że jeszcze wszystkiego na tej ziemi nie zrobił, że jeszcze go na niej zostawi. – Ale gdybym bardzo chciał, tobym to zrobił skutecznie – mówi Irek, dziś człowiek wolny i szczęśliwy. – W więzieniu każdy znajdzie na to sposób, bez względu na to, jak bardzo jest pilnowany.

W polskich więzieniach działa giełda wymiany usług za fanty, pieniędzy za fanty, fantów za usługi. Graczami są klawisze, więźniowie, ich żony, kochanki, kumple z wolności. Załatwiają wszystko. Od papierosów po amfetaminę. Od pornograficznych gazetek po widzenie z prostytutką. Od wódki po dopalacze. Przebiecie jest wysokie: 200–300 proc. Cennym towarem jest też informacja. Wymiana musi następować za czymś pośrednictwem.

Czasem przedmiotem transakcji jest cisza, odwrócony wzrok. Cena za taką usługę potrafi być jeszcze wyższa.

W 2007 r. w celi aresztu w Olsztynie został znaleziony martwy Wojciech Franiewski, przywódca grupy, która uprowadziła Krzysztofa Olewnika. Sekcja zwłok wykazała w jego organizmie obecność alkoholu i amfetaminy.

Media docierały do kolejnych relacji, z których wynikało, że środki odurzające Franiewski mógł zażyć w celi. Prawie rok później w kąciu sanitarnym celi w areszcie śledczym w Płocku powiesił się na prześcieradle Sławomir Kościuk, jeden z porywaczy. Cella była jednoosobowa, kąciek sanitarny poza zasięgiem monitoringu. Ale skąd kilka złamanych żeber i otarcia na ramionach?

Inny porywacz Robert Pazik, odsiadujący wyrok w Sztumie, miał powiedzieć bliskim, że przewiezienie do zakładu karnego w Płocku będzie oznaczało wyrok śmierci. W Sztumie był strzeżony 24 godziny na dobę.

Krótko po przewiezieniu do Płocka został znaleziony martwy w celi. Oględziny wskazały, że przyczyną śmierci było samobójstwo.

→

⇒ W ubiegłym roku głośno było o patologiach w zakładzie karnym we Włocławku. Dziennikarze „Rzeczpospolitej” dotarli do informacji, że w więzieniu toczy się śledztwo miejscowej prokuratury, sprawdzającej przyczyny serii tajemniczych zgonów, ale też notorycznych przypadków przemytu i handlu narkotykami, które miały się odbywać „przy cichym przyzwoleniu” klawiszów. We Włocławku w ciągu ośmiu miesięcy (do lipca 2018 r.) zmarło czterech osadzonych. Trzech w wyniku ostrej niewydolności krążeniowo-oddechowej, mimo stosunkowo młodego wieku. Zgony uznano wówczas za naturalne, choć nie zlecono badań toksykologicznych. Dziennikarze nieoficjalnie ustalili także, że nad jednym ze zmarłych znęcali się współosadzeni.

W połowie sierpnia 2019 r. w areszcie śledczym we Wrocławiu popełnił samobójstwo 21-latek. Jego sąsiad z pryczy obok zeznał, że niczego nie widział ani nie słyszał. To nie pierwszy taki przypadek we Wrocławiu. W tym samym areszcie siedem miesięcy wcześniej powiesił się 26-latek, a śledztwo wykazało niedopatrzenie jednego z funkcjonariuszy służby więziennej.

Jednym z najgłośniejszych przypadków jest śmierć Dawida Kosteckiego, ps. „Cygan”. Były bokser, ale też człowiek związany z półświatkiem przestępczym, został znaleziony martwy w celi aresztu na warszawskiej Białolece. Miał się powiesić, leżąc na łóżku przykryty kocem, co spowodowało, że strażnicy i współwięźniowie nie dostrzegli niczego podejrzanego.

Klatka i kij

Irek cieszy się życiem. W to upalne popołudnie spędza czas nad wodą z żoną i córką. W więzieniu się nawrócił. Poznał Leszka Podoleckiego, prezesa fundacji Instytut św. Alberta, który pomaga wrócić więźniom na dobrą stronę. Wyszedł, zbudował rodzinę. Agresję, która zawsze w nim była, ukierunkował na sport. Wyżywa się w oktagonie, walczy i odnosi sukcesy w MMA.

– Człowieka, który od zawsze, od najmłodszych lat musiał o wszystko walczyć, trudno tego oduczyć – mówi. – Kiedy trafiłem za kratki na 11 lat, byłem jak rozjuszone zwierzę, nastawiony na atak. Wyobraź sobie, że złego psa zamykasz w klatce i walisz w klatkę kijem. Jaki będzie, kiedy z tej klatki wyjdzie? Znałem przypadki grzecznych, ułożonych studen-

tów, którzy po dwóch latach w więzieniu wychodzili źli, zmienieni nie do poznania. Resocjalizacja nie istnieje, to ustalmy na początku. Jedynym warunkiem przemiany jest szczerze nawrócenie.

Irek przyznaje, że pod celę może trafić wszystko, wystarczy dobry sposób. Najłatwiejszym i najbardziej powszechnym są skorumpowani klawiszowie. – Najczęściej jest to jakaś wymiana: przysługa za przysługę. Za moich czasów strażnicy to byli zazwyczaj prości ludzie, z niską pensją za podłą pracę. Jak zobaczył złoty zegarek, to szybko decydował, żeby w skarpetce wnieść do celi coś, na co akurat było zapotrzebowanie. Co mu zależy, jego nikt nie będzie sprawdzał.

Powszechnie uznaje się, że jednym z głównych budulców strachu przed karą więzienia jest absolutna izolacja, odcięcie od poprzedniego życia i rodziny. Tymczasem więźniowie opowiadają mi o wnoszonych do celi alkoholach, kebabach, jeszcze ciepłych pieczonych kurczakach, grach komputerowych, filmach pornograficznych. Z czasem kontrabanda staje się elementem „wystroju”, wyposażenia danej celi, bo jeśli więźniowie są grzeczni i nie sprawiają problemów, oddziałowi i wychowawcy pozwalają na obecność w celi filmów i odtwarzaczy DVD. Fanty nie są konfiskowane.

Jednym z najbardziej powszechnych przedmiotów w celach są telefony komórkowe. Może nie najnowszej generacji, ale jednak. Pewien osadzony w Chełmie robił sobie zdjęcia podczas treningów (w celi) i wysyłał je do żony. Kiedy sprawa się wydała, żona zeznała, że do celi telefon pomógł przemycić strażnik.

Irek i „Cygan” startowali w sportach walki w tym samym czasie. W takich samych warunkach się wychowywali. Irek mówi, że tacy ludzie jak „Cygan”, wojownicy, fighterzy, nie z takimi zagrożeniami musieli sobie poradzić. Nie wierzy, by chciał sobie odebrać życie. – Ktoś w odpowiednim momencie musiał przymknąć oko, nie zajrzeć przez wizjer – przekonuje. – W więzieniu jest niby mnóstwo przepisów, ale wszystkie można obejść.

Dobry klawisz

Jak wynika ze statystyk służby więziennej, stale rośnie liczba zgonów i prób samobójczych w polskich więzieniach. Jednocześnie mniej więcej na tym samym poziomie utrzymuje się liczba śmierci z powodu autoagresji. Prób samobój-

czych w zakładach karnych i aresztach w 2018 r. było w sumie 208. Zgonów 170 (o 17 więcej niż rok wcześniej), w tym 26 z powodu autoagresji.

Andrzej Dembiński jest emerytowanym funkcjonariuszem służby więziennej, wiele lat przepracował w areszcie śledczym. Jest też autorem książek „Kariera klawisza” i „Łódzka Siedmiornica”. Mówi, że skorumpowani strażnicy są raczej czarnymi owcami, choć bardzo szkodliwymi. – Znam historię człowieka, który dał się bandytom kupić. Pomagał im w różnych rzeczach w zamian za pieniądze – opowiada emerytowany strażnik. – Kiedy poszedł na emeryturę, myślał, że jego sprawy z półświatkiem się skończyły. Ale dopiero wtedy się o niego upomnieli. Nie wytrzymał presji i strachu, powiesił się. Mnie też próbowali „odwrócić”, tuż przed emeryturą. Wszedłem do baru, siedzieli przy stoliku, różni w karty. Zobaczyli mnie i od razu: „Wniesiesz to, załatwisz tamto, kiedy trzeba, przymkniesz oko”. I pokazują 250 tys. zł w gotówce. Nie tknąłem tych pieniędzy palcem.

Godność i autorytet to, według Dembińskiego, cechy dobrego oddziałowego. – Byli strażnicy, do których menele wołali: „Rysia”, „Jadzia” – mówi. – Nigdy bym sobie na to nie pozwolił. Nie byłem brutalny, ale kiedy było trzeba, pokazywałem, że ze mną nie ma żartów. Nie byłem dla nich ani dobrym wujkiem, ani tyranem. Byłem „Wodzem”, tak na mnie wołali. Także dlatego, że nigdy nie dałem się kupić.

Dobry klawisz to także dobry psycholog. Okaleczenie, bunt, pobicie, gwałt na współwięźniu można uprzedzić. Można im zapobiec. – Dobry strażnik potrafi wysłuchać. Poza tym, że to przestępcy, to także ludzie. Jeśli takiemu ukochana poszła w cug z najbliższym przyjacielem albo dziecko zachorowało, trzeba go wysłuchać. Pokazać, że też ma prawo do uczuć – mówi Andrzej Dembiński.

Dobry klawisz ma swoich informatorów. I to nie jednego, ale kilkunastu na oddziale. Zbiera informacje o tym, co kto planuje, w której celi dochodzi do znęcania się. Wtedy może zainterweniować. – Jeśli ktoś chce komuś zrobić krzywdę, nie upilnujemy go. Ale możemy próbować – mówi Dembiński. – Utrzymanie kontaktów z informatorami jest sztuką. Taki człowiek nie może zostać ujawniony, bo ściągnęłoby to na niego gniew innych więźniów. Ale trzeba umieć z niego te informacje wydobyć, zbudować w nim za-

ufanie. Dziś wiem: najgorszy strażnik to taki, który nie potrafi zdobyć informatorów. Na takich oddziałach najczęściej dochodzi do nieszczęść i degeneracji.

Nowe standardy

Inny problem: statystyka. – To ona rządzi polskim więziennictwem. A powinni rządzić ludzie – mówi Dembiński. – Statystyka musi się zgadzać. Jeśli w danym roku, nie daj Boże, w zakładzie karnym lub areszcie dojdzie do kilku samoagresji więcej niż w roku poprzednim, ktoś będzie musiał za to odpowiedzieć. Dlatego często dąży się do tego, by statystyka nie pokazywała rzeczywistości. Znam przypadki, kiedy strażnicy znajdowali w celi niedozwolone przedmioty, które trafiały na półkę w zamkniętej na klucz szafie.

W 2018 r. w jednostkach penitencjarnych było ok. 73 tys. więźniów i 637 etatów psychologów penitencjarnych. Już w 2016 r. Rzecznik Praw Obywatelskich Adam Bodnar apelował do dyrektora generalnego Służby Więziennej o ustalenie „nowego standardu” pracy psychologów w zakładach karnych. Wskazywał, że według ówczesnych standardów na jednego psychologa przypada 200 osadzonych. Do wymiany korespondencji między RPO i Służbą Więzienną doszło też w 2019 r. Dyrektor generalny wskazywał, że liczba psychologów stale rośnie, a od roku 2015 Służba Więzienna przeznacza pieniądze na superwizję dla swoich psychologów.

– W sprawie „Cygana” wszystko odbyło się po cichu, nikt nie musiał mu „pomagać” – tłumaczy Andrzej Dembiński. – Mogło być tak: położył się na pryczy, przykrył kocem. Wcześniej przygotował pętlę z prześcieradła, którą przymocował do ramy łóżka. Obracał się wokół osi ciała tak, że pętla zaciskała się z każdym ruchem. Kiedy czuł, że się dusi, z całych sił odepchnął się rękami. Pętla zacisnęła się z ogromną siłą. Takie samobójstwa się w więzieniach zdarzają.

Jak to możliwe, że nikt nie zareagował, nikt o niczym nie wiedział? Dlaczego martwego „Cygana” znaleziono dopiero nad ranem? – Kiedy osadzony chce popełnić samobójstwo, mówi innym w celi, kiedy i w jaki sposób to robi – sugeruje Dembiński. – Prosi o milczenie lub za nie płaci. Współosadzony na łóżku obok udaje, że nic nie słyszy. Potem wszystkiego się wyprze i nikt mu niczego nie udowodni. © MARIUSZ SEPIOŁO

Niech będzie dziko

ANNA BŁACHNO Z INICJATYWY DZIKIE KARPATY:

Dopóki najstarsze lasy w Bieszczadach nie będą pod odpowiednią ochroną, musimy patrzeć leśnikom na ręce.

ADAM ROBIŃSKI: Inicjatywa Dzikie Karpaty, czyli kto?

ANNA BŁACHNO, AKTYWISTKA: Oddolny i niezależny ruch społeczny, oparty na wolontariacie.

A konkretniej?

Początkowo rdzeniem były osoby, które od lat działają na rzecz ochrony przyrody w różnych miejscach w Polsce. Co rusz jednak dołączają do nas nowi ludzie. Nie chcielibyśmy być utożsamiani z jakimikolwiek logotypami, partiami, organizacjami czy firmami. Łączy nas to, że wszystkim zależy na ochronie dzikiej przyrody w Karpatach.

Ile to osób?

Teraz prawie dwadzieścia. Mamy ciągłą rotację. Było nas pięcioro, potem dwadzieścia pięć. Zwykle po kilkanaście osób.

Czekam, aż padnie nazwa Obozu dla Puszczy.

Jasne, są wśród nas osoby, które działały w Puszczy Białowieskiej, gdy zognił się tam spór o wycinkę starodrzewów. Obóz i Inicjatywa mają podobny charakter i reguły. Choćby pokojowy sposób podejmowania decyzji, wegańska kuchnia i zakaz spożywania alkoholu. Jestem z Podlasia, brałam udział w działaniach w Puszczy Białowieskiej, ale tutaj, w Bieszczady i na Pogórze Przemyskie, przyjeżdżałam jeszcze wcześniej w ramach akcji „Rykowski dla jeleni, nie dla myśliwych”.

A nie było przypadkiem tak, że niesieni sukcesem w Puszczy Białowieskiej – a więc unijnym nakazem wstrzymania wycinki – postanowiliście przekuć go na coś nowego?

→



MAŁGORZATA KLEMENS

Anna Błachno przy ściętych wiekowych bukach w Nadleśnictwie Stuposiany, otulina Bieszczadzkiego Parku Narodowego, maj 2018 r.

⇒ Ten sukces nas oczywiście niósł, ale tak jak mówię, byliśmy tu już wcześniej. Było nas jednak mniej i brakowało sił, żeby to działanie nabrało rozmachu.

Dlaczego Karpaty? Dlaczego akurat tu i teraz?

Tu – bo to jeden z ostatnich naprawdę dzikich kawałków Polski, teraz – bo w ostatnich latach gospodarka leśna nabrała tu niebezpiecznego rozmachu. A to teren niesamowicie wartościowy pod względem przyrodniczym i zupełnie inny niż Puszcza Białowieska. Po pierwsze dlatego, że to są góry, po drugie ten rejon ma inną historię. Nie da się mówić o miejscowej przyrodzie w oderwaniu od historii, od akcji „Wisła”, która wyludniła doliny. Jednym z jej skutków jest to, że mamy tu dziś ostoję dzikości. Tak się zresztą Bieszczady kojarzą.

Bieszczady jako metafora dzikości.

Ona ma ciągle oparcie w rzeczywistości. Ale jak się patrzy na to, co się dziś tu dzieje, to wkrótce się okaże, że została już tylko legenda. Być może jej resztki przeżyją w Bieszczadzkim Parku Narodowym? Bo poza nim zaraz nie będzie już nic, tylko zwykły las gospodarczy.

Poza nim, czyli gdzie?

Teren naszych działań to trzy bieszczadzkie nadleśnictwa: Stuposiany, Lutowiska i Cisna, oraz teren projektowanego Turnickiego Parku Narodowego na Pogórzu Przemyskim.

I co się dzieje? Przed czym chcecie ich bronić?

Niszczono są najstarsze kompleksy leśne. Dokumentujemy i pokazujemy w internecie pojedyncze wycinane drzewa o wymiarach pomnikowych, ale zwracamy uwagę, że nam chodzi o cały las, o cały leśny organizm, o ekosystem pełen naturalnych procesów. Wycinki prowadzone są w drzewostanach ponad stuletnich, a konsekwencją tego jest poszatkanie gór drogami zrywkowymi, erozja gleby, wylesianie całych szczytów. Ginią gatunki wskaźnikowe dla lasów naturalnych, gatunki chronione. Niszczono są siedliska dużych drapieżników: niedźwiedzi, wilków, rysi.

Chodzimy po lesie, ale też rozmawiamy z mieszkającymi tu ludźmi. Słyszymy, że wcześniej nie do pomyślenia było, by wycinkę prowadzić także

latem, a słyszymy to zarówno od ludzi pracujących w lesie, jak i pracowników parku narodowego. Teraz drzewa wycina się przez cały rok, mimo że powinno się to robić tylko zimą, gdy gleba jest pod śniegiem, zmrożona i wyciąganie drzew jej nie narusza. Skutkiem obecnych działań jest to, że po deszczu woda zamiast tu zostać, drogami zrywkowymi jak torami bobslejowymi spływa w dół, czego prostym skutkiem są powodzie poniżej.

Ale w Puszczy Białowieskiej był wyraźny konflikt Lasów Państwowych z prawem, przez co ich działaniami zainteresowały się instytucje międzynarodowe. Tymczasem w Bieszczadach nie ma o tym mowy. Wycinka odbywa się w lasach gospodarczych, zgodnie z prawem. To co tak naprawdę chcecie osiągnąć?

Jak się okazuje, dokument prawny nie jest gwarantem braku naruszeń, nie warunkuje też jedynych i najlepszych rozwiązań. I to wyraźnie widać na przykładzie gospodarki leśnej w Puszczy Karpackiej. Współpracujemy z naukowcami, przyrodnikami. Dla nich, a więc i dla nas, jasne jest, że te tereny powinny być chronione. Uważamy, że obecny stan należy zmienić, dlatego oprócz tego, że prowadzimy monitoring społeczny, patrolujemy teren i dokumentujemy działania Lasów Państwowych, równolegle wnioskujemy o pewne rzeczy na drodze urzędowej, oficjalnej. Prawo nie jest dane raz na zawsze.

To co konkretnie chcielibyście osiągnąć? Powiększyć park narodowy, powołać nowe rezerwaty?

Jako trzy podmioty – Inicjatywa Dzień Karpaty, Fundacja Dziedzictwo Przyrodnicze i koalicja Niech Żyj! – wnioskowaliśmy do Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie, a potem do Generalnej Dyrekcji Lasów Państwowych, o to, aby konkretne, te najcenniejsze, wydzielone lasy wyłączyć z gospodarki leśnej i łowieckiej. W przypadku Nadleśnictwa Stuposiany – to małe nadleśnictwo, najmniejsze w Polsce, które jest czymś na kształt enklawy wewnątrz parku narodowego – mowa jest o ponad połowie jego powierzchni. W Nadleśnictwie Lutowiska procentowo już mniej. Ale ponieważ nasze wnioski zostały przez Lasy Państwowe odrzucone, będziemy



MAŁGORZATA KLEMENS

iść z nimi wyżej. Te same wnioski złożyliśmy do Ministerstwa Środowiska, wciąż czekamy na odpowiedź.

Dlaczego?

Nie zadowala nas argumentacja, która skupia się na kwestiach gospodarczych. Uważamy, że należy rozmawiać o tych lasach innym językiem niż hodowlano-leśny, gospodarczo-surowcowy, a zacząć patrzeć na nie przez pryzmat przyrodniczy. Póki te najstarsze lasy nie będą objęte odpowiednią ochroną, będziemy skupiać się na tym, by patrzeć Lasom Państwowym na ręce. Jesteśmy społeczną, obywatelską kontrolą działalności tej instytucji państwowej. Tak naprawdę jedyną kontrolą.

To znaczy?

Owszem, Lasy Państwowe mają plany urzędzenia lasu, według których prowadzą swoje prace, ale poza leśnikami nikt nie czuwa nad tym, co się dzieje w głębi lasu, za setkami tabliczek z zakazami



„Rabunkowa gospodarka” czy „totalna krytyka”

INICJATYWA DZIKIE KARPATY pojawiła się w Bieszczadach w lecie 2018 r. jako społeczny ruch kontroli działań Lasów Państwowych w nadleśnictwach Bieszczadów i Pogórza Przemyskiego. Aktywiści zarzucają leśnikom rabunkową gospodarkę w ostańcach Puszczy Karpackiej – drzewostanach o cechach lasu naturalnego znajdujących się poza parkiem narodowym. Wytykają przypadki ignorowania ministerialnego kodeksu dobrych praktyk leśnych z 2017 r. (zakazującego m.in. prowadzenia zrywki potokami czy wycinania drzew dziuplastych). Regionalna Dyrekcja LP w Krośnie odpowiada z kolei, że wszelkie prace odbywają się „w oparciu o prawo i wiedzę leśną”. Zdaniem dyrektora Grażyny Zagrobelnej działania Inicjatywy „nakierowane są na totalną krytykę leśnictwa”. Symbolem starań aktywistów stał się w ostatnim czasie gruby pień starej jodły, który znaleźli na terenie jednego ze wspomnianych nadleśnictw. Demonstrowali z nim przed siedzibą Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie i Dyrekcji Generalnej w Warszawie. W ubiegłym tygodniu fragment drzewa stanął przed stołecznym Teatrem Powszechnym jako „pomnik niszczenia przyrody”. Zostanie tam do końca września.

Głęboka na ponad 2 m droga zrywkowa biegnąca przy granicy Bieszczadzkiego Parku Narodowego. Takimi drogami ściągą się drewno z górskich zboczy. Podczas opadów deszczu cała woda spływa nimi jak rynnami, osuszając górskie lasy i jednocześnie powodując zagrożenie powodziowe poniżej nich; Suche Rzeki, Nadleśnictwo Lutowska. Maj, 2019 r.

wstępu. I na przykład mimo że Ministerstwo Środowiska wydało rozporządzenie o dobrych praktykach w zakresie gospodarki leśnej, to patrząc na to, co spotykamy w lesie, często wydaje się być to zabiegiem bardziej PR-owym niż sposobem na rzetelną ochronę przyrody. Według niego nie powinno się wycinać drzew o wymiarach pomnikowych czy prowadzić wycinki i zrywki w strefach przypotokowych. Na papierze to dobra praktyka, ale w rzeczywistości często się do niej nie stosowano. To się zmieniło, od kiedy zaczęliśmy monitorować wycinki. Traktujemy to jako wymierny efekt naszej obecności. I równocześnie mamy podstawy sądzić, że kiedy stąd wyjeździemy, znów będzie po staremu.

Inicjatywa nie jest całoroczna?

Bardzo byśmy chcieli mieć moce prerobowe, które by nam na to pozwoliły. Ale inicjatywa opiera się wyłącznie na prywatnych siłach i prywatnym czasie

jej uczestników i uczestniczek. Ludziach, którzy biorą urlopy z pracy, żeby tu przyjechać. Musimy gdzieś zarabiać na życie, bo wbrew temu, co mówią nasi krytycy, nikt nam nie płaci za to, że tu jesteśmy. Ale zainteresowanie jest coraz większe, kto wie, co z tego wyniknie?

Jak Was odbiera lokalna społeczność?

Różnie, ale byłabym nieszczerą, gdybym powiedziała, że raczej pozytywnie. Negatywnie nastawia do nas krzywdząca propaganda Lasów Państwowych. Panuje stereotyp, że chcemy zabronić ludziom wstępu do lasu. I że dostajemy po dwa i pół tysiąca złotych tylko za to, że tu jesteśmy. To oczywiście bzdury.

Ale ludzie powoli osławiają się z naszą obecnością, w końcu to już drugi rok. Kiedy przy różnych okazjach spotykamy się z mieszkańcami, kiedy zaczyna się z ludźmi rozmawiać, nagle okazuje się, że mamy wiele wspólnych poglądów

na różne sprawy. Zaczynają opowiadać o swoich problemach, o tym, że widzą tę wielką zmianę w eksploatacji lasów. Że kiedyś nie wycinało się tyle drzew co dziś. I że niby żyją z lasu, ale w rzeczywistości niewiele z niego mają, bo drewno stąd wyjeżdża i wcale nie trafia do małych, lokalnych przetwórców.

W Puszczy Białowieskiej duża część lokalnej społeczności stała murem za Obozem dla Puszczy. Czyli tu jest trudniej?

Na pewno. Przede wszystkim dlatego, że podobnego obywatelskiego ruchu wcześniej tu nie było. Nie miał możliwości zakorzenienia się w świadomości mieszkańców. Podobne działania w Puszczy Białowieskiej prowadzone są od lat.

Sama pamiętam sytuację sprzed dziesięciu lat. Kiedy przyjeżdżaliśmy do puszczy w ramach akcji „Rykwisko dla jeleni, nie dla myśliwych”, pojawiały się sugestie, by samemu nie chodzić do sklepu. Takie →

→ były nastroje wśród lokalnej społeczności. Pamiętam, jak do miejsca, w którym stacjonowaliśmy, wparowało kilku mężczyzn w kominiarkach i z pochodniami. Przed domem zostawili nam wieniec pogrzebowy. To, że dziś sytuacja wygląda zupełnie inaczej, jest efektem długotrwałej obecności ruchów ekologicznych w Puszczy Białowieskiej. Tutaj jeszcze wszystko przed nami. Na przykład braliśmy udział w festynie w Zatwarnicy... widziałeś film na naszym Facebooku?

Widziałem, z niedźwiedziem na Otrycie.

Tak, widać na nim, z ukrycia, z krzaków, prace zrywkowe. Zamieściliśmy go w internecie chcąc pokazać, jak wygląda gospodarka leśna w tym miejscu. Widać choćby to, jak podczas wyciągania ściętych drzew niszczy się inne, młode.

Okazało się potem, że za ten film obierało się operatorowi maszyny, którą nagraliśmy przy pracy, bo nie miał kasku. Myśmymy w ogóle na to nie zwrócili uwagi, nie to było naszą intencją. I później na festynie spotkaliśmy operatora z naszego filmu. Był agresywny, więc wycofaliśmy się z imprezy. Ale nie dziwię się, że ten człowiek był rozgoryczony. Napisaliśmy zresztą o tej sytuacji, bo to nagminna praktyka – zrzuć winę na tych, którzy znajdują się na samym dole łańcucha decyzyjnego. Obwinianie nie zlecającego, ale wykonawcy. Kiedyś znaleźliśmy pominikową jodłę, ściętą. Zdokumentowaliśmy ją i napisaliśmy do Nadleśnictwa Lutówka z pytaniem, jaki to ma związek z rozporządzeniem o dobrych praktykach. Odpisali, zrzucając winę na pilarsza. A przecież to nie pilarsz wymyślił sobie, że zetnie akurat to drzewo.

Dlaczego zdecydowaliście się na fizyczne blokowanie wycinek? Podobne blokady w Puszczy Białowieskiej zwykle kończyły się starciami.

Bo od półtora roku ślemy pisma, zgłaszamy, postulujemy, organizujemy spotkania, happeningi, protesty, a Puszcza Karpacka po prostu umiera. Nasze wnioski o długofalowe zmiany zbywane są komunałami bądź argumentami nijak przystającymi do treści, o których mówimy. My o potrzebie ochrony, Lasy Państwowe o potrzebie gospodarki. Widzimy, jak szybko drewno znika ze składów, grube drzewa wywożone są praktycznie z dnia



GRAZYNA MAKARA

ANNA BŁACHNO jest artystką, absolwentką Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu. Aktywistka zaangażowana w liczne akcje obrony przyrody, m.in. Grzybiarki przeciwko Myśliwym, Obóz dla Puszczy oraz Inicjatywa Dzikie Karpaty.

Nasze wnioski o długofalowe zmiany zbywane są argumentami nijak przystającymi do treści, o których mówimy.

My o potrzebie ochrony, Lasy Państwowe o potrzebie gospodarki.

na dzień, bylebyśmy tylko nie zdążyli ich sfotografować, bylebyśmy nie znaleźli na nich chronionych gatunków. Jednego dnia, w jednym miejscu, przez kilka godzin, nagraliśmy 12 tirów z drewnem wyjeżdżających z Bieszczadów! Ostatnio znaleźliśmy świeżo wyciętą w starodrzewie jodłę, miała 170 lat. Niedaleko kolejną, wyciętą parę sezonów wcześniej, miała 230 lat...

To właśnie niedaleko niej rozwiesiliśmy w proteście hamaki i w sposób pokojowy postanowiliśmy zatrzymać trwającą wycinkę, skoro nic innego nie przynosi efektów. Lasy Państwowe muszą się liczyć z tym, że nie będziemy biernie pa-

trzeć, jak wycinają drzewa, które wyrosły tu jeszcze w XVIII w.

Nie szkoda Ci wakacji, urlopu na użeranie się ze światem? Nie wołałabyś po prostu przyjechać w Bieszczady, żeby po nich potańczyć?

Pewnie, że bym wołała. Codziennie o tym myślę. Mamy bazę w tak pięknym miejscu! To jest dolina Hulskiego, tuż obok jest Krywe.

Najwyższa bieszczadzka liga, jeśli chodzi o zwierzęta. Przychodzą do Waszego obozu?

Trochę narozrabiał lis. Baliśmy się, że zapachy z kompostu ściągną niedźwiedzia, ale na szczęście nie mamy z nim problemów. Lecz tropów jest mnóstwo. Trzysta metrów od obozu znaleźliśmy świeżo odrapane przez niedźwiedzia drzewo, było pokryte żywicą i jego sierścią. Są wilki, są żubry, niedaleko mieszka sobie wąż Eskulapa. Niesamowite sąsiedztwo.

A turyści?

Jasne, widzujemy turystów, ale to nie jest park narodowy. A ludzie przyjeżdżają głównie do parku. Przy okazji takich spotkań zwykle ujawnia się powszechne przekonanie, że Bieszczady są chronione w całości. Ludziom się wydaje, że Bieszczady to park narodowy i tyle. Nie mają świadomości, że coś jest chronione, a coś nie, że tam park, a tu las gospodarczy. Podobnie było w Puszczy Białowieskiej. Wielu osobom wydawało się, że puszcza jest parkiem narodowym, więc o co tym ludziom chodzi?

Do kiedy zostajecie?

Do końca września, o ile pozwolą nam na to warunki. W lipcu trafiały się noce z dwoma, trzema stopniami Celsjusza. Delikatnie nas przymroziło. Mieszkamy nad samym potokiem, tu jest parę stopni mniej. We wrześniu może być jeszcze trudniej.

A Obóz dla Puszczy jeszcze działa?

Działa, ale tam sytuacja jest pod dużo większą kontrolą, więc obecnie to głównie działalność edukacyjna, kulturalna, budująca relacje ze społecznością lokalną. Tyle oczu, tyle instytucji patrzy na Puszczę Białowieską, że gdyby zaistniała taka konieczność, mobilizacja byłaby pełna i błyskawiczna. Teraz trzeba patrzeć na Bieszczady. © Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

ANNA

Dziewit-Meller: *Nierentowne obietnice*



TRZY HISTORIE PODRÓŻNE. JEDNA SPRZED czterech lat. Moja mama, mieszkająca wówczas na Śląsku, postanowiła w wakacje odwiedzić mnie i swoje wnuki na Mazurach. Podróż samochodem nie wchodziła w grę, bo prawo jazdy mamy

jest właściwie nieużywane od dnia zdania przez nią egzaminu w głębokich latach 80., zaczęłam więc szukać dla niej dobrych połączeń. Najszybsze było to przez Warszawę: Intercity na Centralny, a potem bus do Mrągowa odjeżdżający z parkingu przy stacji metra Wilanowska. „Ale te przesiadki, to noszenie walizek do metra, te wszystkie drobne niewygody” – narzekała mama i bez konsultacji z kimkolwiek kupiła sobie bilet na pociąg bezpośredni jadący z Katowic nad morze przedziwną trasą przez Mazury.

Sprawdzałam dziś, czy takie połączenie jeszcze istnieje, ale rozkład jazdy PKP zmienia się szybciej niż składki opozycyjnych koalicji, więc nie ma śladu po tym pociągu. Jej opóźniona zwariowana wyprawa „wygodnym składem bez przesiadki” (oraz bez wagonu restauracyjnego) trwała 14 godzin. Dzięki niemu odwiedziła tego dnia nie tylko Częstochowę, ale również Białystok i inne miłe miejscowości w rodzaju Grajewa, by po godzinie 19 wypaść na peron w Kętrzynie, ledwo żywa, upieczona w wagonie stojącym co i rusz w pełnym słońcu.

Druga historia – całkiem świeża. Moja przyjaciółka też postanowiła ruszyć pod Mrągowo latem. Z Krakowa dojechała do Warszawy wygodnym, lecz jakże nietanym Intercity, a potem kolejnym do Olsztyna. Duże miasta jakoś sobie radzą. Do Mrągowa jednak od dawna żaden pociąg pasażerski nie jeździ, ostatnio widziano taki w 2000 roku, gdy latem puszczano tamtędy międzynarodowy pociąg Mare Balticum z Berlina do Elku (serio!). W końcu po co komu jakieś tam pociągi, gdy można sobie elegancko pojechać prywatnym busem. Jeśli oczywiście ten przyjedzie, w końcu jest prywatny i może sobie robić, co chce, a akurat wtedy, gdy moja przyjaciółka planowała podróż z Olsztyna do Mrągowa, jej bus się nie pojawił.

Ludzie oczekujący nań na przystanku zdawali się być jednak mało zdumieni tym faktem i wyjęli telefony, by zorganizować sobie transport awaryjny. Przyjaciółka poszła w ich ślady i godzinę później, przyjechałam po nią i ja, szczęśliwie posiadanym przez siebie samochodem. Jak to dobrze mieć samochód w Polsce! Zwłaszcza tam, gdzie transport publiczny potraktowano jako fanaberię roszczeniowo nastawionej ludności.

O czym niech zaświadczy historia trzecia. Otóż moja koleżanka ze wsi na Mazurach pracuje jako opiekunka osoby z niepełnosprawnością we wsi sąsiedniej, odległej o cztery kilometry. W zamierzonych czasach, między wsiami jeździły autobusy zgarniające od czasu do czasu ludzi do pobliskiego Kętrzyna i równie nieodległego Mrągowa, ale kursy zlikwidowano jako nierentowne. Monika do pracy dojeżdżała więc rowerem, ale po serii niebezpiecznych wypadków drogowych w okolicy oraz po pierwszej zimie na rowerze wśród pól, z których nawiewa na drogę kopy śniegu, zrezygnowała z tej zalecanej przez ruchy miejskie formy transportu. Nadludzkim wysiłkiem finansowym kupili więc z mężem starego grata z Niemiec, co to Niemiec raczej nie płakał, jak go sprzedawał, ale kupili go, byle tylko jeździł tych osiem kilometrów dziennie i uczynił Monikę z powrotem niewykluczoną mobilnie. Ale przyszły gorsze czasy, auto trzeba było sprzedać i oto znów stanęła przed dylematem: jak się dostać do pracy? No nie bardzo wiadomo.

Piszę państwu o tych historiach, bo jestem po lekturze książki Karola Trammera „Ostre cięcie. Jak niszczone polską koleją”, wydanej przez Krytykę Polityczną. Dość rzec, że w czasie lektury ręce zaciskały mi się w pięści, tak że trudno mi było pod koniec przewracać strony. Uświadomienie sobie skali działań podejmowanych przez wszystkie lata III RP, w duchu adoracji słów „nierentowne, do likwidacji”, jest dotkliwie. Za dwa miesiące na rynku ukaże się książka Olgi Gitekiewicz zatytułowana wymownie „Nie zdążę”, mówiąca m.in. o tym, że w Polsce 14 milionów ludzi jest wykluczonych komunikacyjnie, a do ponad jednej piątej sołectw nie dociera żaden transport publiczny.

Szumnie zapowiadany program dofinansowania PKS wszedł w życie ustawą w połowie lipca tego roku, ale już wiadać, że jego efekty będą marne, bo względy proceduralne uniemożliwiły wielu samorządom staranie się o pomoc. Sama pomoc zaś jest, jak twierdzą samorządowcy, zabawnie niska. Dodają, że taki program należy przede wszystkim konsultować z mieszkańcami, pytając ich o potrzeby komunikacyjne oraz z powrotem ucząc tego, że transport publiczny w ogóle istnieje. Czyli znów wszystko nie tak. Może te obietnice wyborcze po prostu okazują się zbyt nierentowne, a więc do likwidacji. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się postępowanie o sygn. akt. I Ns 337/1, o stwierdzenie nabycia spadku po Wacławie Zdzisławie Redzie (s. Władysława i Jadwigi), zm. 21 lutego 2019 r. w Transborze, gmina Latowicz, ostatnio stale zamieszkałym w Kulaśnicy.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 397/18 postępowanie z wniosku Banku Polska Kasa Opieki S.A. o stwierdzenie nabycia spadku po Arkadiuszu Roszyku, zmarłym 15.08.2010 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. Skład spadku po zmarłym nie jest znany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WIARA



Konferencja Strefa Zero organizowana co roku przez wspólnotę Metanoia, Hala Widowiskowo-Sportowa w Dąbrowie Górniczej, czerwiec 2019 r.

KĘDY WIEJE DUCH

W ruchu odnowy charyzmatycznej do niedawna
widziano wiosnę w Kościele katolickim.
Dziś nie brakuje głosów, że może on być zagrożeniem.

MARCIN CHODUŃ



KATARZYNA FILIPOWSKA

PRZED WEJŚCIEM DO BUDYNKU STOJAK: „Tu teraz trwa uwielbienie Boga”. Przed drzwiami na piętrze tylko dwie osoby z małym dzieckiem. Jednak zaraz drzwi się otwierają. W środku pełno. Powitania, uściski. Po chwili rozmowy milkną; na niewielkiej scenie zaczyna grać pięcioosobowy zespół. Jest głośno jak na koncercie rockowym.

Tak w siedzibie wspólnoty Metanoia w Jaworznie zaczyna się niedzielne „spotkanie uwielbienia”.

Czym ono właściwie jest? Jego istotę najlepiej chyba oddaje pojęcie „seans duchowy”. Modlitwy przeplatane pieśniami, ekstatyczne przemowy liderów wielbiące Boga. Ludzie, którzy tańczą w uniesieniu

z rękami w górze, niemal wirują. Czegoś takiego na pewno nie zobaczymy w pobliskim kościele parafialnym.

Ks. dr hab. Andrzej Kobylński, filozof z UKSW w Warszawie, od kilku lat twierdzi, że ruch odnowy charyzmatycznej w polskim Kościele, czyli Katolicka Odnowa w Duchu Świętym i Szkoły Nowej Ewangelizacji, to część ogólnosiątkowego procesu pentekostalizacji, czyli uzienosławienia czy też protestantyzacji religii katolickiej. I przestrzega, że proces ten to „religijna wojna hybrydowa”, która prowadzi do powstania globalnej, charyzmatycznej odmiany synkretycznego chrześcijaństwa. Takiego, w którym różnice doktrynalne pomiędzy poszczególnymi denominacjami z biegiem czasu znikną.

Kościół już pentekostalny

– Ale przecież Kościół katolicki już jest pentekostalny – uważa Krzysztof Demczuk, lider jaworznickiej Metanoi. – Narodził się w dniu Wylania Ducha Świętego, przez Ducha Świętego żyje i w jego mocy wypełnia swoją misję.

Podobnie uważa ks. prof. dr hab. Łukasz Kamykowski, teolog z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II. – W terminologii teologicznej charyzmatami określa się te dary, które mają służyć nie tylko osobom, które je otrzymały, ale dobru wspólnoty kościelnej dla jej wzrastania, oświecenia i pobudzenia – tłumaczy.

Co oznacza słowo „pentekostalizacja”? Pojęcie to pochodzi od starogreckiego ličebnika porządkowego *pentekostos*, czyli „pięćdziesiąty”, i nawiązuje do Zesłania Ducha Świętego w pięćdziesiątym dniu po wniebowstąpieniu Jezusa. Określa się nim znaczny wzrost liczby członków tradycyjnych Kościołów zielonoświątkowych oraz nowych Kościołów charyzmatycznych głównie w Ameryce Łacińskiej, Azji i Afryce (na początku XXI w. ruch ten tworzyło 100 mln osób, dziś jest ich nawet 800 mln), a także nowy rodzaj pobożności w innych Kościołach czy wspólnotach chrześcijańskich, w tym również w ruchu odnowy charyzmatycznej w łonie Kościoła katolickiego. Co warto podkreślić – ruchu, który już w początkach swego istnienia w wyniku Soboru Watykańskiego II został zaaprobowany i włączony w strukturę Kościoła katolickiego (za pontyfikatu Pawła VI).

Na Soborze odbyła się zasadnicza dyskusja teologiczna na temat charyzmatów.

Frakcja tradycjonalistów, na której czele stał kard. Ernesto Ruffini, broniła obowiązującej wówczas teologii, wedle której charyzmaty były wyjątkowymi darami, otrzymywanymi jedynie przez duchownych. Propagatorzy tezy przeciwnej pod przewodnictwem kard. Léona-Josepha Suenensa utrzymywali, że dary charyzmatyczne posiada każdy wierzący. Sobór uznał ostatecznie tę ostatnią tezę za właściwą i zamieścił w Konstytucji Dogmatycznej o Kościele „*Lumen gentium*” zapis, że Duch Święty w celu odnowy Kościoła udziela wszystkim wiernym szczególnych łask.

Wedle kard. Josepha Ratzingera posoborowa religijność stała się bardziej pneumatyczna, czyli nasycona obecnością Ducha Świętego. W ruchu odnowy charyzmatycznej przyszedł papież – podobnie jak Paweł VI – widział owoc Soboru, a w nowej Pięćdziesiątnicy dar dla Kościoła. Z kolei Jan Paweł II w homilii wygłoszonej w 2004 r. podczas uroczystości Zesłania Ducha Świętego wyraził pragnienie, aby „duchowość Pięćdziesiątnicy szerzyła się w Kościele, pobudzając na nowo do modlitwy, świętości, komunii i ewangelizacji”.

Nie inaczej na temat ożywienia charyzmatycznego wypowiadały się episkopat USA, Kanady, Holandii czy Nowej Zelandii, dostrzegając w głębokim doświadczeniu religijnym i osobistym poznaniu Chrystusa istotę wszelkiej odnowy Kościoła.

Czy nowa reformacja?

Skąd zatem odmienna ocena tego fenomenu u ks. Kobylńskiego? W artykule opublikowanym w 2017 r. w „Przeglądzie Religioznawczym” Polskiego Towarzystwa Religioznawczego pod wymownym tytułem „Is Pentecostalization the New Reformation?” uczony wymienia główne zagrożenia mające wedle niego płynąć z pentekostalizacji: kwestionowanie teologii, gwałtowny rozwój wspólnot zielonoświątkowych i proces transformacji różnych Kościołów chrześcijańskich w jedną formę chrześcijaństwa charyzmatycznego czy też ewangelicznego. Jego zdaniem można to porównać z reformacją Marcina Lutra.

Świadectwa przenikania religijności pentekostalnej do Kościoła katolickiego w Polsce widzi on nie tylko w fakcie używania przez wspólnoty charyzmatyczne egzorcyzmowanej wody i soli oraz →

⇒ tzw. oleju radości, ale przede wszystkim w charakterystycznych fenomenach: spoczynku w Duchu (uczestnicy upadają bezwładnie pod wpływem modlitwy z nałożeniem rąk i trwają jakiś czas w odmiennym stanie świadomości) czy glosolaliach (wydawaniu melodyjnych, nieartykułowanych dźwięków). Zjawiska te, według niego, nie wykraczają poza granice znaczeniowe takich pojęć jak hipnoza, trans czy autosugestia.

Sąd ten w znacznej mierze podziela biskup opolski Andrzej Czaia, przewodniczący Komisji Nauki Wiary KEP. W referacie wygłoszonym w styczniu 2018 r. na Jasnej Górze wprost odniósł się do tezek Kobylińskiego. Do księży rekolekcyjnych, ojców duchownych i spowiedników kapłańskich mówił m.in. o tym, że jednym z gorzkich owoców pentekostalizacji chrześcijaństwa jest jego wewnętrzna dechrystianizacja, czyli sprowadzenie go na poziom zaspokajania podstawowych ludzkich pragnień i potrzeb.

Uznał, owszem, że zjawisko to może być szansą dla katolików, bo eksponuje osobistą relację z Jezusem i niesie otwartość na Ducha Świętego, większą spontaniczność i zapał misyjny. Zastrzegł jednak, że trzeba zachować czujność, by ustrzec się przed synkretyzmem i uniwersalizmem. Oraz przed charakterystyczną dla współczesnego pentekostalizmu „duchowością mirakularną”, w której cuda traktuje się jak fundament religii. Cuda czy też fenomeny, zdaniem hierarchy, zdarzały się w czasach apostołskich, ale we współczesnym świecie trudno o takie „spektakularne oznaki Bożej aktywności”.

Z tezami bp. Czaia i ks. Kobylińskiego polemikę podjęło kilku polskich duchownych.

Ojciec dr Wit Piotr Chlondowski OFM w artykule „Pentekostalizacja Kościoła w ujęciu kard. Ratzingera oraz dokumentów episkopatów” odnosi się krytycznie do tezy, jakoby przekonanie o możliwości nawiązania bezpośredniej komunikacji z Bogiem było niezgodne z nauczaniem Kościoła. Twierdzi, że chrześcijanie właśnie w myśl nauczania Magisterium mają nie tylko możliwość bezpośredniego kontaktu z Bogiem, ale „trwają z Nim w bezpośredniej, osobowej więzi”. Podkreśla też, że stosowane przez charyzmatyków „nowe sakramentalia” (egzorcyzmowana woda, sól i olej) należą do wielowiekowej liturgicznej praktyki. Z kolei ks. dr hab.

Tomasz Szałanda w artykule „Jak mówić i nie mówić o pentekostalizacji Kościoła” odrzuca kategoryzowanie tego zjawiska w sposób wyłącznie pejoratywny i proponuje badanie go „w świetle biblijnych wydarzeń i obietnic realizujących się w każdym wieku w sposób odpowiedni do zamysłu Stwórcy”.

Lśnij

Jaworzno, siedziba Metanoi. Minęła godzina, na scenę wychodzi Krzysztof Demczuk. To centralna część spotkania – coś na kształt kilkuminutowego kazania. Lider Metanoi, ubrany w trampki, dzinsy i T-shirt z napisem „Awake, arise, shine” (obudź się, powstań, lśnij), nawiązując do Listu do Hebrajczyków mówi, że jedni muszą coś w swoim życiu zacząć, inni skończyć, a jeszcze inni – skończyć, żeby zacząć. Zebrani kwitują to słowami aprobaty.

Jak na pustyni

– A dlaczego fenomeny nie mogą się zdarzać dzisiaj? – zastanawia się Demczuk, nawiązując do słów bp. Czaia. – Przecież wszystkie nowe zjawiska, które pojawiały się w minionych wiekach w Kościele, jak choćby monastycyzm czy przebudzenie franciszkańskie, były związane z fenomenami. Bo takie jest działanie Ducha Świętego. Kościół zawsze był ostrożny w tych kwestiach, i słusznie. Ale dzisiaj wiemy, że fenomeny nie zawsze oznaczały niebezpieczeństwo. Były i są tam, gdzie Duch Święty i żywy Kościół.

Owszem, przyznaje, w Metanoi zdarzały się właściwie wszystkie fenomeny kojarzone ze wspólnotami charyzmatycznymi, także doświadczenie ognia i oleju (uczucie, jakby ręce były dotknięte ogniem lub pokryte oleistą cieczą). – Jednak nigdy nie staraliśmy się tych zdarzeń akcentować. W okresie swoistego boomu na „spoczynki w Duchu” ograniczyliśmy modlitwę z nałożeniem rąk. Fenomeny to zjawiska marginalne. Większość życia to jest pustynia, kiedy się idzie i nie doświadcza nic. Kiedy żyje się tylko z wiary.

Członkowie Metanoi niechętnie mówią o fenomenach, chętniej opowiadają, dlaczego w ogóle tu przychodzą.

Michał (32 lata): – Kilka lat temu z żoną szukaliśmy miejsca, gdzie moglibyśmy karmić się obecnością Boga. Tu je znaleźliśmy. Tu wzrastamy i nabieramy sił, by jeszcze radykalniej iść za Bogiem.

Karolina (25 lat): – Zawsze byłem taką niedzielą katoliczką. W zeszłym roku trafiłam do szpitala z powodu ciężkiej choroby. Tak ciężkiej, że prosiłam Boga o śmierć. Z czasem Bóg zaczął mnie z tego powolutku wyciągać. Tu doświadczałam, że Boga można też w cierpieniu uwielbiać, w trudach oddawać mu chwałę, a on to przemienia.

Wojtek (56 lat): – Szczerze mówiąc na początku nie chciało mi się na te spotkania przychodzić. Ale zobaczyłem coś, czego w kościele przedtem nie widziałem. Niesamowite serce dla Boga i dla drugiego człowieka. Doświadczyłem spotkania z żywym Bogiem. To przenikało całe moje ciało – tego nie da się z niczym innym pomylić.

Ksenia (32 lata): – Jestem we wspólnocie od sześciu lat. To dla mnie dom, a ludzie, którzy mnie tu otaczają, to rodzina. Co mi ona daje? Wszystko, co dobre, inaczej pewnie bym zbłądziła. Przedtem było różnie.

Andrzej (49 lat): – Żona przyprowadziła mnie na niedzielne uwielbienie. Poczułem, że ten rodzaj modlitwy przybliżył mnie najbardziej do Boga. Tu w centrum wszystkiego jest On. Uczestnictwo w tych spotkaniach pozwoliło mi lepiej zrozumieć mszę świętą. Teraz wiem, że jest ona po to, aby zjednoczyć się z Panem Bogiem.

Maryla (55 lat): – Całe życie chodziłam do kościoła, ale tak naprawdę nie było w tym Boga. Nie umiałam się modlić. Dopiero gdy mój narzeczony trafił do więzienia, zaczęłam w żalu i płaczu modlić się do Boga i zaprosiłam go do swego serca. Na drugi dzień wszystko było inne, jakby świat nagle nabrał kolorów. Poczułam w sobie radość i wiem, że nie była ona ze mnie. Zaczęłam szukać ludzi, którzy też doświadczyli takiego spotkania. I trafiłam tutaj.

Krzysztof Demczuk mówi, że doświadczył wszystkich fenomenów. W tym spoczynku w Duchu. – Człowiek jest całkowicie świadomy, ma błogie uczucie pokoju, bezpieczeństwa.

Największym fenomenem był jednak dla niego moment nawrócenia, 23 lata temu. Był uzależniony od narkotyków, miał kilka spraw karnych. Pojechał na szkolne rekolekcje i trochę z przekory, a trochę z poczucia beznadziei powiedział do Boga, w którego nie bardzo wierzył: „Jeśli naprawdę jesteś, zmień moje życie!”. Kilka dni później zbudził się bez głodu narkotykowego. Następnego dnia

– także. Żadnych bólów mięśni czy wysięków z nosa. „To przecież niemożliwe” – pomyślał. Ale tak już zostało. Zaczął nowe życie.

Nieplanowane dzieci

Pentekostalizacji przyglądają się krytycznie nie tylko ks. Kobyliński i bp Czaja. W 2015 r. Konferencja Episkopatu Polski zakazała rozpowszechnionej w wielu wspólnotach charyzmatycznych tzw. spowiedzi furtkowej: praktyki mającej zamknąć „furtki”, przez które może wnikać zły duch, otwarte grzesznymi czynami wiernego lub jego przodków. Biskupi zakazali także mszy i nabożeństw z modlitwą o uzdrowienie z tzw. grzechów pokoleniowych, czyli takich, które przechodzą ze zmarłych przodków na ich potomków.

Również Watykan zaczął się bacznie przyglądać temu zjawisku. W 2013 r. episkopat Niemiec zorganizował pod patronatem Papieskiej Rady ds. Jedności Chrześcijan konferencję „Ewangelikalne, pentekostalne, charyzmatyczne: nowe ruchy religijne wyzwaniem dla Kościoła katolickiego”. A w 2016 r. Kongregacja Nauki Wiary ogłosiła list do biskupów „Iuvenescit Ecclesia” („Kościół się odmładza”) na temat relacji pomiędzy darami hierarchicznymi i charyzmatycznymi w Kościele i kryteriów rozeznawania nowych ruchów. Prefekt kongregacji, kard. Gerhard Ludwig Müller, prezentując tezy dokumentu na łamach „L'Osservatore Romano”, nazwał nowe ruchy charyzmatyczne w Kościele „nieplanowanymi dziećmi”, o które rodzice troszczą się tak jak o pozostałe, a nawet bardziej.

Ks. Kamykowski: – Kościół jest w tym znaczeniu katolicki, że udaje mu się różne tendencje godzić. Nieważne, w jakim modelu Kościoła się uczestniczy. Ważne, by w braterstwie zwiastować ewangelię, bo do tego zostaliśmy powołani. Zawsze ostatecznym kryterium jest miłość, która buduje jedność.

W podobnym tonie wypowiada się także ostatnio bp Czaja, tonując nieco wcześniejsze sądy. Podkreśla, że „potrzeba wiele uważnego słuchania, cierpliwego dialogu i diagnozowania, w świetle prawdy objawionej i nauczania Magisterium Kościoła”. Oraz że „miłość jest najdoskonalszą i jedyną drogą realizacji charyzmatów, najlepszym testem prawdziwości tego, co Boże w Kościele”.

Modlitwa o uzdrowienie

Jaworzno. Już prawie koniec spotkania. Na scenę jeszcze raz wychodzi Krzysztof Demczuk i rozpoczyna czas trzech „setów wstawienictwa”.

W pierwszej części rozbrzmiewa modlitwa za Kościół, za jego jedność, za papieża, księży, za liderów i pastorów Kościołów ewangelicznych oraz za naród wybrany. W drugiej zebrani modlą się za swoje domy, rodziny, małżeństwa, finanse. Trzeci „set” to modlitwa o uzdrowienie i uwolnienie. „Chcemy się modlić, bo wierzymy, że Pan jest lekarzem i ciągle uzdrowia, amen. I powiedział w swoim słowie, żebyśmy kładli na chorych ręce, a oni odzyskają zdrowie” – mówi Demczuk.

Zebrani rzeczywiście kładą sobie nawzajem ręce na ramiona, na plecy i odma-

wiają modlitwę. Na końcu seansu wspólnie odmawiają też „Ojcze Nasz” i „Zdrowaś Maryjo”.

„Psychomanipulacją jest ogłaszanie podczas mszy czy nabożeństw o uzdrowienie, że oto w tej chwili Pan Bóg uzdrowia tego czy innego, konkretnego uczestnika takiej modlitwy” – mówił bp Czaja w kwietniu tego roku do wyższych przełożonych żeńskich zgromadzeń zakonnych. Przypomniał, że już w 2000 r. Kongregacja Nauki Wiary wydała krytyczną instrukcję na ten temat. Zapowiedział też, że Komisja Nauki Wiary KEP wyda niebawem dokument dotyczący kryteriów eklezjalności wspólnot w Kościele.

Skoro duch, *pneuma*, wieje tam, kędy chce, praca nad rozpoznaniem jego skutków zapewne nigdy nie będzie łatwa.

© MARCIN CHODUŃ

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem żegnamy

Profesora Zbigniewa Zaleskiego

Wspaniałego Człowieka i niezawodnego Przyjaciela.

Rodzinie i bliskim składamy wyrazy współczucia

ELA FIODOR I ANTONI PRZYBYSZ

CEZARY BRZOSTOWSKI Z RODZINĄ

MARZENA I BOGDAN SAMARDAKIEWICZOWIE

POŻEGNANIE

Głęboko zasmuceni żegnamy

ś.†_{P.}

Jana Kulmę

reżysera teatralnego i telewizyjnego, muzyka, filozofa, pisarza, żołnierza AK, uczestnika Powstania Warszawskiego.

Najbliższym składamy wyrazy najgłębszego współczucia.

WYDAWNICTWO ZNAK



Wielkanoc, Watykan, 2017 r.

Strażacy Franciszka

EDWARD AUGUSTYN

Nowe nominacje wzmacniają wśród kardynałów grupę hierarchów „z peryferii”, myślących i działających nieschematycznie.

BRAK ENERGII ELEKTRYCZNEJ W WATYKANIE sprawił, że niedzielna modlitwa Anioła Pańskiego rozpoczęła się z opóźnieniem. Przepraszając za to wiernych, papież Franciszek podziękował watykańskim strażakom, którzy po 25 minutach oswobodzili go z zablokowanej windy. Do precyzyjnie przygotowanego scenariusza uroczystości życie dopisało dodatkowy, nieco żartobliwy komentarz.

Wybór tego dnia na ogłoszenie nominacji kardynalskich nie był przypadkowy. W Ewangelii odczytywanej podczas niedzielnej liturgii Jezus napominał uczniów, by nie zabiegali o względy i zaszczyty. Komentując te słowa, Franciszek przestrzegał przed szkodliwym dla każdej wspólnoty wyścigiem po stanowiska. Ogłoszone tuż po tym decyzje personalne wydają się potwierdzać biblijną zasadę, że „ostatni będą pierwszymi”.

Kapelusz na peryferiach

Nominacji od dawna się spodziewano. Po pierwsze, dopominała się o to statystyka. Przepisy kościelne mówią, że wyboru papieża powinno dokonać 120 kardynałów,

którzy w momencie rozpoczęcia konklawe nie ukończyli 80 lat. Dziś elektorów jest 118, w ciągu miesiąca na emeryturę odejdzie czterech, w przyszłym roku – kolejna czwórka. Do pełnego składu brakowałoby dziesięciu i dokładnie tylu otrzyma kardynalski kapelusz na najbliższym konsystorz.

Jednak nie o samą statystykę chodzi. Nominacje kardynalskie pokazują, jaką wizję Kościoła ma urzędujący papież, i na jaką drogę chciałby go wprowadzić. Za Franciszka widać to bardzo wyraźnie. Papież zwiększa liczbę kardynałów z Ameryki Łacińskiej, Azji i Afryki kosztem Europy, zwłaszcza Włoch, skąd tradycyjnie rekrutowało się najwięcej kandydatów. Pomija w nominacjach biskupów z USA – w czasie swego pontyfikatu mianował zaledwie trzech kardynałów z tego kraju (w tym jednego dla kurii rzymskiej). Za Benedykta XVI nominacje otrzymało ośmiu Amerykanów (w tym dwóch pracowników kurii). Niewielkie kraje (jak Tonga) albo ze śladową ilością katolików (jak Laos) będą mieć na kolejnym konklawe jeden głos, tak samo jak

narody tradycyjnie katolickie (Węgry, Austriacy, Chilijczycy). W niektórych europejskich krajach (np. Irlandii, Słowacji, Rumunii czy Litwie) nie ma ani jednego kardynała elektora.

Franciszek przestał też traktować kapelusz kardynalski jako atrybut przynależny do urzędu lub miejsca. Tradycja honorowania tą godnością biskupów najważniejszych diecezji (w Polsce należały do nich Kraków, Wrocław i Gniezno) odeszła do lamusa.

Wśród nowo mianowanych kardynałów „Kościół na peryferiach” – pod względem geograficznym – reprezentują abp Ignatius Hardjoatmodjo z Dżakarty (Indonezja), abp Juan García Rodríguez z Hawany (Kuba), abp Fridolin Besungu z Kinszaszy (Demokratyczna Republika Konga) oraz bp Alvaro Imeri z Huehuetenango (Gwatemala).

Kardynał z ulicy

Kryterium geograficzne z pewnością jest dla Franciszka ważne, ale jeszcze istotniejszy wydaje się być profil kandydata – jego kompatybilność z nową wizją Kościoła i duszpasterstwa. Do godności kardynalskiej wyniesieni zostają ci, którzy od lat wcielają w życie ideę Kościoła ubogiego, choć rzadko goszczą na pierwszych stronach gazet. To świadkowie wiary, duszpasterze ulicy, pracownicy „szpitala polowego”. Papież nie tylko oddaje im hołd i stawia za wzór do naśladowania, ale przede wszystkim zaprasza do współdecydowania o losach Kościoła oraz – w przyszłości – do wyboru spośród siebie jego następcy.

Kościół zaangażowany w obronę praw człowieka i ochronę środowiska naturalnego to – wśród nowo mianowanych – bp Alvaro Imeri, abp Jean-Claude Hollerich z Luksemburga, przewodniczący konferencji episkopatów Europy, czy o. Michael Czerny z Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka. O „peryferia społeczne” troszczy się abp Matteo Zuppi z Bolonii. Twarzami dialogu z innymi kulturami są abp Ignatius Hardjoatmodjo, abp Cristóbal Romero z Rabatu (Maroko) czy bp Miguel Guixot, przewodniczący Papieskiej Rady ds. Dialogu Międzyreligijnego.

Dodajmy jeszcze, że nominacje „honorowe” (oprócz dziesięciu elektorów papież mianował trzech kardynałów, którzy ukończyli 80. rok życia i nie będą uczestniczyć w konklawe) również idą po

tej myśli: abp Michael Fitzgerald, misjonarz Afryki, był prefektem Rady ds. Dialogu Międzyreligijnego, budowniczym mostów między chrześcijaństwem a islamem, nuncjuszem papieskim w Egipcie i krajach Ligi Arabskiej; abp Sigitas Tamkevičius z Kowna został w 1983 r. aresztowany i zesłany na Syberię, gdzie sprawował posługę wśród więźniów i osób represjonowanych; bp Eugenio Dal Corso pracował wśród najbiedniejszej ludności w Buenos Aires i w Luandzie (Angola).

Każdy z nich jest dowodem, że Franciszkowa reforma Kościoła może się udać – niektórzy z nich już ją zrobili.

Ksiądz z frontu

Wspomniany przed chwilą abp Zuppi z Bolonii zasługuje na dłuższą prezentację. W przeciwieństwie do innych kandydatów jest osobą znaną i popularną, nie tylko we Włoszech. Ma 55 lat, na stolicy biskupiej w Bolonii zastąpił kard. Carla Caffarę, jednego z największych krytyków obecnego papieża. Wcześniej był proboszczem w swoim rodzinnym Rzymie (będzie jedynym rzymianinem wśród kardynałów – co też świadczy o nowych czasach), asystentem kościelnym Wspólnoty Sant'Egidio zajmującej się pomocą osobom bezdomnym i biednym oraz angażującej się w pokojowe negocjacje w różnych zapalnych miejscach świata. Sam nazywa się „księdzem z frontu” – wielokrotnie sprawdzał się w sytuacjach kryzysowych. W latach 90. negocjował zawieszenie broni w Mozambiku, które zakończyło trwającą od 15 lat wojnę domową. Potem był mediatorem podczas konfliktów zbrojnych w Kongu, Gwinei i Burundi (wraz z Nelsonem Mandelą). Jako biskup wspierał parafie przyjmujące imigrantów, podczas wizyty papieża w Bolonii zorganizował obiad dla bezdomnych, do którego przy stołach ustawionych w prezbiterium katedry zasiadło ponad tysiąc osób. Jest ceniony za skromność, bezpośredniość i prosty styl życia.

Po jego nominacji pojawiły się głosy, że będzie pierwszym kardynałem wspierającym oficjalnie ruchy LGBT+, czego dowodem miała być napisana przez niego przedmowa do książki „Budowanie mostu” Jamesa Martina, amerykańskiego jezuity i opiekuna środowisk homoseksualnych. Rzeczywiście, Zuppi nie odżegnuje się – jak wielu hierarchów – od używania skrótów LGBT (dodając, że traktuje go „bez żadnych podtekstów ideologicznych”),

a książkę Martina uważa za ważną pomoc w zbliżeniu Kościoła z tym środowiskiem. Jednocześnie zapewnia, że ani on, ani autor nie kwestionują nauczania Kościoła na temat homoseksualizmu: „Żadna prawdziwa droga wzrostu duchowego i moralnego nie może pomijać prawdy Ewangelii i doktryny; ale miłość i ewangeliczna prawda domagają się od duszpasterzy gotowości i zdolności do dialogu” – pisze we wspomnianym wstępie. Spotkanie ze społecznością LGBT+ jest dla niego okazją, by „wyjść z Ewangelią na tereny mało jeszcze rozpoznane” – jak z kolei napisał w przedmowie do innej książki („Fascynacja tą samą płcią. Pomoc osobie”, 2016).

Abp Zuppi jest ceniony także przez katolików konserwatywnych. Był jednym z pierwszych włoskich hierarchów, którzy wyrazili zgodę na „msze łacińskie” (Benedykt XVI uzależnił ich odprawianie od decyzji lokalnego biskupa), i sam je celebrował. Będzie z pewnością dobrym, kompromisowym kandydatem w czasie następnego konklawe.

Poezja i proza

Na 13 nominacji 10 dotyczy duszpasterzy praktyków, w 3 przypadkach zaś kapelusze trafi do urzędników rzymskiej kurii.

Tytuł dla bp. Miguela Guixota, obecnego szefa Papieskiej Rady ds. Dialogu Międzyreligijnego (oraz dla jej byłego przewodniczącego abp. Fitzgeralda) to zarazem uznanie dla samej Rady.

Z kolei o. Michael Czerny, kanadyjski jezuita (urodzony w Czechosłowacji), to specjalista od praw człowieka – co w pełni zgadza się z nową wizją kurii, będącej nie tyle urzędem, ile zapleczem prawnym i teologicznym dla papieża. Już 40 lat temu organizował centra praw człowieka – najpierw w Kanadzie, potem także w innych krajach (m.in. w rządzonej przez wojskową juntę Salwadorze). Zajmował się też pomocą dla chorych i zmarginalizowanych (założył centrum walki z AIDS w Afryce), opieką nad uchodźcami i imigrantami. Nominację kardynalską otrzymał, mimo że nie jest biskupem. Prawo kanoniczne mówi, że w takim przypadku kandydat powinien jak najszybciej, jeszcze przed konsystorzem, przyjąć sakrę. Zapewne tak się stanie, choć papież może udzielić stosownej dyspensy. Takie sytuacje zdarzały się (za Jana Pawła II był to kard. Avery Dulles, za Franciszka – kard. Ernest Simoni), choć jedynie w przypadku kardynałów eme-

rytowanych, a nie elektorów, do których zalicza się o. Czerny (ma 63 lata).

Proza duszpasterskiego życia całkowicie obca jest natomiast kolejnemu nominatowi. Abp José Tolentino Mendonça (portugalski biblista, rocznik 1965) jeszcze rok temu znany był jedynie wąskiej grupie koneserów teologizującej poezji czy też poetyzującej teologii. W lutym 2018 r. papież poprosił go o wygłoszenie rekolekcji wielkopostnych dla kurii rzymskiej. Dziesięć konferencji o pragnieniu – opartych nie tylko na Biblii, ale i twórczości Fernanda Pessoa, Rolanda Barthes'a czy Clarice Lispector – było początkiem jego błyskawicznej kariery. Już w czerwcu papież ściągnął go do Watykanu, wyświęcił na biskupa, nadał tytuł arcybiskupa i funkcję Archiwisty i Bibliotekarza Świętego Kościoła Rzymskiego. Kapelusze kardynalskie dla Mendoncy to przykład (rzadki za tego pontyfikatu) nominacji ze względu na pełniony urząd – ten, który mu powierzono, tradycyjnie zarezerwowany był dla kardynałów. Choć niewątpliwie poglądy nowego kardynała wpisujące się w nurt Franciszkowej „teologii czułości” miały znaczenie przy decyzji o awansie.

Nowa energia

W rozszerzonym po 5 października kolegium po raz pierwszy nominaci Franciszka zyskają liczebną przewagę nad kardynałami ustanowionymi przez jego poprzedników (67 do 61). Oczywiście nie należy z tego wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Otwartość na świat i chęć dokonania zmian w Kościele nie są związane z wiekiem ani osobą promotora. W końcu „ekipę Franciszka” tworzą (w zdecydowanej większości) biskupi Jana Pawła i Benedykta. A kardynałowie mianowani przez tamtych papieży głosowali podczas konklawe na Jorge Bergoglio (i nie wszyscy tego żałują).

Ale jednak z każdym kolejnym rokiem kolegium kardynalskie coraz bardziej się zmienia: więcej jest hierarchów „z pola walki”, myślących i działających nieschematycznie, reagujących szybko i skutecznie – niczym straż pożarna – na kryzysy współczesnego świata, umiejących poruszyć zardzewiałe mechanizmy i uwolnić człowieka z pułapki, jaką staje się dla niego każda, choćby najświętsza, ale skostniała instytucja. Takich, którzy mogą dać Kościołowi potrzebną energię. ©

Klucz, nie miecz

PIOTR SIKORA

Krzyż to znak bezbronnej solidarności, nie konfrontacji i walki. Czy taki jego sens mają na myśli organizatorzy masowej akcji „Polska pod Krzyżem”?

KIEDY W ORGANIZOWANYM PRZEZ CIEBIE religijnym wydarzeniu uczestniczy około miliona osób, znaczy, że trafiłeś w ważne ludzkie potrzeby. A właśnie taki społeczny zasięg miała akcja „Różaniec do granic” zorganizowana dwa lata temu przez fundację Solo Dios Basta. Trzy lata temu ta sama fundacja zorganizowała też tzw. Wielką Pokutę, która zgromadziła ok. stu tysięcy osób na Jasnej Górze. Solo Dios Basta organizuje teraz kolejne podobne religijne wydarzenie: „Polska pod Krzyżem”. Ma się ono odbyć 14 września, w Święto Podwyższenia Krzyża.

Pierwotnie jako centralne miejsce spotkania planowano sanktuarium Świętego Krzyża w Górach Świętokrzyskich. Jednak ze względu na trudności logistyczne i te związane z ochroną przyrody (sanktuarium leży na terenie Świętokrzyskiego Parku Narodowego) opiekujący się Świętym Krzyżem misjonarze oblaci nie zgodzili się na współorganizowanie akcji. Ostatecznie ma ona odbyć się na lotnisku Aeroklubu Włocławskiego w Kruszynie – gdzie, wedle wstępnych szacunków, może przybyć co najmniej kilkadziesiąt tysięcy osób, by modlić się na różańcu, słuchać konferencji i świadectw, uczestniczyć w drodze krzyżowej, mszy i kilkogodzinnej adoracji Krzyża. Organizatorzy apelują też, by podobne modlitewne czuwania organizować w tym samym czasie w innych miejscach – dla tych, którzy nie mogą przybyć pod Włocławek, a chcieliby „duchowo włączyć się w to wydarzenie”.

Choć „Polska pod Krzyżem” jest inicjatywą świeckich katolików, to akcję wspiera kilku biskupów: ordynariusz

BEATA ZAWRZEL / REPORTER



włocławski bp Wiesław Mering, który odprawi mszę na lotnisku, a także abp Andrzej Dzięga ze Szczecina, bp Janusz Stepnowski z Łomży, bp Jerzy Mazur z Ełku, bp Henryk Tomasik z Radomia i ordynariusz zielonogórsko-gorzowski Tadeusz Lityński. Zachęcają oni diecezjan albo do wyjazdu do Kruszyna, albo do organizowania czuwania „pod Krzyżem” w diecezjach i parafiach.

Akcja ma szansę zyskać szeroki społeczny odzew. Istotne zatem jest pytanie o sens tego działania i o jego możliwy wpływ na uczestników.

Czas apokalipsy

Analiza rozmaitych tekstów i wypowiedzi wyjaśniających sens „Polski pod Krzyżem” wzbudza mieszane uczucia.

Tekst wprowadzający, umieszczony na internetowej stronie wydarzenia, wskazuje wyraźnie, że organizatorzy akcji wpisują się w narrację rozpowszechnianą ostatnio przez polskich biskupów, wedle której Kościół i wiara są w Polsce bezpardonowo atakowane. Co więcej, autorzy tej swoistej deklaracji programowej nie ograniczają swej wizji tylko do Polski, ale kreślą apokaliptyczną wizję całego świata, w której stoimy niemal na progu ostatecznej bitwy dobra ze złem. „W ostatnim czasie wzmożyły się ataki na Kościół ze strony antychrześcijańskich środowisk. Błędnie zaczęły szerzyć się na nieznana nam skalę. Usłyszeliśmy o księżach popełniających samobójstwa i porzucających stan kapłański. Na całym świecie

ma miejsce masowe odejście od wiary. To, co dotychczas było jasno nazywane grzechem, staje się przedmiotem debaty. Płoną kościoły i katedry. Tę listę mogliśmy jeszcze wydłużyć”.

Organizowana przez nich akcja ma być odpowiedzią na pytanie, co robić w takiej sytuacji: „Jesteśmy chrześcijanami, ludźmi nadziei i znamy siłę modlitwy. A znakiem zwycięstwa jest dla nas Krzyż Chrystusa. Dlatego zapraszamy wszystkich na wspólną modlitwę w blasku Krzyża Chrystusowego”. Działacze fundacji Solo Dios Basta nie stronią od języka militarno-religijnego. Mówią o „poszukiwaniu Bożych Wojowników” czy „duchowej tarczy antyrakietowej”, zapraszają ludzi, by „poszli z nimi w ten bój”.

W mniej militarnym stylu wypowiadają się wspierający akcję biskupi. Ale także oni w większości wskazują na sytuację zagrożenia i prześladowania chrześcijan w Polsce. Bp Stepanowski z Łomży stwierdza: „Dziś, kiedy obserwujemy coraz więcej sytuacji zagrażających naszej wierze i Kościołowi, chcemy na nowo stanąć do wspólnej modlitwy. Szerzące się antychrześcijańskie ideologie, publiczne bluźnierstwa, napaści na kościoły i kapłanów, znieważanie obrazów Matki Bożej i wizerunków Świętych, domagają się ze strony wiernych podjęcia duchowego dzieła pokuty i moralnej odnowy. Musimy na nowo jako Polska stanąć pod Krzyżem naszego Pana Jezusa Chrystusa”. Bp Mering w rozmowie w Radiu Maryja wyrokuje: „Trzeba być krótkowzrocznym, żeby nie zauważyć prób znieważenia Krzyża, jego wyszydzenia, wyśmiania. Nie mamy już najmniejszych wątpliwości, że chrześcijanie są najbardziej prześladowaną grupą religijną – również w świecie, nie tylko tutaj”.

Najmniej uwagi na rzekome zagrożenia zwraca abp Dzięga. W swoim zaproszeniu na czuwanie w Kruszynie, zamieszczonym na stronie polskapodkrzyzem.pl, kładzie nacisk na to, że choć ci, którzy nie uwierzyli w Jezusa, drwili z Niego w czasie konania na krzyżu, to pod samym krzyżem, gdzie stała matka Jezusa, umiłowany uczeń i Maria Magdalena, panowała cisza, miłość i jedność serc. Według metropolity szczecińskiego adoracja Krzyża wprowadza nas właśnie w tę przestrzeń, pomimo zewnętrznych trudności, a nawet drwin z wiary.

Osobiste doświadczenie

Wydaje się, że dla zrozumienia i teologicznej oceny akcji „Polska pod Krzyżem” kluczowe jest rozróżnienie poczynione przez jednego z głównych jej organizatorów. Na spotkaniu we Włocławku Maciej Bodasiński wyjaśniał, że wydarzenie ma mieć dwa wymiary – osobisty i społeczny, narodowy. Gdy chodzi o ten pierwszy, to jest to zaproszenie dla „wszystkich, którzy w życiu źle się mają, którym jest ciężko, czują się obciążeni, zmęczeni życiem, których małżeństwa się rozpadają, którym ciężko jest być rodzicem, którym praca wymyka się z rąk, którzy żyją w smutku, w lęku, chorobie”, gdyż „do tych, którzy się źle mają, pierwszy przychodził Chrystus”.

W wymiarze społecznym chodzi o to, by „zaprosić Opatrzność Bożą, Pana Boga, by tak jak zawsze mieszkał w naszej ojczyźnie”. Zaproszenie takie oznacza wedle Bodasińskiego „zaproszenie miłości, pokoju, budowanych głębokich mądrych relacji międzyludzkich”, do czego sami nie jesteśmy zdolni, lecz „potrzebujemy wsparcia »z góry«”.

Sens „Polski pod Krzyżem” w wymiarze osobistym dobrze wpisuje się w głęboką, biblijną teologię Krzyża. Ukrzyżowany Chrystus dzieli do końca los człowieka. Jak możemy przeczytać choćby w Liście do Hebrajczyków: „Nie takiego bowiem mamy arcykapłana, który by nie mógł współczuć naszym słabościom, lecz doświadczonego we wszystkim na nasze podobieństwo, z wyjątkiem grzechu” (Hbr 4, 15). Krzyż przyjęty dobrowolnie i z miłości przez Jezusa jest symbolem ujawniającym solidarne uczestnictwo Boga nawet w najciemniejszej stronie rzeczywistości.

Adoracja Krzyża jest w chrześcijańskiej tradycji praktyką duchową, która może otworzyć naszą świadomość na tę obecność Boga także w ciemnych wymiarach naszej egzystencji. Świadomość zaś tej obecności pozwala na przewycięzanie życiowych trudności w podobny sposób, w jaki swoje życie przeżył Jezus: bez agresji, lecz z cierpliwością i miłością.

Nawrócenie – ale z czego?

Znacznie bardziej problematyczny jest społeczny sens akcji „Polska pod Krzyżem” – a niestety on zdaje się dominować w medialnym przekazie.

Owszem, niektóre teksty odnoszące się do tego wymiaru współbrzmiały z prze-

śłaniem Ewangelii – jak choćby wskazanie, że adoracja Krzyża powinna łączyć się z budowaniem mądrych relacji społecznych opartych na miłości i prowadzących do pokoju. Także konkluzja, iż narastające w Polsce konflikty religijno-kulturowe wymagają „ze strony wiernych podjęcia duchowego dzieła pokuty i moralnej odnowy”, jest jak najbardziej słuszna.

Problem polega jednak na tym, że w tekstach wyjaśniających sens akcji brak jakiegokolwiek sugestii, na czym owo nawrócenie i moralna odnowa katolików miałyby w dzisiejszym kontekście konkretnie polegać. Z drugiej strony opis owego społecznego kontekstu akcji jest (delikatnie mówiąc) niezbyt adekwatny do rzeczywistej sytuacji Kościoła w Polsce. Apokaliptyczna wizja prześladowań i bluźnierstw sugeruje, że polscy katolicy są ofiarami jakichś przeważających wrogich sił. Stwierdzenia bp. Meringa, że „chrześcijanie są najbardziej prześladowaną grupą religijną – również w świecie, nie tylko tutaj”, zrównuje przejawy antyklerykalizmu z eksterminacją chrześcijan, do której dochodzi w niektórych częściach świata. To grube nadużycie.

Takie obsadzenie się w roli ofiar jest nie tylko zafałszowaniem rzeczywistości i policzkiem wobec tych chrześcijan na świecie, którzy naprawdę cierpią i umierają za wiarę. Utrudnia też realny proces nawrócenia, który powinien objąć także rzetelny i bolesny rachunek sumienia i zdanie sobie sprawy, że to nie tylko my spotykamy się czasami z agresją i drwiną, ale również sami krzywdzimy innych – przez poniżające i wykluczające słowa oraz czyny pełne przemocy. Prawdziwe nawrócenie powinno wiązać się z przyznaniem się przed sobą i przed innymi, że to my, katolicy, jesteśmy w dużej mierze odpowiedzialni za narastające w Polsce napięcia i konflikty (także te z podtekstem religijnym). Karmiąc się wizją nacierających z zewnątrz wrogów wiary i Kościoła, łatwo poczuć się niewinną ofiarą i całą odpowiedzialność za zło przerzucić na owych wyimaginowanych „innych”.

Symboliczne zawłaszczanie

Z punktu widzenia ewangelicznej teologii Krzyża problematyczne wydają się także dwa inne aspekty społeczne akcji.

Ma ona być bowiem nie tylko osobistym przeżyciem religijnym, ale swego rodzaju demonstracją. Jak mówił Maciej Bodasiński z fundacji Solo Dios Basta, →

→ „plac wypełniony modlącymi się ludźmi to komunikat, także medialny. Także skierowany do ludzi niepewnych, ludzi przerażonych tym, jak trudno dziś wychowywać dzieci, bo gry, bo internet, bo deprawacja, bo lewica w szkołach”.

Owszem, uzewnętrznienie wiary (by skorzystać ze sformułowania użytego przez bp. Meringa) jest potrzebne. Ale sposoby uzewnętrzniania wiary mogą być bardzo różne. Można postawić pytanie: czy wielkie zgromadzenie, które ma pozwolić „policzyć się” katolikom, pokazać, że wciąż są istotną społecznie siłą, pasuje do ewangelicznego przesłania, jakie wyłania się z opisu krzyżowej męki Jezusa? Przecież, zgodnie z przekazami Ewangelii, była ona raczej rezygnacją z „medialnego”, przekonującego wszystkich wydarzenia. Wszak to przeciwnicy Jezusa nawoływali: „jeśli jesteś Synem Bożym, zejź z krzyża!” i mówili między sobą: „Jest królem Izraela: niechże teraz zejź z krzyża, a uwierzemy w Niego” (Mt 27, 40. 42). Śmierć na krzyżu nie miała w sobie nic z „komunikatu medialnego”, który mógłby przekonywać o sile Zbawiciela. Przeciwnie, jawiła się – także uczniom – jako znak odrzucenia rabiego z Nazaretu przez Boga i stanowiła poważne wyzwanie dla ich wiary w Niego.

Niewątpliwie Krzyż nabrał w przebiegu dziejów chrześcijaństwa innego znaczenia. Owa przemiana dokonała się głównie w czasach, z którymi wiąże się święto Podwyższenia Krzyża. Jest ono bowiem pamiątką rzekomego odnalezienia drzewa krzyża przez ludzi wysłanych przez cesarzową Helenę – matkę Konstantyna Wielkiego. To właśnie Kon-

Czy wielkie zgromadzenie,
które ma pozwolić
„policzyć się” katolikom,
**pokazać, że wciąż są istotną
społecznie siłą,**
pasuje do ewangelicznego
przesłania, jakie wyłania się
z opisu krzyżowej
męki Jezusa?

stantyn miał ujrzyć we śnie krzyż i usłyszeć głos: „W tym znaku zwyciężysz”, co doprowadziło go do uznania chrześcijaństwa i do wysiłków, by zrobić z niego religię państwową.

Warto jednak pamiętać, że – zgodnie z przekazem Ewangelii – sens śmierci krzyżowej Jezusa wiąże się m.in. z odrzuceniem przez Niego roli politycznego meksasza, który miał wygnać rzymskich okupantów i przywrócić teokratyczne królestwo Izraela. Tak więc konstantyńskie powiązanie państwa i Kościoła niezbyt harmonizuje z ewangeliczną wizją królowania Boga. W swoim ewangelicznym sensie Krzyż stanowi przeszkodę w sojuszu tronu i ołtarza.

Tutaj ujawnia się druga problematyczna strona akcji „Polska pod Krzyżem” – zawarta właśnie w samej treści nazwy tego wydarzenia, a obecna także w wielu wyjaśniających ją wypowiedziach. Chodzi o to, że nie mówi się tu o obecności

pod Krzyżem polskich katolików czy Kościoła, który jest w Polsce, lecz Polski jako takiej. Mamy do czynienia z wydarzeniem, które usiłuje utożsamić polskość z chrześcijaństwem. W kontekście istniejących obecnie w naszej ojczyźnie silnych sporów kulturowo-religijnych, które ujawniają, że wielu Polaków świadomie (i z różnych przyczyn) dystansuje się od Kościoła, od chrześcijaństwa lub w ogóle od wiary, takie właśnie określenie sensu akcji wygląda na próbę symbolicznego zawłaszczenia Polski przez nie-które środowiska katolickie.

Bezbronność i otwarcie

Adoracja Krzyża, w ciszy i skupieniu, może być bardzo owocną praktyką duchową. Pod warunkiem, że będzie też kontemplacją ewangelicznego sensu tego najważniejszego chrześcijańskiego symbolu. Wówczas trwanie pod Krzyżem może kształtować wspólnotę, jaką opisywał papież Franciszek w adhortacji „Evangelii gaudium”, wspólnotę, która „włącza się w codzienne życie innych, skraca dystans, uniaża się aż do upokorzenia, jeśli to jest konieczne, i przyjmuje ludzkie życie, dotykając cierpiącego ciała Chrystusa w ludzie” (EG 24). Chodzi o wspólnotę ludzi o sercu, które „nigdy się nie zamyka, nigdy nie szuka poczucia własnego bezpieczeństwa, nigdy nie wybiera sztywnej samoobrony. Wie, że ono samo musi wzrastać w zrozumieniu Ewangelii i w rozeznawaniu dróg Ducha, i wtedy nie rezygnuje z możliwego dobra, lecz podejmuje ryzyko pobrudzenia się ulicznym błotem” (EG 45).

©© PIOTR SIKORA

Przed Sądem Rejonowym w Opolu Lubelskim

w sprawie I Ns 228/19 toczy się postępowanie z wniosku Karoliny Polak o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonej w miejscowości Karcz-miska stanowiącej działkę oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 1190 o powierzchni 0,06 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców po Franciszku Skowrońskim i Franciszce Skowrońskiej z domu Walencik oraz Stefanii Ryzenweber, córce Franciszka i Franciszki, do wylegitymowania praw do ww. nieruchomości w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia. Jeżeli w tym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłoszycy się własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Przed Sądem Rejonowym dla Krakowa-Krowodrzy w Krakowie, I Wydział Cywilny, do sygnatury akt I Ns 1256/17/K toczy się postępowanie z wniosku Kazimierza Lipiarza przy uczestnictwie Marcina Plenkiewicza i innych o zasiedzenie służebności drogowej.

Wnioskodawca wniósł o stwierdzenie zasiedzenia służebności drogowej dla części działek znajdujących się w Krakowie o numerach: 301/6 objętej kw KR1P/00434072/1, 301/9 objętej kw KR1P/00534815/3, 302/2 objętej kw KR1P/0211024/1.

W związku z powyższym wzywa się wszystkich zainteresowanych, zwłaszcza następców prawnych Anny Ochęduszek, Barbary Hillmann, Teresy Skiby i Genowefy Szyrskiej oraz Sary Estery Blankenstein, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie służebności drogowej przez zasiedzenie, jeśli zostanie udowodnione.

SZYMON

Hołownia: Samowykrwawianie



SIĘGAJĄC PO KSIĄŻKĘ CEZAREGO ŁAZAREWICZA „1939. Wojna? Jaka wojna?” – opatrzoną podtytułem „Co sprawiło, że Polacy na kilka miesięcy przed wybuchem straszliwej wojny popadli w zbiorowy optymizm i nie wierzyli, że stoją na

krawędzi armagedonu?” – byłem niemal pewien, co chcę nią sobie zrobić. Po raz kolejny upewnić się, że mądrzy umiemy być dopiero po szkodzie. Że gdy trwa kryzys, potrafimy się wspinać na szczyty bohaterstwa, pomysłowości, wielkości. Ale gdy ów kryzys dopiero nadchodzi, gdy można go jeszcze uniknąć, wtedy, jak za dotknięciem różdżki złego czarodzieja, tracimy rozum, wzrok i słuch. Nie stabilizacja, nie tragedia (taka czy inna), lecz to, co jest pomiędzy – okres wzmagających się turbulencji – bywa dla Polaków egzaminem, który zbyt często oblewają. Zwykliśmy się wtedy zachowywać jak dziecko, które za wszelką cenę nie chce przerwać podwieczorku na trawie, sycąc się myślą, że przecież było tak grzeczne i wspinałe, że on mu się należy, nieracjonalnie wypierając podawane mu komunikaty o nadchodzącej burzy. Jak ona w ogóle śmie wtaczać z taką konsekwencją swe chmury nad tak niewątpliwą wspaniałością? Damy jej bobu, pokazemy, gdzie raki zimują!

Łazarewicz skomponował swoją książkę z pamiętników osób prywatnych (młodej żony polskiego oficera, Romany Oszczakiewicz), wojskowych (w tym płk. Stefana Roweckiego), polityków (urzędnika MSZ Jana Meysztowicza, ale też Josepha Goebbelsa, dyplomatów brytyjskich, rumuńskich, włoskich, francuskich), gruntownie przejrzał ówczesne gazety i relacje zagranicznych dziennikarzy. I kolejny raz potwierdził to, co dobrze wiedzą wszyscy interesujący się historią Polski i niezakuwający jej ślepo w przydatne do bieżących wojenek pomniki: Polska dwudziestolecia międzywojennego (ze szczególnym uwzględnieniem lat dzielących śmierć Marszałka i wybuch II wojny światowej) nie była rajem.

Powody można wymieniać długo. Butna tępota oficjalnej rządowej propagandy (nie tylko wtedy, gdy przekonywała, że Mościcki i Rydz-Śmigły to półbogowie i geniusze, ale i wtedy, gdy tłumaczyła powody zajęcia przez Polaków Zaolzia), zamykanie krytycznych wobec władzy dziennikarzy w obozie w Berezie Kartuskiej, tolerowanie w prasie idiotycznych i wulgarnych profaszystowskich albo antysemickich paszkwili. Marnowanie energii społecznej na ideologiczne wojny zastępcze (ulubiony ich temat – ten sam, co dzisiaj: wszystko,

co dotyka seksualności człowieka). Liczne obszary rozwarstwienia społecznego, bezhołwia w armii oraz w systemie obronności i bezpieczeństwa państwa (przechwałki dygnitarzy przekonujących, że co im tam niemieckie czołgi, skoro czołgom zabraknie benzyny, a polski ułan konia może nakarmić i napoić wszędzie, co im tam lotnictwo, skoro to nasza piechota dotrze i wciśnie się wszędzie)...

Patrząc na dwudziestolecie międzywojenne lepiej nie ulegać złudzeniu, że kraj wolny to zawsze kraj dobry i piękny. Na tym, że dziś, mądrzejsi o prawie sto lat historii, będziemy z krytyczną wyższością przyglądać się pokoleniu moich pradziadków, refleksji nad książką Łazarewicza nie powinno się zakończyć. Bo niesie ona ze sobą jeszcze co najmniej dwa ważne przesłania. Po pierwsze, idąc z autorem, miesiąc po miesiącu, przez 1939 rok – przez emocje, myśli, tezy, prasowe ogłoszenia, polityczne relacje – nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że historia lubi się powtarzać. Jasne, dziś nie mamy Hitlera, jest inna sytuacja geopolityczna. Mamy jednak tak samo głupią propagandę władzy. Ten sam operacyjny bałagan na jej szczytach. Te same osłabiające wspólnotę wojenki o pięciorzędne sprawy, strojące się w szaty wojen o przyszłość cywilizacji. To samo neurotyczne tropienie wroga w myślącym inaczej sąsiedzie, no i – jakże mogłoby tego zabraknąć – w międzynarodowej żydowskiej finansjerze (George Soros, jak powszechnie wiadomo, ani Aborygenem, ani Eskimosem raczej nie jest). Tak, powtórzmy: za ścianą nie ma Hitlera. Ale czy naprawdę być musi, byśmy się przekonali, jak bardzo potrafimy wykrwawić samych siebie?

I sprawa druga. O Józefie Becku i jego polityce pisano opasłe tomy, na rynku są prace historyków sugerujące, że może trzeba było zawczasu dogadać się z Hitlerem. Książka Łazarewicza to nie jest podręcznik do historii, ale z niej też zdaje się wynikać, że gdybyśmy gdzieś w samych początkach 1939 r. (zanim Hitler zmienił zdanie i zaczął eskalować apetyt) zgodzili się na odpuszczenie kwestii Gdańska i eksterytorialny korytarz, być może wojna zaczęłaby się na Zachodzie, a nie u nas (choć trzeba świętej naiwności, by wierzyć, że prędzej czy później i tak z całą swoją grozą nie doszłaby do nas). Tu widać, jak w ciągu paru miesięcy, między styczniem a sierpniem, dyplomatyczny stolik obrócił się w zaskakujący sposób. Czy wojna musiała wybuchnąć na Westerplatte tych 80 lat temu? Chyba akurat wtedy i tam nie musiała. Ale czy polska dyplomacja mogła zachować się inaczej? Oddać pod presję i agresję wszelkie prawa do Gdańska? Okroić suwerenność, terytorium? W jakikolwiek sposób zatrzymać nieproporcjonalnie rosnącą potęgę sojusznika (Niemcy i Polskę łączył do 1939 r. zawarty jeszcze za czasów Marszałka pakt o nieagresji)?

W książce Łazarewicza Polska sprzed 80 lat jawi się więc niczym bohaterka greckiej tragedii. O której jednak nie można powiedzieć tego, że z całą pewnością zrobiła wszystko, aby nie trwonić sił. I mieć ich w zapasie tyle, ile tylko się da, gdy przyjdzie temu, co nieuchronne, stawić czoła. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

WIDMO REWOLUCJI KRAŻY PO PEKINIE

Jeśli mieszkańcy Hongkongu zaniechają swej walki, staną się częścią ściśle kontrolowanego społeczeństwa i będą zmuszeni zapomnieć o wolności.

JAN GÓRSKI

DEMONSTRACJE NA ULICACH HONGKONGU, trwające już czwarty miesiąc, stały się symbolem walki o prawa polityczne – walki toczonej w obliczu skrajnej nierównowagi. Regularne wielotysięczne marsze były przeplatane takimi, w których uczestniczyło nawet milion czy dwa miliony ludzi, czyli niemal co czwarty mieszkaniec miasta. Taka skala mobilizacji jest nieporównywalna do większości przykładów społecznego protestu. Mimo to nie przyniosła oczekiwanych efektów. Zamiast dialogu i poszukiwania kompromisu zaczęła się powolna odpowiedź siłowa, prowadzona rękami miejscowej policji i gangsterów.

Wcześniej Hongkong mógł się wydawać mało prawdopodobnym miejscem na takie protesty. Zgodnie z zasadą „jeden kraj, dwa systemy” – uzgodnioną między Londynem (do którego należał jako kolonia przed ponad 150 laty) i Pekinem, zanim w 1997 r. Brytyjczycy przekazali go Chińskiej Republice Ludowej – jego mieszkańcy cieszą się rządami prawa i wolnością nieporównywalną do sytuacji w ChRL. Jednak, jak pokazują protesty, funkcjonowanie zasady „dwóch systemów” jest oparte na dobrej woli Pekinu, której wyraźnie brakuje przez ostatnie lata.

W ciągu tych kilkunastu tygodni protesty zmieniły swój charakter. W czerwcu, gdy się zaczynały, ich głównym powodem był projekt ustawy – wprowadzony przez lojalne wobec Pekinu władze Specjalnego Regionu Administracyjnego (jak nazywa się Hongkong), na czele z Carrie Lam – przewidujący możliwość ekstradycji podejrzanych do ChRL. Fakt, że władze Specjalnego Regionu długo nie odpowiadały na żądanie demonstrantów, sprawił, iż protesty nie ustawały, a postulaty się radykalizowały – dziś demonstranci żądają już demokratyzacji systemu politycznego Hongkongu.

„Tituszkki” po chińsku

Półśrodek, jakim było zawieszenie prac nad ustawą, okazał się dalece niewystarczający. Protestujący coraz częściej decydowali się na (ograniczone) użycie siły, głównie w postaci wandalizowania wybranych budynków publicznych. W odpowiedzi policja sięgnęła po całą gamę brutalnych środków – tak jakby otrzymała *carte blanche* na przemoc wobec protestujących. Gaz łzawiący, armatki wodne, gumowe kule, pałki są używane coraz śміielej i z coraz mniejszą dbałością o bezpieczeństwo protestujących. Policjanci w cywilu najpierw wmieszali się



w demonstracje, by następnie dokonywać aresztowań jej uczestników.

W efekcie kolejne protesty były skierowane przeciwko brutalności oraz... bierności policji. Z jednej bowiem strony policja w coraz większym stopniu czuła się zwolniona z ograniczeń. Z drugiej strony, beczynnie przyglądała się nowej formie przemocy wobec protestujących, którą moglibyśmy nazwać hongkońskimi „tituszkami” – mając w pamięci wykorzystanie bandytów przeciw protestującym na kijowskim Majdanie ponad pięć lat temu. Członkowie triad – innymi słowy: gangsterzy – atakowali wracających z pokojowych demonstracji, np. na oddalonych od centrum stacjach metra. Trudno sobie wyobrazić, by takie zachowanie, jak i towarzysząca mu bierność policji były możliwe bez przyzwolenia władz Hongkongu.



VINCENT YU / AP / EAST NEWS

Policjanci podczas demonstracji na lotnisku w Hongkongu, 13 sierpnia 2019 r.

Frustracja rodzi radykalizm

Kolejnym krokiem stały się ostentacyjne aresztowania osób uznawanych za liderów, takich jak 22-letni Joshua Wong. Oskarżano ich o wywoływanie zamieszek, zagrożone karą kilkunastu lat więzienia. Łączna liczba zatrzymanych sięgnęła do dziś ponad tysiąca osób.

To działanie, podobnie jak eskalacja przemocy, okazało się podwójnie bezproduktywne. Po pierwsze, sądy zwalniały dużą część aresztowanych, zgadzając się, by odpowiadali z wolnej stopy. Po drugie, obecny protest – inaczej niż „rewolucja parasolek” w Hongkongu w 2014 r. – w dużej mierze nie ma liderów. Nawet fala aresztowań nie będzie w stanie osłabić oddolnej mobilizacji.

W tej sytuacji nie powinno dziwić, że po stronie opozycyjnej coraz częściej po-

jawiała się frustracja, wywołana nieskutecznością pokojowego protestu, i przekonanie o konieczności sięgnięcia po bardziej radykalne środki. Protestujący kilkakrotnie skutecznie blokowali międzynarodowy port lotniczy i główne arterie komunikacyjne. Obiektem ataków stawały się też budynki publiczne. Jednocześnie kolejne grupy zawodowe, wcześniej zachowujące neutralność polityczną – od prawników do urzędników – dołączały ze swoimi protestami. 23 sierpnia pojawił się również „ludzki łańcuch”, na podobieństwo tego, który w 1989 r. połączył mieszkańców krajów bałtyckich, wówczas jeszcze pozostających w składzie Związku Sowieckiego.

Naciski ze stolicy

Pekin w tym czasie również usztywniał swoje stanowisko i naciskał na władze

Hongkongu, by uporały się z protestami. Pojawiła się też niedwuznaczna presja wojskowa: siły zbrojne i Ludowa Policja Zbrojna (chiński odpowiednik rosyjskich wojsk wewnętrznych) prowadziły ćwiczenia wokół miasta. Również garnizon Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w samym Hongkongu prowadził ostentacyjne przygotowania – tak jakby miał zostać użyty do tłumienia protestów.

Do tego dochodziło zaostrzenie retoryki, jaką chińskie władze i państwowe media opisywały wydarzenia w Hongkongu. Protest był coraz częściej przedstawiany jako organizowany przez mniejszość, inspirowany z zagranicy (konkretnie z Zachodu), jako dzieło „czarnych rąk”, które podburzają spokojne społeczeństwo, a nawet jako terroryzm. Pekin zastrzegł sobie prawo wprowadzenia stanu wyjątkowego w mieście. ➔

⇒ Ta eskalacja retoryki pokazywała główny problem po stronie chińskich elit rządzących: najwyraźniej nie rozumieją one przyczyn protestu i nie są w stanie uwierzyć, że ludzie mogą protestować w obronie swych praw politycznych i poczucia godności. W Pekinie dominiuje myślenie, że jeśli ludzie protestują, to wyłącznie dlatego, że ktoś – najczęściej Zachód i jego zbrojne ramię pod postacią CIA – ich do tego skłonił.

Chiny boją się rewolucji

W takiej optyce jedyną możliwą (i logicznie spójną) interpretacją staje się wizja organizowanej w Waszyngtonie kolejnej „kolorowej rewolucji”. W takiej wizji Hongkong to tylko pierwszy etap, a celem ostatecznym jest zmiana reżimu w ChRL. Agencja Xinhua pisała wprost, że wywołujący zamieszki i ich „patroni” najpierw chcą rozmontować zasadę „jeden kraj, dwa systemy”, a następnie przenieść płomień „kolorowej rewolucji” do ChRL. Protestujący są więc „zdrajcami opierającymi się na siłach zewnętrznych”. Pojawiły się wezwania do wprowadzenia w Hongkongu „patriotycznej” edukacji i usunięcia liberalnego trzonu z programów nauczania.

Nie rozumiejąc, że mieszkańcy Hongkongu chcą negocjować narzuconą im przez Chiny – i pośrednio także przez wycofującą się z miasta Wielką Brytanię – umowę społeczną, Pekin konsekwentnie zmniejszał pole potencjalnego kompromisu. Przeciaki mówiące, iż Komunistyczna Partia Chin nie pozwoliła Carrie Lam na dymisję, jedynie wzmacniały wrażenie, że Pekin wierzy tylko w rozwiązanie siłowe.

Warto przy tym pamiętać, że siłowy scenariusz już jest realizowany – biorąc pod uwagę brutalność policji i aresztowania oraz watahy gangsterów polujących na demonstrantów. Nie sposób nie zadać pytania, na ile uważnie Pekin śledził ewolucję protestów na Majdanie i czy dostrzegał konsekwencje użycia śmiertelności broni. W każdym razie wygląda na to, że postawienie na przemoc – tuż poniżej progu strzelania do ludzi – wydawało się dla Pekinu najlepszą opcją.

Niespodziewany zwrot

Biorąc pod uwagę tę radykalizację, tym bardziej zaskakujące stało się oficjalne wycofanie przez Carrie Lam projektu

Hongkong staje się
coraz bardziej
ChRL-owskim miastem,
według wyznawanej
przez partię zasady
**„jedno państwo,
jeden system”.**

ustawy o ekstradycji, co ogłosiła w minioną środę, 4 września. Tym samym władze Hongkongu, najprawdopodobniej za zgodą Pekinu, uznały jeden z pięciu postulatów protestujących.

Dalszy kierunek rozwoju sytuacji nie jest jasny. Niespełnione pozostają cztery postulaty: niezależne śledztwo w kwestii zachowania policji; zaprzestanie określania protestów mianem „zamieszek”; amnestia dla aresztowanych; demokratyczne reformy, które umożliwiłyby społeczeństwu Hongkongu w pełni demokratyczny wybór liderów (w miejsce istniejącej protezy demokratycznej, w ramach której selekcja władz w zasadniczej mierze odbywa się w Pekinie). Zdaniem i obserwatorów, i protestujących reakcja władz nastąpiła zbyt późno. Spełnienie tylko jednego z postulatów może okazać się niewystarczające dla uspokojenia nastrojów i demobilizacji opozycji.

Nie należy jednak mieć wątpliwości: ten cząstkowy kompromis będzie wykorzystany do dalszego oczerniania protestujących i prób wbicia klina między „radykalną” mniejszość i „spokojną pracującą” większość. Ustępstwo może też posłużyć jako uzasadnienie dalszej przemocy wobec tych protestujących, dla których sens demonstrowania dawno wyszedł poza ustawę o ekstradycji.

Tymczasem w tle protestów w Hongkongu trwają przygotowania do zaplanowanych na 1 października wielkich obchodów 70. rocznicy powstania Chińskiej Republiki Ludowej; ma to być pokaz sukcesów i odporności rządzącej partii komunistycznej. Władze w Pekinie konsekwentnie dążą do tego, aby zapobiec sytuacji, gdy obraz rosnących w siłę Chin zastąpią obrazy społecznej mobilizacji w Hongkongu.

Czy zmiany są możliwe?

Zasadnicza część protestujących to ludzie młodzi, którzy stoją przed dramatycznym wyborem: albo spróbują utrzymać odrębność Hongkongu, albo staną się częścią ściśle kontrolowanego przez partię społeczeństwa, w którym będą zmuszeni zapomniać o przysługujących im kiedyś prawach i wolnościach.

Trudno sobie wyobrazić, aby Pekin ustąpił w centralnej kwestii: demokracji.

Powrót Hongkongu pod kontrolę partii komunistycznej jest traktowany jako wyraz odzyskanej suwerenności i kres epoki nierównoprawnych traktatów. Komunistyczne Chiny nie są Związkiem Sowieckim 30 lat temu; nie przechodzą ideologicznej pierestrojki, która otwierałaby drogę dla dążeń wolnościowych. Przeciwnie, przewodniczący Xi i jego ekipa są nastawieni na centralizację władzy, na wzmocnienie kontroli ideologicznej nad partią i społeczeństwem. Do tego dochodzi zaostrzająca się rywalizacja ze Stanami Zjednoczonymi, która nie sprzyja kompromisom i wzmacnia przekonanie, że protesty w Hongkongu są inspirowane z zewnątrz, a konkretniej z Waszyngtonu.

Z takiej perspektywy patrząc, ta część opozycji, która liczy na utrzymanie i rozszerzenie wolnego wyboru przez mieszkańców Hongkongu, wydaje się być na z góry przegranej pozycji. Co gorsza, nawet szanse na utrzymanie *status quo* wydają się maleć. Hongkong jest coraz bardziej ChRL-owskim miastem, według wyznawanej przez partię zasady „jedno państwo, jeden system”.

Na co w tej sytuacji realistycznie mogą liczyć protestujący? Jedyną nadzieją wydaje się być pojawienie wątpliwości w Pekinie, czy bezkompromisowy kurs jest jedyną słuszną drogą.

Jeszcze na dwa dni przed ustępstwem, firmowanym przez Carrie Lam, wszystko wskazywało na niechęć do jakichkolwiek zmian w dotychczasowej polityce. A jednak ta zmiana, jakkolwiek mała i spóźniona, dokonała się z jakichś przyczyn. Być może protesty wywołają jednak refleksję na szczytach władzy w partii komunistycznej – i przynajmniej wyhamują proces demontażu autonomii Hongkongu.

Tej, która – według statusu Specjalnego Regionu Administracyjnego – miała trwać przez 50 lat. © P JAN GÓRSKI



W Hongkongu protestują także pracownicy ochrony zdrowia.
Queen Mary Hospital, 1 września 2019 r.

JUSTIN CHIN / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Zbiorowy ruch oporu

MIESZKANKA HONGKONGU:

**Głównym problemem jest brutalność policji.
Dla nas, zwykłych obywateli, policjanci są jak terroryści.**

ANNA GOC I MARCIN ŻYŁA: Jaka atmosfera panuje w Hongkongu?

MIESZKANKA HONGKONGU, PROSZĄCA O ANONIMOWOŚĆ: W tygodniu nasze życie wygląda w miarę normalnie. Choć protesty od czterech miesięcy są jego częścią. Od piątkowego wieczoru do niedzieli, gdy protestów jest najwięcej, wielu mieszkańców zostaje w domach. Demonstracje są dobrze zorganizowane. Ważną rolę odgrywają media, które informują o kolejnych wydarzeniach. Np. dzisiaj [rozmawiamy w czwartek 5 września – red.] wiem już, gdzie i kiedy odbędzie się protest w sobotę.

Jak wyglądają protesty od środka?

Byłam na kilku, tych, które zgromadziły najwięcej ludzi. Wśród uczestników można wyróżnić dwie grupy. Pierw-

sza preferuje rozwiązania pokojowe, spokojne, racjonalne. Do niej należą. Ale jest też druga, bardziej agresywna. Rząd przedstawia ich jako inicjatorów zamieszek. To z reguły młodszy mieszkańcy miasta. Ważne jest to, że jest sporo możliwości, by się zaangażować. Niektórzy zgłaszają się nawet jako kierowcy ochotnicy.

Po co?

Policja współpracuje z komunikacją publiczną. W minioną niedzielę odbyła się kolejna demonstracja na lotnisku. Władze wstrzymały transport, skutecznie blokując tam demonstrantów – mogli wracać do domu tylko na piechotę. Ale wtedy ponad sto osób przyjechało na lotnisko swoimi samochodami, by ewakuować protestujących. Ludzie żartowali, że to nasza własna Dunkierka.

Niektórzy popierają bardziej agresywne młode pokolenie. Inni uczestniczą w demonstracjach, jeszcze inni wspierają ruch protestu finansowo.

Mieliśmy dwie duże kampanie międzynarodowe. Wykupiliśmy ogłoszenia w najważniejszych zagranicznych dziennikach. Podczas kampanii fundraisingowej jednego tylko dnia udało się zebrać 2 mln dolarów hongkońskich [równowartość ok. 1 mln zł – red.]. Dwa tygodnie temu zaś, idąc za przykładem państw bałtyckich sprzed 30 lat, sformowaliśmy łańcuch ludzki. Dziś rano wdziałam uczniów przed szkołami – niektórzy w ramach protestu nie uczestniczyli w lekcjach. Przyszedłam pod swoją dawną szkołę razem z innymi jej absolwentami. Zrobiliśmy własny, mały łańcuch ludzki, trzymaliśmy się za ręce, śpiewaliśmy, oczywiście pokojowo, krzyčeliśmy hasła.

Wygląda na to, że to ruch dobrze zorganizowany. Ale z drugiej strony – pozbawiony liderów.

Tak, inaczej niż zwykle w tego rodzaju protestach, nie mamy lidera. Działamy kolektywnie.

Czy to jednak nie przeszkoda, że nie macie lidera? Protesty protestami, ale cele polityczne trzeba jakoś realizować.

I tak, i nie. Na tych, którzy popierają protesty, mówimy: „żółte wstążki”. Radykalowie to „deep yellow”. „Light yellow” to ci skłonni do kompromisu. Zwolennicy rządu to z kolei „niebieskie wstążki”. Nazwy są pozostałością po protestach w 2014 r., kiedy używano kolorów do określania czyichś preferencji politycznych. Poza tym mamy swoje postulaty [pisze o nich obok Jan Górski – red.].

Premier Hongkongu Carrie Lam ogłosiła, że wycofuje się ze zmian w przepisach dotyczących ekstradycji, których zapowiedź była pierwszą przyczyną demonstracji. Czy to nie koniec protestów?

Musimy być ostrożni. Niektórzy mówią, że rząd tylko wstrzymał tę ustawę na jakiś czas, licząc, że to ludzi uspokoi. Poza tym przepisy o ekstradycji to tylko jedno z żądań.

Głównym problemem jest teraz policja, która zachowuje się brutalnie. Dla nas, zwykłych obywateli, policjanci →

są jak terroryści. Dlatego chcemy niezależnej komisji, która zajmie się analizą nadużyć policjantów. Uważamy, że policja współpracuje z przestępcami, którzy atakują uczestników protestów, m.in. w metrze.

Kiedy zaczynały się protesty, jakie miała Pani nadzieje?

Walczymy o prawdziwą demokrację. Ale nawet wśród „żółtych wstążek” są różne postawy. Niektórzy chcą niepodległości Hongkongu, większość wie, że nie ma na to szans. Wielu z nas akceptuje zasadę „jeden kraj, dwa systemy”, ale pod warunkiem, że będziemy, jak dotąd, korzystać z naszych wolności – wolności słowa, gospodarczej, dobrego systemu prawnego. Poza tym w ostatnich miesiącach zdaliśmy sobie sprawę, że nasz lokalny rząd jest kontrolowany przez zewnętrzną siłę. I że nie prowadzi polityki, której celem byłoby dbanie o interesy obywateli Hongkongu, o autonomię.

Chiński rząd powtarza, że protesty są inspirowane z Zachodu, sugeruje, że stoją za nimi Stany Zjednoczone. Czy to świadoma strategia, czy urzędnikom w Pekinie nie przychodzi do głowy, że ktoś mógłby walczyć o takie wolności?

Oni mówią tak, bo się boją, że to, co się dzieje w Hongkongu, rozleje się na inne miasta w Chinach. Czasem nawet portretują nas jak ruch, którego celem jest obalenie rządu w Pekinie! To oczywiście nieprawda: my tylko chcemy kontynuacji formuły „jeden kraj, dwa systemy”.

Mówimy o polityce i prawie. Ale czy Chiny nie używają też swojej soft power w innych dziedzinach życia – szkolnictwie, kulturze?

Tak, jak najbardziej. Dwa dni temu zorganizowali konferencję prasową. Powiedzieli, że pierwszą rzeczą, którą zrobią, gdy sytuacja się uspokoi, będzie wprowadzenie w Hongkongu chińskiego programu nauczania, by młode pokolenie nie spoglądało za bardzo w stronę Zachodu. W programie nauczania jest m.in. o tym, że masz porzucić swój ojczysty kraj i wspierać partię komunistyczną.

©© Rozmawiali ANNA GOC I MARCIN ŻYŁA

Tajemniczy bracia

PIOTR TARCZYŃSKI

Dla amerykańskiej lewicy i liberałów są personifikacją tego, co na prawicy najgorsze. Dwaj miliarderzy, bracia Koch, odegrali wielką rolę w polityczno-kulturowej przemianie w USA.

CHOĆ BRACI KOCHÓW BYŁO CZTERECH, świat zna tylko dwóch: Charlesa – prezesa rodzinnej firmy, stroniącego od ludzi; i Davida – młodszego o pięć lat, hojnego filantropa, przez wiele lat najbogatszego nowojorczyka.

O ile introwertyczny Charles uważa się za geniusza biznesu, który do wszystkiego doszedł sam, o tyle David – zmarły w sierpniu tego roku, w wieku 79 lat – był uczciwszy w ocenie swego losu. Zapytany o sekret sukcesu, odparł: „Jako dziecko dostałem od ojca jabłko, sprzedałem je i kupiłem dwa, potem cztery i tak dalej, rok po roku, aż wreszcie umarł ojciec i zostawił mi trzysta milionów dolarów”.

Ojciec braci, Fred, zrobił fortunę budując przed II wojną światową rafinerie w Związku Radzieckim i III Rzeszy. Pieniądze pozwoliły mu na założenie w Kansas firmy naftowej, która przyniosła mu miliony. Przekonany antykomunista, Fred był jednym z założycieli Stowarzyszenia im. Johna Bircha – niegdyś wpływowej organizacji skrajnej prawicy. Poza wiarą w niczym nieograniczony wolny rynek „birchysci” uważali, że komuniści kontrolują Waszyngton, a ich agentem jest nawet prezydent Eisenhower. Wychowany w takiej rodzinie, młody David zabronił kiedyś wstępu do domu przyjacielowi, który miał w ręku książkę „komunisty” Hemingwaya.

Po śmierci ojca Charles i David pozbyli się z odziedziczonej firmy dwóch pozostałych braci, zmienili nazwę na Koch Industries – po czym biznes wart 250 mln dolarów rozbudowali w konglomerat o wartości 115 miliardów. Przy okazji angażując się w życie publiczne.

Reagan? Zbyt lewicowy!

Charles kierował firmą z Wichity w stanie Kansas, a David, wiceprezes, zamieszkał w Nowym Jorku, prowadząc beztrojskie życie bon vivanta. Choć bracia po-

dzielali wiele poglądów ojca w kwestii prowadzenia biznesu, zgodnie uznali, że „birchyzm” jest zbyt szalony, by odnieść polityczny sukces, i należy działać inaczej. Charles założył libertarian-ski think tank Cato Institute (z początku nosił nazwę Fundacja Charlesa Kocha), a David zaangażował się politycznie – w 1980 r. był kandydatem na wiceprezenta z ramienia Partii Libertarian-skiej, która bez powodzenia usiłowała zająć z prawej flanki Ronalda Reagana (w opinii libertarian lewaka).

Wprawdzie Reagan lubił mówić, że „rząd nie jest rozwiązaniem, rząd jest problemem”, ale daleko mu było do radykalizmu Kocha, który postulował likwidację wszystkich podatków, szkół publicznych i opieki społecznej, a na dokładkę FBI, CIA i straży granicznej.

Z praktyką bywało u Reagana różnie – po obniżce podatków nastąpiło ci-



che i stopniowe ich podnoszenie, o czym mało kto dziś pamięta. Ale nie da się zaprzeczyć, że pod jego wpływem w Partii Republikańskiej dokonał się zwrot w stronę turbokapitalizmu spod znaku Milтона Friedmana. Nie był to jeszcze pełen libertarianizm, o którym marzyli Kochowie, ale wystarczyło: od połowy lat 80. bracia związali się z Partią Republikańską.

Edukacja, czyli inwestycja

Wcześniej libertarianizm był ekscentryczną filozofią, modną wśród części wykładowców akademickich, ale pozbawioną znaczenia politycznego – jeden procent zdobyty w wyborach prezydenckich w 1980 r. był szczytem możliwości libertarian.

Konieczna była działalność edukacyjna, która rozpowszechniłaby idee bliskie Kochom: zero podatków, zero interwencji państwa, zero edukacji publicznej, każdy sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Wpompowane miliony przyniosły skutek: sponsorowane przez braci katedry i instytuty działają dziś na prawie 300 uczelniach, a libertarianizm, kiedyś mieszczący się poza granicami akceptowalnych poglądów, na dobre wszedł do credo Republikańców.

Poglądy braci (jak ich ojca) nie zawsze szły parze z praktyką. Gdy w czasie kryzysu finansowego w 2008 r. administracja Busha juniora próbowała przepchnąć

przez Kongres ustawę o „bailoucie” (zasileniu tonącej gospodarki pieniędzmi z budżetu), Kochowie – bojąc się o własny majątek – po cichu wsparli ten plan państwowej interwencji, ale potem wybór Baracka Obamy ich przeraził. Uwierzyli we własną propagandę, przedstawiającą nowego prezydenta jako niebezpiecznego socjalistę, który cofnie neoliberalne zdobycze ostatnich 20 lat. Postanowili wzmocnić wysiłki: celem było zablokowanie nowej administracji, uniemożliwienie Obamie jakiegokolwiek sukcesu legislacyjnego i w konsekwencji uczynienie go prezydentem na jedną kadencję.

Idąc za radą ojca – ten powtarzał, że „harpunem dostaje ten wieloryb, który wypuszcza powietrze” – braciom długo udawało się zachować względną anonimowość; oskarżali lewicowe media, że robią z nich chłopców do bicia. Dociekliwi reporterzy, jak Jane Mayer z „New Yorkera”, zdołali jednak złapać za macki „Kochśmiornicy”: sieć setek powiązanych organizacji non-profit, fundacji, instytutów i think tanków.

Jej struktura jest wprawdzie celowo zagmatwana, ale szacuje się, że w sumie Kochowie przekazali setki milionów dolarów na cele polityczne. Co więcej, do stworzonej przez nich sieci, gwarantującej darczyńcom anonimowość, należy kilkuset podobnie myślących bogaczy, których stać na coroczne wpłaty w stosownej wysokości. Członkowie sieci – a raczej Sieci, bo sami używali tego określenia – nazywali się inwestorami. Pieniądze, które wpłacali, były także inwestycją, która miała się zwrócić.

Podatki, przyroda i Tea Party

Prócz podatków najważniejszym tematem dla braci było środowisko – w obu przypadkach mieli identyczny pomysł: zniesienie podatków i zniesienie ograniczeń mających chronić naturę.

Koch Industries zajmuje się wszystkim po trochu: ropą, tworzywami sztucznymi, drewnem, nawozami. Od dawna zajmuje wysokie miejsce w rankingu trucicieli w USA i regularnie płaci kary za wycieki ropy i wylwanie ścieków. Nic dziwnego, że Kochowie zawzięcie walczyli o deregulację przepisów, domagając się nawet likwidacji Agencji Ochrony Sro-

dowiska – EPA (założonej zresztą przez Republikanina, Richarda Nixona).

Pierwszą dużą klęską Obamy w Kongresie była właśnie ustawa o ograniczeniu emisji dwutlenku węgla, która byłaby dla Koch Industries bardzo kosztowna. Republikanie, którzy początkowo ją popierali, zaczęli się wycofywać, przestali odbierać telefony z Białego Domu. Administracja została wzięta z zaskoczenia.

Kochowie poszli dalej. Americans for Prosperity (AFP; Amerykanie na rzecz Dobrobytu), jedna z głównych organizacji „Kochśmiornicy” – zaczęła akcję dyskredytowania naukowców, przedstawiania globalnego ocieplenia jako wymierzonego w Amerykę spisku i zwalczania polityków domagających się walki ze zmianami klimatycznymi (i to z obu partii). To zadziało: o ile dziesięć lat temu John McCain chciał debatować o walce z globalnym ociepleniem, dziś klimatyczny negacjonizm stanowi jeden z filarów ideologicznych Partii Republikańskiej.

Choć Kochom nie udało się zablokować reformy ubezpieczeń zdrowotnych, Obamacare, niesławny wyrok Sądu Najwyższego ze stycznia 2010 r. spełnił jedno z ich marzeń: zniósł wszelkie ograniczenia darowizn na cele polityczne. O ile w 2006 r. ledwie 2 proc. wszystkich datków politycznych pochodziło od „organizacji charytatywnych”, to cztery lata później było to już 40 proc., czyli setki milionów dolarów. Pochodziły one nie tylko od Kochów, ale ich sieć rosła w siłę i z czasem zaczęła dorównywać partyjnym machinom Demokratów i Republikanów.

Największym osiągnięciem Kochów była jednak Tea Party. Choć początkowo ruch ten traktowano jako spontaniczny wyraz autentycznego oburzenia, z czasem okazało się, jak wiele zawdzięczał „Kochśmiornicy”, wspierającej go finansowo i organizacyjnie. To właśnie AFP przekształciła Tea Party w potężną siłę, która w 2010 r. pomogła Republikanom odbić Izbę Reprezentantów. Celem Kochów byli nie tylko Demokraci, ale też umiarkowani Republikanie, np. zwolennicy walki z globalnym ociepleniem.

Wydawało się, że Kochowie osiągnęli cel, a dominacja libertarianizmu w Partii Republikańskiej jest niezagrożona.

Ocieplanie wizerunku

Rosnące zainteresowanie mediów i niesława, jaka po lewicowo-liberalnej stronie opinii publicznej w USA zaczęła →



PACIFIC PRESS AGENCY / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Protest przeciwko finansowaniu Republikanów przez Davida Kocha, Nowy Jork, 2017 r.

→ ciężać na nazwisku Koch, niedawno jeszcze obcemu większości Amerykanów, wymusiły na braciach próbę ocieplenia wizerunku.

„Chciałbym zostać zapamiętany jako ktoś, kto zrobił wszystko, by uczynić świat lepszym” – mówił David w wywiadzie, chwając się osiągnięciami filantropijnymi, na czele z sumą prawie 500 mln dolarów, którą łącznie przekazał na walkę z rakiem. Twierdził, że do dobroczynności pchnęło go doświadczenie z 1991 r., gdy najpierw jako jedyny pasażer pierwszej klasy przeżył katastrofę lotniczą, a potem wykryto u niego raka prostaty. Miał uznać, że Bóg ma wobec niego plan, i postanowił regularnie łożyć na cele charytatywne: głównie walkę z rakiem i kulturę.

Choć trudno kwestionować zamiłowanie Davida Kocha do kultury – i szczerą chęć odnalezienia leku na raka – to jego zamiłowanie do filantropii wzięło się z bardziej prozaicznych powodów, co zresztą sam przyznał. Fred Koch zostawił synom pieniądze w formie trustu dobroczynnego. „Przez 20 lat musiałem oddawać odsetki [aby nie płacić podatku spadkowego – red.] – mówił David – a potem weszło mi to w nawyk”. Jego filantropia budziła kontrowersje, nie tylko dlatego, że duża część politycznej działalności braci odbywała się pod przykrywką datków na rzecz setek „dobroczynnych” organizacji edukacyjnych (w rodzaju Zatraskanych Kobiet Ameryki czy Funduszu Amerykańskiej Przyszłości). Przypominano, że walczący z rakiem Koch zarabia na produkcji rakotwórczych substancji i degradacji środowiska.

Niewzruszony tym David zaangażował się też na rzecz reformy więziennictwa, ręka w rękę z ludźmi, których zwalczał – George'em Sorošem czy Vanem Jone-

Gdy „Kochśmiornica”
zapowiedziała, że nie wesprze
reelekcji Trumpa, władze
Partii Republikańskiej

**stanęły murem
za prezydentem.**

sem, dawnym doradcą Obamy do spraw zielonej energii. Złośliwi sugerowali, że kieruje się wiedzą, iż utrzymanie więzień coraz poważniej obciąża budżet USA.

Napięta relacja z Trumpem

W wyborczym roku 2016 machina Kochów zebrała 900 mln dolarów dla Republikanów, ale okazało się, że to, co bracia tworzyli, wymyka im się spod kontroli. Z ruchu skupionego na bliskich Kochom kwestiach – zmniejszaniu państwowych regulacji – Tea Party ewoluowała w twór nacjonalistyczny i rasistowski, zainteresowany walką z imigrantami i ochroną „białej Ameryki”.

Wprawdzie David do końca życia twierdził, że jest społecznym liberałem, popierającym prawo kobiet do aborcji czy prawa osób homoseksualnych, jednak – dopóki zgadzał mu się rachunek – nie wyrażał zastrzeżeń wobec ultrakonserwatywnej postawy wspieranych przez siebie ruchów. „Jest tam trochę ekstremistów, ale to najwspanialszy oddolny ruch, jaki powstał w tym kraju od roku 1776” – stwierdził w jednym z nielicznych wywiadów.

Ostatecznie w 2016 r. większość zebranych pieniędzy poszła nie na wyścig prezydencki, lecz wybory do Kongresu.

Charles Koch miał stwierdzić, że wybór między Hillary Clinton a Donaldem Trumpem to „wybór między zawałem serca a rakiem”.

Napięte stosunki między Kochami a nowym prezydentem udawało się początkowo łagodzić, m.in. dzięki Mike'owi Pence'owi, którego Trump wybrał na wiceprezydenta. Kochowie wspierają go od początku kariery, a Pence potrafił się odwdziżyć: to on, wówczas wpływowy kongresmen, pomógł zastopować ustawę o emisji CO₂. Ludzie Kochów dostali stanowiska w administracji: szefem EPA został Scott Pruitt (wróg regulacji wprowadzonych przez Obamę), sekretarzem edukacji Betsy DeVos (należąca do Sieci miliarderka, która zaczęła rozmontowywać edukację publiczną), szefem CIA i potem sekretarzem stanu Mike Pompeo (wcześniej reprezentował w Kongresie Wchitę i znany był jako „kongresmen z Koch”).

O ile obniżki podatków i konserwatywne nominacje sędziowskie ucieszyły braci, o tyle rozpętana przez Trumpa wojna celna z Chinami sprawiła, że obaj zaczęli się odcinać od administracji. W odpowiedzi prezydent nazwał Kochów „globalistami”, a ich machinę „zupełnym żartem”. Gdy „Kochśmiornica” zapowiedziała, że nie wesprze reelekcji Trumpa, władze Partii Republikańskiej – niedawno chętnie przyjmującej czeki braci – stanęły murem za prezydentem.

Trump sprawuje dziś niewzruszoną kontrolę nad Partią Republikańską, ale przecież kilka lat temu tak samo mówiono o Kochach. Cóż, nie od dziś wiadomo, że Republikanie mają słabość do bratobójczych walk i wewnętrznych rewolucji.

„Stańmy razem”

Kochowie po raz kolejny zmienili więc strategię – być może postanowili poczekać na Trumpa, a może po prostu braciom brakło już siły. Kilka miesięcy przed śmiercią David odszedł na emeryturę, a Charles też podobno szykuje się do przekazania firmy następnemu pokoleniu.

W maju tego roku Sieć oficjalnie zmieniła nazwę: będzie nazywać się teraz Stand Together (Stańmy Razem), „inwestorzy” zmieniają się w „partnerów”, a celem tej „filantropijnej wspólnoty” ma być „walka z nierównościami, poprawa jakości życia, zasypywanie podziałów i budowanie silnej gospodarki, która służy wszystkim”. © PIOTR TARCZYŃSKI

Ze smutkiem zawiadamiamy,
że 30 sierpnia 2019 r.
zmarł nasz kochany Mąż, Ojciec, Dziadek i Pradziadek

ś.†p.

Prof. dr hab. inż. Jerzy Kowalczyk

RODZINA I PRZYJACIELE



JAMES NESTERWITZ / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

W Gretna Green tematyka ślubna jest wszechobecna – miasto słynie z zawieranych tu romantycznych ślubów.

Pięć milionów szkockich głosów

PATRYCJA BUKALSKA Z GRETTNA GREEN I EDYNBURGA

Chaos i niepewność związane z brexitem wpływają także na sytuację w Szkocji. Nasilają się tu tendencje niepodległościowe.

TO PIERWSZE SZKOCKIE MIASTECZKO, do którego wjeżdżamy po opuszczeniu Anglii. Jednak gdyby nie szkockie, błękitno-białe flagi, granicę między tymi dwiema z czterech krain, które tworzą Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, łatwo można by przeoczyć.

Kiedyś było inaczej, a granica była bardzo ważna – zwłaszcza dla zakochanych. W Anglii od 1754 r., aby wziąć ślub, trzeba było mieć ukończone 21 lat lub zgodę rodziców. Szansę dla zdeterminowanych, którzy chcieli wstąpić w zwią-

zek małżeński na przekór światu (i rodzicom), oferowała Szkocja – ze znacznie bardziej liberalnym pod tym względem prawem. A konkretnie: pierwsza wioska po szkockiej stronie, czyli właśnie Gretna Green. Tu swoje kroki narzeczeni kierowali zwykle do miejscowego kowala, który mógł udzielać ślubów; potrzebni byli tylko dwaj świadkowie.

Prawo się zmieniło, czasy też, ale wioska nadal słynie z zawieranych tu romantycznych ślubów. Miejskowa kuźnia odwiedzana jest masowo przez turystów, a wokół niej wyrosły sklepy z whisky

i tartanem oraz hotel dla nowożeńców i potężny turystyczny biznes.

O tym, jak daleko trafia sława Gretna Green, mogą świadczyć napisy informacyjne nawet po chińsku („Proszę płacić w kasie”), wywieszone w sklepie przy kuźni. Na parking podjeżdżają kolejne autobusy. Turyści słuchają gry dudziarza w kilcie. Niektórzy próbują się odnaleźć w specjalnym labiryncie zakochanych.

Pogoda jest piękna, nic nie zakłóca sielanki późnego lata. I nikt pewnie nie zaprzęta sobie głowy myślą, że granica angielsko-szkocka mogłaby powrócić.

W szkockiej stolicy, Edynburgu, jest podobnie: tłumy turystów walczące o dobre ujęcie do selfie, najlepiej z zamkiem i dudziarzem w tle. Na liście miejsc do odwiedzenia jest też Muzeum Narodowe Szkocji. W imponującym wiktoriańskim budynku i jego nowoczesnej części prezentowane są wystawy czasowe. Jak wystawa „Dzika i Majestatyczna”, mierząca się z romantycznym mitem Szkocji, który zakorzenił się w świecie. Jest też stała wystawa o historii Szkocji od czasów najdawniejszych.



→ Na ostatnim piętrze wkraczamy do galerii „Szkocja: zmieniający się naród”. Pokazuje ona przemiany społeczne w XX w. Jest też wideo „Jeden naród, pięć milionów głosów”. Kilkadziesiąt osób różnego pochodzenia i rasy, mieszkających w Szkocji, mówi o tym, co to znaczy być Szkotem. Niektórzy po angielsku, niektórzy w języku gaelickim.

Jacy są więc, według nich, Szkoci? Tolerancyjni, o wielkim sercu, gościnni, przyjaźni i dynamiczni. A także uparci i bezpośredni – powiedzą ci prawdę, czy się to komuś podoba czy też nie. Taka szczerść na granicy okrucieństwa. Dalej: dla jednych Szkoci to urodzeni pesymiści, dla innych – najszczęśliwsi ludzie na świecie.

Odpowiedzi są różne, tak jak ludzie i ich doświadczenia. Podobnie jak przy pytaniach o tożsamość – większość powie: szkocka. Ktoś inny: europejska. Jeszcze ktoś inny powie: „Jestem Gaelem”. Jedna z kobiet zadeklaruje się jako Etiopka i Szkotka równocześnie.

Szkoci najwyraźniej są różni, a Szkocja (mająca obecnie status autonomii, z własnym lokalnym parlamentem i rządem) stale się zmienia. Brexit tylko przyspiesza te zmiany w kraju, gdzie w referendum w 2016 r. niemal dwie trzecie głosujących opowiedziało się za pozostaniem w Unii Europejskiej. Brexit wymusza namysł nad sobą, a także deklaracje – o tożsamości i poglądach. W ten sposób, za sprawą dynamiki zdarzeń i decyzji, podejmowanych również w tych dniach setki kilometrów stąd, definiuje się na nowo kraj i jego obywatele.

A dokąd to zaprowadzi? Zobaczmy już wkrótce. Z sondaży wynika, że rośnie liczba zwolenników niepodległości, czyli zerwania więzi ze Zjednoczonym Królestwem. Choć to, na razie, tylko sondaże.

© PATRYCJA BUKALSKA



PATRYCJA BUKALSKA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 11 września o godz. 15.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Mały kraj na małej wyspie

IAIN MACWHIRTER, SZKOCKI KOMENTATOR I AUTOR KSIĄŻKI „DISUNITED KINGDOM” (PODZIELONE KRÓLESTWO):

Rozwiązaniem dla Szkocji i dla przyszłości Wielkiej Brytanii mógłby być federalizm. Problem w tym, że Anglia nie jest zainteresowana federacją.

PATRYCJA BUKALSKA: Gdy rozmawialiśmy dwa i pół roku temu, obawiał się Pan, że po brexicie sytuacja Szkocji może się pogorszyć. Jak dotąd brexit nie nastąpił, ale chaos się pogłębia. Co ze Szkocją?

IAIN MACWHIRTER: Pewnie mówiłem wtedy, że brexit może doprowadzić do centralizacji władzy w Westminsterze? Tak się stało, poprzez ustawę o opuszczeniu Unii. Takie obszary jak rolnictwo czy rybołówstwo należą do kompetencji władz szkockich, które egzekwują przepisy unijne. Szkocki parlament uważał więc, że po wyjściu z Unii te uprawnienia powinny znaleźć się w jego rękach, a nie w gestii Londynu. Według szkockiego rządu było też jasne, że zgodnie ze Scotland Act (Ustawą Szkocką) z 2016 r. Westminster nie będzie przyjmował legislacji w imieniu Szkocji bez wyrażonej zgody szkockich władz. Tymczasem w 2018 r. brytyjski Sąd Najwyższy orzekł, że Szkocja nie ma takich niezbywalnych uprawnień i mogą być jej one odebrane. No i w przypadku brexitu tak się stało. Centralizacja nastąpiła i to w dramatyczny sposób – nawet jeśli Westminster zapewnia, że to chwilowe.

Gordon Brown, były brytyjski premier i zarazem Szkot, podkreślał ostatnio, że lepiej oprzeć się na współpracy i wzajemnym zrozumieniu, niż forsować szkocką niepodległość. Czy to możliwe?

W 2016 r. w referendum Szkoci zagłosowali zdecydowaną większością za pozostaniem w Unii. Mamy też inne niż Londyn stanowisko w sprawie imigracji, szkocki rynek pracy potrzebuje imigrantów. Szkocki rząd opublikował więc dwie „białe księgi” z argumentami za utrzyma-

niem przez Szkocję dostępu do unijnego wspólnego rynku po brexicie. Ta propozycja została odrzucona przez premier Theresę May, a potem przez Borisa Johnsona. Wykluczono też zgodę na kolejne szkockie referendum w sprawie niepodległości. Szkoci skłaniają się więc teraz ku pogładowi, że to jest relacja dość jednostronna.

A jak brexit wpływa na nastroje?

Wyprowadzenie Szkocji z Unii wbrew jej woli jest dla wielu szczególnie bulwersujące. Przecież jednym z głównych argumentów unionistów z ich kampanii „Lepiej razem” – przed szkockim referendum niepodległościowym w 2014 r. – było zapewnienie, że Szkocja pozostanie w Unii tylko jako część Wielkiej Brytanii, gdyż niepodległa Szkocja miałaby problem z ponownym wejściem do Wspólnoty. Tymczasem teraz Szkocja ma stracić unijne członkostwo właśnie dlatego, że jest częścią Wielkiej Brytanii!

Ostatnio opublikowano kilka sondaży, które wskazują, że rośnie odsetek zwolenników niepodległości. W jednym mieli przekroczyć granicę 50 proc.

Niepodległość jest postulatem Szkockiej Partii Narodowej (SNP), która dominiuje na naszej scenie politycznej i zasiada też w parlamencie w Westminsterze. Jej szefowa Nicola Sturgeon obiecuje referendum, ale zawsze jest ono odsunięte w przyszłość. Czy zatem do niego dojdzie? Nie sposób o tym mówić teraz również dlatego, że zmierzamy do chaotycznego brexitu. W takiej chwili nawet trudno myśleć o szkockiej niepodległości, o tym, jak i kiedy miałyby to nastąpić. Warto natomiast przyglądać się temu, co dzieje się z Irlandią Północną.



LESLEY MARTIN / PA / EAST NEWS

Jedna z wielu manifestacji ruchu Wszyscy pod Jednym Sztandarem. Glasgow, maj 2019 r.

W przeszłości były sugestie, że rozwiązania umożliwiające uniknięcie „twardej” granicy między Irlandią Północną a Republiką Irlandii można by zastosować także w Szkocji i wtedy mogłaby ona pozostać w europejskiej unii celnej.

Dokładnie. Choć na razie nie wiadomo, jak uniknąć wprowadzenia kontroli granicznych w Irlandii oraz jakie miałyby być owe rozwiązania.

Być może ich nie ma.

Myślę, że Boris Johnson wolałby tę kwestię przesunąć do negocjacji pobrexitowych, na temat przyszłych stosunków z Unią. Może Wielka Brytania będzie musiała pozostawić w Irlandii Północnej regulacje unijne, w pewien sposób się wycofać z Irlandii – choć unioniści nigdy się na to nie zgodzą. Może Unia zdecyduje się na prowadzenie kontroli granicznych w irlandzkich portach. Może Wielka Brytania zrobi wtedy to samo. Ale nie ma na to odpowiedzi. Jest i pewnie będzie chaos. Dla Szkocji to ważna lekcja, bo przecież zwolennicy niepodległości twierdzą, że granicy z Anglią nie musi być, a przeciwnicy boją się, że będzie.

Szkocka suwerenność to także emocje i ludzie. Od pewnego już czasu ruch All Under One Banner (Wszyscy pod Jednym Sztandarem) organizuje marsze na rzecz niepodległości.

Jest znaczące, że Nicola Sturgeon nigdy nie pojawiła się na żadnym z nich. A były określone jako największe proniepodległościowe zgromadzenia w historii.

Dlaczego? Przecież SNP dąży do niepodległości?

Myślę, choć to tylko moja osobista opinia, że Sturgeon ma lekką obawę, czy nacjonaliści z flagami to jednak nie jest trochę za dużo, za blisko radykalnego nacjonalizmu. Z drugiej strony mogą sobie wyobrazić, że gdyby szefem partii nadal był Alex Salmond, to na pewno by się na takim marszu pojawił i budował na nim polityczny kapitał.

Te marsze są bardzo otwarte, biorą w nich udział ludzie o różnym pochodzeniu etnicznym.

To nie takie proste, choć z pewnością niektóre środowiska niepodległościowe są otwarte na różnorodność, sprzeciwiają

się rasizmowi, są proeuropejskie. To część „projektu niepodległość”, pokazująca przy okazji, że Szkocja jest inna od Anglii: europejska, otwarta na imigrantów, niepragnąca granic.

Nie wszyscy zwolennicy niepodległości są jednak przeciwnikami brexitu. Jest grupa takich, którzy chcieliby opuścić i Zjednoczone Królestwo, i Unię Europejską.

Za brexitem głosowano głównie na północnym wschodzie naszego kraju. Jest też trochę polityków o takich poglądach. Według nich to logiczne: jeśli Szkocja miałaby odzyskać swą suwerenność od Londynu, to czemu miałaby ją tracić na rzecz Brukseli? Myślę, że oni powinni porozmawiać np. z Litwinami, którzy wstąpili do Unii właśnie po to, by chronić swą niepodległość. Albo ze Słoweniami, dla których Unia to gwarancja własnego państwa. Przecież Unia to nie imperium! Choć zwolennicy brexitu, również w Szkocji, jakoś w to nie wierzą.

Muszę natomiast przyznać, że w tych małych europejskich państwach ludzie, z którymi rozmawiałem, zastanawiali się, dlaczego Szkocji w ogóle potrzebują →

→ formalnej niepodległości. Z kulturowego punktu widzenia Szkocja jest wolna. Jej kultury nikt nie stara się zniszczyć, Szkoci nie są prześladowani, nie ma problemu z językiem. A zatem, czy Szkocja musi ogłaszać niepodległość?

Dobre pytanie. Musi?

Moja odpowiedź jest taka: Szkocja nigdy nie będzie niepodległa w ścisłym sensie tego słowa, bo to kraj na małej wyspie. Może mieć natomiast inny niż teraz, bardziej federalny związek z resztą Wielkiej Brytanii, autonomię ekonomiczną. Trochę tak jak Quebec w Kanadzie. I do tego nie trzeba referendum. Natomiast za sprawą brexitu staje się to bardzo trudne. Również dlatego, że sytuacja gospodarcza Szkocji wymaga specyficznie szkockich rozwiązań: potrzebujemy imigrantów, a w brexicie w dużym stopniu chodzi o wyhamowanie imigracji.

W Szkocji stosunek do imigrantów wydaje się dość pozytywny. Z czego to wynika?

Proszę pojechać do któregoś z miast angielskich i potem do Szkocji. Pierwsza różnica jest taka, że w Szkocji prawie nie ma ludzi o ciemniejszym kolorze skóry. Jest tu 35 tys. osób z Karaibów, jest znacząca imigracja z Azji, ale i tak Szkocja to w 96 proc. biali. Natomiast Anglia – w 84 proc. To wielka różnica. Szkocja nie jest tak multikulturowa, wielonarodowa, wielorasowa.

Z czego to wynika? Nie z planowej polityki. Raczej z tego, że po II wojnie światowej szkocka gospodarka była w zastoju przez 30 lat, nie powstawały miejsca pracy, które ściągałyby imigrantów. To raczej Szkoci opuszczali swój kraj w poszukiwaniu pracy. Dopiero w ostatnich dekadach populacja Szkocji rośnie, a nasza gospodarka potrzebuje imigrantów.

W 2018 r. w Szkocji żyło 87 tys. Polaków, a Irlandczyków 20 tys. Spośród imigrantów spoza Unii Pakistańczyków było tylko 15 tys. Wczoraj, spacerując po plaży w małym rybackim miasteczku, słyszałam polski. W dzisiejszej gazecie jest artykuł o skarbie, zbiorze monet z XIV w. Kto go znalazł? Dwaj bracia pochodzący z Pucka, a dziś mieszkający w Szkocji. Polaków można spotkać wszędzie, nawet na wyspach Skye i Orkadach.

Gdy w 2004 r. nastąpiło rozszerzenie Unii Europejskiej, brytyjski rząd zdecydował się nie ograniczać napływu imigrantów. Przyjechało chyba więcej ludzi, niż się spodziewano. Muszę jednak powiedzieć, że w Szkocji nie spotkałem się z wieloma przypadkami niechęci wobec przybyszów z Europy Środkowo-Wschodniej, szczególnie wobec Polaków. Polacy osiedlali się tu już po II wojnie światowej. Jednym z moich najlepszych kolegów w szkole był Polak, Wiktor. Jego ojciec był dentystą. Pamiętam jego babcię. Dobrze to zapamiętałem: „babcia”? (*mówi to słowo po polsku*). To ciekawe, ale wcześniej chyba nie myślałem o nim, że był w jakikolwiek sposób „inny”, że miał inne pochodzenie. Był po prostu dobrym kolegą. O to chyba chodzi, że na takim osobistym poziomie nie zauważamy imigracji, nie jest ona politycznym problemem, dopóki ktoś się o to nie postara.

Wracając do polityki: Gordon Brown mówi, że Szkocja jest w pułapce między przeciwstawnymi ideologiami – antyeuropejskiego konserwyzmu i twardego separatyzmu SNP. I że nie ma już miejsca na dyskusję.

Brown jest ważną postacią dla Szkocji. Rozumiem, o czym mówi. Jednak jest różnica między północnym szkockim nacjonalizmem a południowym angielskim brexitowym nacjonalizmem. W brexicie chodzi o kontrolę imigracji, on jest antyeuropejski. Szkoci na odwrót: potrzebują imigracji i chcą Europy. Są też różnice polityczne: na szkockiej scenie politycznej nie ma partii skrajnie prawicowej. Nawet Partia Konserwatywna jest tu inna [do niedawna na jej czele stała Ruth Davidson, żyjąca w związku ze swą partnerką; zrezygnowała ze stanowiska w sierpniu, by zająć się swoim rocznym dzieckiem – red.]. Boris Johnson nie może tu liczyć na wiele głosów. A jak pogodzić Północ i Południe? Rozwiązaniem mógłby być federalizm, z federalną konstytucją. Problem w tym, że Anglia nie jest zainteresowana federacją. To się zatem nie zdarzy.

Nie ma szans na trzecią drogę?

Być może chaos spowodowany przez brexit i związane z tym konsekwencje dla Irlandii Północnej doprowadzą do refleksji. Jeśli rządowe prognozy związane z brexitem bez porozumienia sprawdzą się nawet w połowie, to i tak musi to wywołać reakcje. Referendum? Wcześniej-

sze wybory? A może tak jak w Czechosłowacji na początku lat 90. XX w. politycy dojdą do wniosku, że w ten sposób dłużej się nie da, że lepiej się rozstać i to bez referendum? Nie sposób tego przewidzieć.

Z sondaży wynika, że zwolennicy brexitu są gotowi zapłacić za niego nawet utratą Irlandii Północnej czy Szkocji. Jedność Królestwa już nie jest na pierwszym miejscu.

Gordon Brown nadal widzi Wielką Brytanię jako wielki socjodemokratyczny projekt, z państwową służbą zdrowia itd. Jednak ani Anglicy, ani Szkoci już tak tego nie widzą. Czym jest więc nasza unia? Jaki jest jej cel? Co nas ze sobą wiąże? Wspólnych wyzwań nie brakuje – jak ochrona środowiska – ale potrzebne są instytucje pracujące ponad podziałami.

Zaczynająca się jesień będzie pełna istotnych decyzji. Po tym, jak premier Johnson zawiesił prace parlamentu, Nicola Sturgeon stwierdziła, że to jest dzień, gdy szkocka niepodległość staje się nieunikniona.

Nie sądzę, aby w Szkocji to był aż tak istotny czynnik. Ważniejsze jest wycofanie się z polityki Ruth Davidson, bo razem z nią unioniści tracą tu ważny głos, a szkoccy konserwatyści nadzieję na wzmocnienie ich pozycji.

W przyszłości, jeśli po wyborach do władzy doszłaby Partia Pracy, która nie wyklucza zgody na szkockie referendum, moglibyśmy mieć rząd koalicyjny [Partia Pracy i szkocka SNP – red.]. Labourzyści pewnie zaznaczą, że referendum można ogłosić, jeśli będą ku niemu przesłanki, np. partie niepodległościowe wygrają szkockie wybory parlamentarne w 2021 r. W każdym razie – nic nie jest nieuniknione i nic nie jest pewne.

©© Rozmawiała w Edynburgu
PATRYCJA BUKALSKA

BS40 / GUILLEM LOPEZ / EAST NEWS



IAIN MACWHIRTER jest uważany za jednego z najbardziej wpływowych szkockich komentatorów

politycznych. Autor książek o szkockich aspiracjach niepodległościowych, m.in. „Disunited Kingdom: How Westminster Won A Referendum But Lost Scotland”. W latach 2009-12 był rektorem Uniwersytetu w Edynburgu.

WOJCIECH

Bonowicz:

Refleksje cywilne



HISTORIA MNIE ZMĘCZYŁA. NO, NIE CAŁA. Ale ta jej część wojskowa, umundurowana, historia bitew i dowódców, formacji i rozkazów. Jeszcze dziesięć lat temu może przeczytałbym ten i ów artykuł na podobny temat. Dziś, gdy namnożyło się

stosownych publikacji, rekonstrukcji i gier – nie mogę.

Nie potrafiłbym wziąć udziału w żadnej rekonstrukcji, oglądać, jak dwie grupy dużych chłopców walą do siebie z daleka ślepakami, jak inni chłopcy wyprowadzają przed dom i rozstrzelują ludzi, jak po robocie z dumą prezentują widowni broń i mundury albo komentują na boku, co trzeba by poprawić, żeby w przyszłym roku lepiej to wyglądało... Nie, dziękuję, nie zniósłbym tego. Może to są lekcje historii, ale jakiej? Historia siły mnie nie interesuje. Nie ma w niej żadnej mądrości. To opowieść o fascynacji władzą – która, koniec końców, jest zawsze władzą nad życiem innych – i możliwościach urzeczywistnienia tych fascynacji. Z oglądania czołgu od wewnątrz nikt się niczego o pokoju nie nauczy. Z oglądania niemieckich oddziałów pacyfikujących wieś też nie.

Ale przecież nie zmęczyłem się wczoraj. Kiedy więc? Wychowywałem się w domu patriotycznym. Choć raczej w kulcie twórczości niż wojska. Ofiarę z życia się szanowało, paliło lampki na grobach żołnierzy, ale w smutku, z myślą, że ich życie mogło potoczyć się inaczej. Pamiętam nagrobek Tetmajerów na Pasterniku, leżał w nim ułan poległy w wojnie z bolszewikami. Z boku wyryto wiersz: „Jak nie mamy żyć

wesoło, / Gdy nie wiemy, gdzie nasz grób? / Lada kulka świsnie w czoło / i na ziemię padnie trup”. To był realistyczny opis wojny, który do mnie – małego przecież – przemawiał. Niemniej byli też „Czterej pancerni”, plastikowe żołnierzyki, w które strzelało się podebranymi mamie koralikami. Budowaliśmy potężne pałace z klocków, żeby potem je rozwalić. Była w tym jakaś dziwna przyjemność, nie ma co mówić.

Kiedy pojawiła się niechęć do munduru? Na studiach, kiedy kręciłem trochę z dziewczyną pewnego żołnierza? Nie, to musiało być wcześniej. Kluczowy był tu stan wojenny i rewolta punkowa, która wtedy doszła do głosu. Zespół Kryzys śpiewał: „To czasy zbrodniarzy, / głupców i handlarzy...”, a zespół Kobranocka: „Jeśli zobaczę cię z tym żołnierzem, / naszej miłości nic nie ocali”. Podobali mi się anarchiści palący książeczki wojskowe. Człowiek w mundurze symbolizował władzę, która chce kontrolować, nawet za cenę zbrodni. Chyba wtedy coś się przełamało. Choć dawny szacunek nigdy nie zniknął. Tyle że wiedziało się już więcej o tym, jak można człowiekiem manipulować. Po lekturze „Dobrego wojaka Szwejka” i „Soli ziemi” Wittlina za karabin chwyciłby tylko wariat.

Żeby była jasność: nie pcham nikogo w stronę utopii. Anarchizm byłby dobry tylko wówczas, gdyby wszyscy – faktycznie wszyscy – pozbyli się pragnienia zapanowania nad innymi. Ale takich pragnień ludzkość nigdy się nie pozbędzie. Istnieje uzasadnione podejrzenie, że są jej one potrzebne, żeby mogła się rozwijać. Do końca świata państwa będą więc potrzebowały mundurów. Do końca świata potrzebni będą ludzie, których widok munduru fascynuje i przyciąga.

Boli mnie, że umundurowana wersja historii jest dziś uprzywilejowana. Że nawet małym dzieciom o wojnie opowiada się tak, jakby to była bajka, w której występują tylko królowie i rycerze. A historia to w znacznej mierze dzieło ludzi bez władzy i bez mundurów. To opowieść raczej o domach niż o czołgach. O wybaczeniu raczej niż o gniewie. Bez wybaczenia ludzkość – a w niej i Polska – nie miałaby żadnej historii. Nie byłoby jej komu opowiedzieć. ©

STANISŁAW

SOYKA

M U Z Y K A I S Ł O W A

08.10.2019	RZESZÓW
27.10.2019	BYDGOSZCZ
04.11.2019	GORZÓW WLKP.
05.11.2019	SZCZECIN
06.11.2019	GDAŃSK
16.11.2019	LUBLIN
16.12.2019	KRAKÓW
17.12.2019	ŁÓDŹ
06.01.2020	WARSZAWA
07.01.2020	KATOWICE
30.01.2020	WROCŁAW

GOOD TASTE



HISTORIA

Słynny most na Renie, o który walczyli brytyjczy i polscy spadochroniarze, i ruiny holenderskiego Arnhem. Po bitwie Niemcy potraktowali to miasto okrutnie: Arnhem zostało obrabowane i zniszczone, a jego ludność wysiedlona. Zdjęcie wykonano pod koniec września 1944 r.

SOSABOWSKI MIAŁ RACJĘ

ANTONY BEEVOR, HISTORYK:

Krytyka za klęskę operacji „Market Garden” skupiła się na polskim generale. Alianci potraktowali go w oburzający sposób.

PATRYCJA BUKALSKA: Pana książka „Arnhem” przynębia. Alianci przegrali tak ważną bitwę w dużym stopniu za sprawą ambicji i animozji swych dowódców...

ANTONY BEEVOR: ...i próżności, nie zapominajmy o próżności. Przegrano ją też z powodu błędów popełnionych już w fazie przygotowań. Oraz panującej pod koniec sierpnia i na początku września

1944 r. euforii, że zwycięstwo jest bliskie. Sądono, że Niemcy zaraz upadną, jak jesienią 1918 r. Oraz że lipcowy zamach na Hitlera oznacza, iż armia niemiecka musi być w stanie rozkładu, skoro próbuje zabić swego głównodowodzącego. Tymczasem nieudany zamach sprawił, że Hitler i SS byli zdeterminowani walczyć do końca. Sprawę pogorszyło to, że Montgomery miał wtedy „widzenie tunelowe” i nie

chciał słyszeć o problemach, o których raportowali oficerowie holenderscy i oczywiście gen. Stanisław Sosabowski, dowódca polskiej brygady spadochronowej.

„Monty” miał opinię dowódcy aż nazbyt ostrożnego. Tymczasem tutaj nagle dąży do brawurowej akcji, obciążonej wielkim ryzykiem. Chodziło o jego ambicję?

Chciał przekroczyć Ren przed Amerykanami. Obawiam się, że istotnie była to próżność i ambicja. Miał też obsesję, że trasa przez Holandię to najbardziej oczywista droga do Niemiec. Cóż, tak nie było. Generał Patton zwracał uwagę, że „Monty” wybiera trasy, gdzie rzeki są najszersze. Do tego dochodziły kanały przeci-nające Holandię.

Trudny teren, zwłaszcza dla czołgów.

Eisenhower [amerykański generał, potem prezydent USA – red.] powinien przypomnieć Montgomery’emu, gdzie jest jego miejsce. Ale po zmianach w systemie dowodzenia, kiedy to Eisenhower został głównodowodzącym sił alianckich w Europie, brytyjska prasa odegrała niefortunną rolę, pobudzając ego Montgomery’ego, który poczuł się zdegradowany.

Został jednak wtedy marszałkiem, to powinno zaspokoić jego ego. Ambicje ambicjami, ale tu popełniono podstawowe błędy. Pisz Pan o czymś, co w innej sytuacji byłoby może komiczne: trasy obrane przez aliantów były dokładnie tymi, za których wybranie podczas egzaminu oblewano kadetów holenderskiej szkoły oficerskiej.

W swoim ślepym uporze Montgomery chciał przeforsować własny plan i zmusić innych do jego wykonania. Przyznam, że napisałem tę książkę, bo byłem wściekły... No, może poirytowany, a to przez wcześniejsze książki opowiadające o Arnheim, w których budowano mit heroicznej brytyjskiej porażki z tezą, że ta operacja mogła się powieść. Tymczasem aby była szansa powodzenia, pod Arnheim dosłownie wszystko musiałoby zadziałać bez problemu.

Tymczasem zasada sztabowców brzmi: planować tak, jakby wszystko mogło pójść źle.

Napoleon mówił, że jeśli masz 70 proc. prawdopodobieństwa sukcesu, to możesz ryzykować. Inaczej to nie ma sensu.

Montgomery i gen. Browning, dowódca brytyjskich wojsk spadochronowych, są w Pana książce czarnymi charakterami. Czy trudno było to napisać w Wielkiej Brytanii? „Monty” to bohater, dzieci nazywano jego imieniem.

Przecież napisałem prawdę.

Prawda o narodowych bohaterach bywa niełatwa.

Montgomery już nie jest tak podziwiany jak kiedyś, jego postrzeganie się zmieniło. W tamtym czasie Brytyjczycy rozpaczyliwie potrzebowali bohatera i brytyjska prasa im go dała po wygranej bitwie pod El Alamein [jesienią 1942 r. siły brytyjskie dowodzone przez Montgomery’ego zatrzymały tam niemiecko-włoską ofensywę; był to punkt zwrotny w kampanii w Afryce Północnej – red.]. Choć ta bitwa to jeszcze osobna historia, też nie taka oczywista.

Pisz Pan nie tylko o ogólnych wojskowych aspektach, ale też o jednostkach i ich motywacjach, stara się zrozumieć ich zachowanie.

W tej książce nawet bardziej niż w poprzednich. Głównie dlatego, że miałem znakomite materiały. Okazuje się, że pod koniec wojny ludzie pisali dużo pamiętników, robili notatki. Może mieli poczucie, że to historyczny moment i trzeba go opisać. Zbierając źródła, szukałem nie tylko głęboko, ale i szeroko: we wszystkich krajach, których to dotyczy. Miałem więc źródła brytyjskie, amerykańskiej, niemieckie, holenderskie, polskie... Kto wie, czy pod względem źródeł nie jest to moja najbogatsza książka. Znalazłem wspomnienia, jak to jest być w środku bitwy, jak to jest być postrzelonym, jak przeżywa się załamanie nerwowe. To pozwala opisać wpływ wojny na człowieka.

Kiedyś mówił Pan, że z perspektywy żołnierza wojna to chaos i strach, a dowódcy, opowiadając o niej, starają się wprowadzić porządek. Traktują ludzi jak pionki?

Bycie dowódcą oznacza konieczność decydowania o ludzkim życiu. Do pewnego stopnia dowódcy muszą być zdystansowani. Inaczej emocjonalny ciężar byłby nie do wytrzymania, uniemożliwiałby podejmowanie decyzji. Choć kilku generałom udało się zachować pewną emocjonalność: np. jeden z wybitniejszych generałów II wojny światowej, William Slim, który dowodził siłami brytyjskimi w Birnie, gdzie wrogiem byli Japończycy, był blisko swoich żołnierzy i zarazem umiał podejmować decyzje. Ale to rzadkość.

Dziś wiemy więcej niż 75 lat temu o zespole stresu pourazowego.

Pan opisuje przypadki samobójstw jeszcze na polu bitwy.

Czasem żołnierze byli tak wyczerpani, że śmierć zdawała się pożądaną alternatywą. Nam może trudno to zrozumieć, bo nigdy nie doświadczyliśmy takiego poziomu zmęczenia.

Żołnierze alianccy dostawali narkotyki, aby mogli dłużej walczyć: benzedrynę, czyli preparat amfetaminy.

Nie tylko alianccy. Także niemieccy dostawali narkotyki: pervitin, dziś zwany *crystal meth*, silniejszy od benzedryny. Np. w kampanii francuskiej 1940 r. dostawały go załogi czołgów, by mogły utrzymać szybkie tempo natarcia. Oczywiście po tygodniu na pervitinie żołnierz musiał się zregenerować. Ale w początkowej fazie jego wydolność i wytrzymałość były większe. Poniekąd nic nowego, kiedyś przed bitwą wydawano porcję rumu.

Pokazuje Pan też inne zjawisko psychologiczne: żołnierze opisywali je jako moment, gdy przestawali odczuwać nawet cień strachu – fazę bitewnego szaleństwa.

Byłem zafascynowany amerykańskimi świadectwami o forsowaniu rzeki Waal, za dnia i pod niemieckim ogniem, by zdobyć nienaruszony most w Nijmegen: potworny strach, który przeradza się w brawurową odwagę i zarazem żądzę mordu. Amerykanie nie brali wtedy jeńców. Trzeba też pamiętać o szkoleniu, jakie przechodzili amerykańscy spadochroniarze: wyzwalano w nich nieprawdopodobną agresję, w pewien sposób odczłowieczano...

...jak wtedy, gdy Amerykanie ozdobili swój jeep głową Niemca. Ale pod Arnheim są też przykłady bratania się żołnierzy alianckich i niemieckich. Pomagali sobie przy rannych, dzielili się jedzeniem. Skąd te ludzkie odruchy w końcowej fazie wojny?

Nigdy nie należy generalizować, zawsze będą wyjątki od reguły: to dla mnie lekcja z II wojny. Gdy w Normandii rannych amerykańskich spadochroniarzy transportowano na drugą stronę Kanału, chcieli zabić niemieckich jeńców obecnych na tym samym statku. Ale były i inne reakcje, empatii, zwłaszcza gdy obie strony były ranne. To ludzka natura, dzięki Bogu. Na wojnie to nie ideologia →

→ okazuje się najważniejsza, lecz ludzie, i trzeba wystrzegać się uogólnień. Nie wszyscy niemieccy żołnierze byli zbrodniarzami, nie wszyscy rosyjscy gwałciicielami. Muszę jednak przyznać, że rozbawiło mnie w jednej relacji przerażenie rannych Niemców, gdy dowiedzieli się, że w tym samym szpitalu są ranni Polacy.

Polacy mieli opinię bezlitosnych, ich jedynym celem miało być zabijanie Niemców. W „Arnhem” widzimy sporo różnic między nacjami w zachowaniu i motywacjach.

Zacząłem się nawet zastanawiać, czy istnieje coś takiego jak charakter narodowy. Oczywiście z definicji nie może istnieć! Ale to, co istnieje, to narodowy wizerunek, kreowany przez dany naród. Np. Brytyjczycy uważali, że zawsze muszą żartować, że tego ich „brytyjskiego poczucia humoru” oczekuje się od nich w najtrudniejszych sytuacjach. Z kolei Amerykanie starali się prezentować jako wyluzowani, stale żując gumę czy popalający. Holendrzy zaś zauważyli, że Niemcy zawsze krzyczą.

Polacy pod Arnhem wydają się szalenie poważni i świadomi, że stawka jest wysoka. Trochę w tym może owego narodowego wizerunku. Ale pamiętajmy, jaki to moment dla Polski: w Warszawie trwa powstanie.

Rozumiem to dobrze. Zwłaszcza gdy chodzi o żołnierzy Brygady Spadochronowej,

stworzonej przecież po to, aby wzięła udział w powstaniu narodowym na terenie Polski [brygada miała zostać przerzuciona do kraju i wesprzeć działania AK – red.]. Fakt, że nie mogli przyjechać do Warszawy z pomocą, był dla nich potwornie frustrujący.

W Warszawie na nich czekano, słyszałam to od wielu powstańców-weteranów. Gdy we wrześniu 1944 r. Amerykanie przeprowadzili duży zrzut sprzętu, patrzący na setki spadochronów warszawiacy myśleli, że to ląduje polska brygada. Z kolei polscy żołnierze pod Arnhem wierzyli, że walczą dla Polski, bo wejdą do Niemiec „kuchennymi drzwiami”. Zamiast tego na Sosabowskim skupiła się krytyka za porażkę operacji „Market Garden”.

Został potraktowany w oburzający sposób.

Dlaczego?

Bo miał rację, co dla brytyjskich generałów było zawstydzające. Poza tym potrafił mówić bez ogródek, więc obawiali się, że krytykując ich nadal, zaszkodzi reputacji brytyjskiej armii. Sprawdziły się niemal wszystkie jego zastrzeżenia sprzed operacji, ale wtedy nikt go nie słuchał.

Chyba najbardziej zabolął go zarzut, że brak mu woli walki.

To wzięło się do pewnego stopnia z różnic w interpretacji. Sosabowski mówił Brytyjczykom: jak mam przeprowadzić moją brygadę przez szeroki Ren [aby wesprzeć brytyjskich żołnierzy walczących na drugim brzegu – red.], skoro nie ma odpowiednich łodzi? Trudno dziwić się jego brakowi entuzjazmu. Ale jego zastrzeżenia wobec planu przeprawy uznano za próbę ocalenia własnych ludzi.

Nie był też dyplomatyczny. Trudno go za to winić.

Upokarzające traktowanie Sosabowskiego i frustracja polskich żołnierzy były zapowiedzią tego, jak zachowano się wobec nich po wojnie.

Jednym z największych skandali było nieuwzględnienie Polaków w defiladzie zwycięstwa w Londynie w 1946 r., aby nie denerwować Sowietów. To było moralne tchórzostwo, które w tym czasie trudno już było usprawiedliwiać pragmatyczną polityką.

Wiele uwagi poświęca Pan holenderskim cywilom, którzy zapłacili wielką cenę za klęskę „Market Garden”. Chodzi o tzw. Zimę Głodu. Chyba niewiele o tym dotąd pisano?

Za mało i to też mnie złościło. Tymczasem cierpienie cywilów było skutkiem nieudanej operacji. Np. holenderscy kolejarze zastrajkowali, by pomóc aliantom, i stali się celem zemsty Niemców. Oni

Bitwa o Arnhem

BYŁA TO NAJWIĘKSZA operacja powietrznodesantowa podczas II wojny światowej – i jedna z najbardziej spektakularnych klęsk aliantów. Choć w dziejach tej wojny były bitwy, w Europie czy Azji, podczas których wojska alianckie ponosiły większe ofiary, klęska operacji „Market Garden” okazała się wyjątkowo bolesna. Także dlatego, że za jej przyczyną front zachodni stanął w miejscu na prawie pół roku. Gdyby operacja „Market Garden” się powiedziała, gdyby wojska alianckie już we wrześniu 1944 r. sforsowały Ren, gdyby weszły do III Rzeszy,

zajął Zagłębie Ruhry (przemysłowe serce Niemiec) i poszły dalej za ciosem – wtedy historia mogłaby potoczyć się inaczej. Może również historia Europy Środkowej: w końcu we wrześniu 1944 r. Armia Czerwona stała dopiero na linii Wisły, a Niemcy trzymali się mocno w Prusach Wschodnich, krajach bałtyckich, na Słowacji i Węgrzech.

Scenariusz, w którym niemiecki opór na froncie zachodnim załamuje się nie dopiero w marcu-kwietniu 1945 r., lecz pół roku wcześniej, otwierałby



MEDIADRUMLIMAGES / BROOKESBLADES / NA / EAST NEWS

różne możliwości militarne i polityczne. Wyobraźmy sobie taką sytuację, że oto do końca 1944 r. alianty docierają do Berlina, Pragi, Wiednia

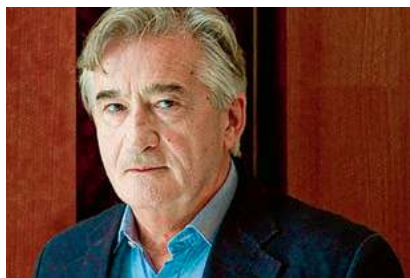
i Budapesztu, aby z Armią Czerwoną spotkać się jeśli nie nad Wisłą (bo Stalin zapewne nie patrzyłby bezzecznie na postępy aliantów, lecz nakazał

byli przekonani, że Holendrzy powinni stać po ich stronie. Choć w 1940 r. najechali neutralny kraj i traktowali Holendrów bardzo źle, to nadal oczekiwali ich poparcia. Fakt, że holenderscy cywile zdecydowanie stanęli po stronie aliantów, że starali się im pomóc, wywołał niemiecką furię. Stąd potem zemsta...

...i głód, który Niemcy wywołali, odcinając dostawy żywności do miast. Z głodu i chorób mogło umrzeć wtedy nawet 20 tys. Holendrów.

W archiwach znalazłem okropne relacje niemieckich żołnierzy, którzy chęli się, że nie musieli płacić w burdelu, bo zwykle kobiety szły z nimi za pół bochenka chleba. Na marginesie, to było dla mnie jedno z ważniejszych odkryć w brytyjskich archiwach: nagrania rozmów, jakie niemieccy oficerowie prowadzili w niewoli. Byli podsłuchiwani, a Brytyjczykom pomagali przy tym niemieccy Żydzi, znający język i jego dialekty. Niemcy nie wiedzieli, że są nagrywani. Żałuję, że nie wiedziałem o tym zbiorze przy pisaniu poprzednich książek. Brytyjskie władze nie zdecydowały się na wykorzystanie tych materiałów podczas procesu w Norimberdze. Może dlatego, że chciały wykorzystać ten system w przyszłości.

Wracając do Holendrów: historia tej bitwy nadal jest dla nich ważna, premiera Pana książki odbyła się w Arnheim.



MATERIAŁY PRASOWE

ANTONY BEEVOR (ur. 1946) jest brytyjskim historykiem i oficerem w stanie spoczynku. Autor kilkunastu książek poświęconych kluczowym momentom II wojny światowej. Polski przekład jego ostatniej książki „Arnheim” ukazał się w wydawnictwie Znak pod koniec 2018 r.

Burmistrz Arnheim chciał, by premiera książki miała miejsce u nich w katedrze. Wierzy on w sens tego, by młodzi ludzie poznawali swoją historię. Gdy jest rocznica bitwy, w Arnheim prawie we wszystkich oknach wiszą flagi z symbolem spadochroniarzy, dla weteranów budowano łuki triumfalne. Dzieci ze szkół odwiedzają groby poległych. Biorąc pod uwagę cierpienie cywilów po tej bitwie i fakt, że miasto było zupełnie zniszczone, jest to tym bardziej wzruszające. W tym roku uroczystości będą pewnie jeszcze większe, w końcu to 75. rocznica.

Skąd to przekonanie?

Zauważyłem, że zainteresowanie tymi wydarzeniami jest obecnie dużo większe

niż jeszcze 20 lat temu. Zresztą nie tylko, gdy idzie o Arnheim i Holandię. Dotyczy to całej II wojny światowej. Ona generowała więcej sytuacji zmuszających do moralnych wyborów niż jakakolwiek inna wojna. Tymczasem wkrótce może sami staniemy wobec nowych moralnych wyborów, np. w związku ze zmianami klimatu i skutkami, jakie wywołuje to dla świata, związanymi z tym falami migracji.

Może zainteresowanie przeszłością ma też źródło w tym, że dziś patrzymy na historię inaczej. Więcej wiemy np. o psychologicznych skutkach wojen. Pan jako autor tytułu książek o II wojnie, a kiedyś zawodowy żołnierz, myśli, że takie rany mogą się zagoić?

Powtórzę: nie można uogólniać. U niektórych najcięższe wspomnienia stopniowo bledną, inni nigdy przed nimi nie uciekną. Dwa dni temu dostałem list od kogoś, kogo teść był pod Arnheim, i to doświadczenie zrujnowało późniejsze życie całej rodziny. Wrócił z wojny jako inny człowiek. Zapewne cierpiał na zespół stresu pourazowego. Zresztą dotyczy on nie tylko uczestników wojny, ale też kolejne pokolenia, i to w niespodziewany sposób. Okazało się, że kobiety urodzone przez matki cierpiące niedożywienie podczas Zimy Głodu są bardziej zagrożone schizofrenią. Czy to nie przerażające?

© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

nową ofensywę wcześniej niż w styczniu 1945 r.), to gdzieś między Odrą i Wisłą... Fantazje? Niekoniecznie: po tym, jak w sierpniu 1944 r. armia niemiecka we Francji poszła w rozsypkę, a główną przeszkodą dla aliantów w ich marszu do Renu stał się brak paliwa, w sztabach pojawiła się nadzieja, że być może wojnę uda się zakończyć do Bożego Narodzenia 1944 r. To właśnie przekonanie, że Niemcy nie są już zdolni do stawiania poważnego oporu, legło u podstaw ryzykownej operacji „Market Garden”. Jej autor, brytyjski marszałek Bernard

Montgomery – rywalizujący z amerykańskimi generałami Bradleyem i Pattonem o to, kto pierwszy wkroczy do III Rzeszy i zada jej decydujący cios – miał nadzieję, iż atakiem poprzez Holandię obejdzie niemieckie umocnienia Linii Zygfryda, zajmie fabryki Zagłębia Ruhry i popędzi dalej, w głąb Niemiec. Jednak aby to się udało, najpierw trzeba było opanować Holandię – teren trudny, bo obfitujący w mosty na licznych rzekach i kanałach. Plan zakładał, że spadochroniarze – jedna dywizja brytyjska (na zdjęciu: Brytyjczycy przed skokiem pod Arnheim), dwie dywizje

amerykańskie i polska brygada gen. Stanisława Sosabowskiego – zdobędą mosty i utrzymają je do nadejścia sił lądowych. Operacja, o której opowiada książka Antony’ego Beevora „Arnheim” – a którą w pamięci globalnej uwiecznił monumentalny film z 1977 r. „O jeden most za daleko” – zaczęła się 17 września 1944 r., trwała 10 dni i zakończyła katastrofą dla Brytyjczyków i Polaków, którzy mieli zająć najbardziej odległy i kluczowy most w Arnheim, na bardzo szerokim tutaj Renie. Choć Amerykanie zdobyli większość „swoich” mostów, to bez tego najważniejszego,

w Arnheim, koncepcja ofensywy przez Holandię straciła rację bytu. W efekcie front zachodni stanął w miejscu, Niemcy odzyskali zdolność bojową (i w grudniu-styczniu podjęli nawet w Ardenach próbę kontr ofensywy). Dopiero w marcu 1945 r. alianci przeszli Ren – ale już nie w Holandii – i mogli rozwinąć ofensywę przez Nizinę Niemiecką. Jednak w tym momencie Armia Czerwona stała już pod Berlinem... A co z Arnheim? Zrujnowane i wyludnione miasto – po bitwie Niemcy „ukarali” je, niemal tak jak Warszawę – Brytyjczycy zajęli dopiero w kwietniu 1945 r. © WP

PRZESZCZEP Z MITOLOGII

Od kilkudziesięciu lat naukowcy coraz bardziej interesują się genetycznymi chimerami. Po to, by w przyszłości móc hodować ludzkie narządy w organizmach innych zwierząt.

BARTOSZ KABAŁA



MITOLOGIA GRECKA JEST PEŁNA ZJAWISK genetycznych. W „Teogonii” Hezjoda można znaleźć sporo przykładów partenogenezy (dzieworódstwa), czyli sytuacji, gdy samica wydaje na świat potomstwo bez udziału samca, a przez to identyczne genetycznie z nią samą. Choćby Gaja „już bez miłości, porodziła Morze / Puste, burzliwe; potem z Uranosem ona / Wydała Okeana; dalej Hyperjona”.

W liczbie przykładów nic jednak nie pobije chimeryzmu. W genetyce chimery to organizmy zbudowane z komórek o różnym zestawie genów (genotypie) – u typowych osobników wszystkie komórki posiadają identyczny materiał genetyczny.

Oczywiście wśród nich jest sama Chimera, której imieniem genetycy nazwali takie organizmy. Według „Iliady” Chimera „z przodu lwem była, od tyłu wężem, a koźą pośrodku”. Hezjod prócz tego opisuje trzy głowy – kozią, lwią i smoczą. Chimera to córka dwóch innych chimier. Jej ojciec, Tyfon, według Parandowskiego „od głowy do łędźwi miał ciało olbrzyma ludzkiej postaci, a zamiast nóg wiły się sploty węzów; całe ciało miał upierzone”. Zaś matka Echidna była w połowie kobietą, w połowie cętkowaną żmiją. To nie koniec mitologicznych chimier. Mamy jeszcze centaury, Minotaura, Pegaza, Satyrów, Trytona itd. Łączenie ze sobą różnych gatunków zwierząt oraz ludzi ze zwierzętami to dość popularny motyw także w innych mitologiach i wierzeniach.

Surogatka i czworo rodziców

Mitologię zdominował chimeryzm międzygatunkowy. W przyrodzie taki też jest możliwy, ale częstszy jest chimeryzm w obrębie tego samego gatunku. Może występować naturalnie albo być sztucznie wywoływany przez lekarzy i naukowców.

W 1967 r. w czasopiśmie „Science” pracę na temat chimier myszy opublikowała Beatrice Mintz. Badaczka pobrała dwa ośmiokomórkowe zarodki myszy czarnej i białej, a następnie w warunkach laboratoryjnych połączyła je *in vitro*. Taki podwójny embriion zaimplantowała w macicy myszy-surogatki. Okazało się, że ciężarna mysz rodzi zdrowego potomka, który posiada czterech rodziców genetycznych oraz jedną rodzoną matkę. Ponieważ kolor sierści zwierzęcia jest uwarunkowany genetycznie, mysz miała charakte-

rystyczne różnokolorowe łatki, co stanowiło widoczny gołym okiem dowód na genetyczną różnorodność komórek budujących jedno ciało. Opisana metoda stała się podstawowym sposobem uzyskiwania takich organizmów. Od czasu opublikowania swojego artykułu Mintz została „matką” 25 tys. mysich chimier.

Ten model powstawania chimier pozwala także zrozumieć, jak to się dzieje, że niektóre organizmy zupełnie naturalnie rodzą się posiadając komórki o różnym genotypie. Biologiczna historia osobników-chimier rozpoczyna się tak, jak historia bliźniaków dwujajowych. Czasami zdarza się, że w wyniku owulacji uwolnione zostaną dwie (i więcej, ale dla przejrzystości zostanmy przy dwóch) komórki jajowe, które następnie są zapłodnione przez dwa różne plemniki. Powstałe zygoty rozpoczynają niezależny rozwój i gdyby wszystko poszło zgodnie z fizjologią, dwa zarodki skutkowałyby narodzinami dwójki dzieci. Kiedy jednak na wczesnym etapie zarodki połączą się i rozwiną jako jeden płód, narodzi się chimera.

Skutkiem połączenia się zarodków na wczesnym etapie jest wymieszanie komórek o różnym pochodzeniu genetycznym. Choć komórki jajowe i plemniki pochodzą od tych samych rodziców, to jednak każda komórka i każdy plemnik posiadają różną informację genetyczną. Dlatego dwójka tych samych rodziców na przestrzeni lat płodzi potomstwo, które nie jest za każdym razem identyczne. Wymieszane w okresie zarodkowym komórki zaczynają tworzyć różne narządy, część narządów budują komórki z jednego zarodka, a część z drugiego.

Tego typu chimeryzm, czyli chimeryzm tetragametyczny (w powstaniu jednego organizmu biorą udział dwa plemniki i dwie komórki jajowe, czyli cztery gamety), jest znacznie rzadziej spotykany niż np. mikrochimeryzm, który może się pojawiać, gdy część komórek płodu poprzez łożysko dostanie się do krwiobiegu matki i zagnieździ w narządach (o czym pisał w marcu Mariusz Gogół, zob. „TP” 12/2019). Może jednak implikować znacznie poważniejsze skutki.

Z chimera u Temidy

Jako przykład może posłużyć opis przypadku opublikowany w maju 2002 r. w „New England Journal of Medicine”. U cierpiącej na niewydolność nerek 52-letniej pacjentki i jej rodziny wykonano te-

sty układu zgodności tkankowej, mające na celu znalezienie dawcy do przeszczepu. Testy przyniosły nieoczekiwaną informację. Wyglądało na to, że kobieta nie jest matką dwojga z jej trojga dzieci. Cała trójka posiadała jeden antygen ojcowski, ale tylko jeden z synów kobiety posiadał także antygen matczyny. Pozostali posiadali taki, który w układzie rodzice–dzieci w ogóle nie występował. Badania rozszerzono o braci chorej kobiety, z których jeden posiadał „brakujący” antygen. Brat pacjentki nie mógł być oczywiście matką jej dzieci. Rozwiązaniem medycznej zagadki był chimeryzm. Komórki krwi chorej i część komórek budujących organy pochodziły z innego zarodka, który na bardzo wczesnym etapie ciąży połączył się z „jej” zarodkiem.

Podobna historia przydarzyła się 26-letniej Lydii Fairchild, która starając się o alimenty musiała wykonać testy genetyczne. I w tym przypadku okazało się, że rodzona matka nie jest spokrewniona genetycznie ze swoimi dziećmi. W związku z urzędowym przeznaczeniem testów Fairchild została oskarżona o oszustwo i surogactwo, a nawet zagrożono jej utratą dzieci. Prawnik kobiety dowiedział się jednak o historii opisanej w 2002 r. w „NEJM”. Powtórzone i dokładniejsze testy dowiodły, że Lydia jest chimera. Komórki budujące jej narządy płciowe są genetycznie różne od komórek zbadanych wcześniej.

Te historie przekonują, że chimeryzm, choć spektakularny, nie powoduje wielu niedogodności i odkrywany jest często przypadkiem. Chimeryzm wrodzony objawia się najczęściej podwójną grupą krwi, podwójnymi narządami płciowymi (hermafrodytyzm, inaczej obojnactwo), a czasem uwidacznia się różną pigmentacją skóry. Tak jak u myszy Mintz oraz... piosenkarki Taylor Muhl, której tułów podzielony jest wyraźną granicą.

W Polsce głośnym przypadkiem chimeryzmu był Grzegorz G., którego Sąd Okręgowy w Gdańsku skazał w 2015 r. na dożywocie za zamordowanie Kamili B. W toku śledztwa na miejscu zbrodni znaleziono ślady krwi trzech osób – ofiary, oskarżonego oraz trzeciej, niezidentyfikowanej osoby. Okazało się, że dwie z trzech próbek DNA należą do oskarżonego, który jest genetyczną chimera. Chory na białaczkę Grzegorz G. w ramach terapii otrzymał przeszczep szpiku od dawcy niespokrewnionego. Aby wykonać przeszczep, →

→ wcześniej pacjent poddawany jest chemio- i/lub radioterapii w celu zlikwidowania jego chorego szpiku. Część własnych komórek może jednak pozostać i osoba taka ma we krwi dwa różne materiały genetyczne – własny i przeszczepiony. U pacjentów po transplantacji szpiku mamy do czynienia z chimeryzmem nabytym.

Hodowla narządów

Omówione do tej pory przypadki to chimery w obrębie jednego gatunku. Niezwykle interesująca perspektywa rysuje się, jeśli pomyślimy o chimerach międzygatunkowych. Idea połączenia organizmu ludzkiego i zwierzęcego, choć wydaje się przerażająca, staje się powoli coraz bardziej realna i ma swój głęboko uzasadniony sens. Naukowcom pracującym w tym obszarze przyświeca cel stworzenia hodowli ludzkich organów wewnątrz zwierzęcych ciał.

W samych USA w 2017 r. każdego dnia umierało 18 pacjentów oczekujących na przeszczep narządu. W tym momencie na przeszczep czeka ponad 110 tysięcy osób. Według danych na lipiec 2019 r. w Polsce na przeszczep oczekuje 2 tysiące osób. Natomiast od początku tego roku od zmarłych dawców przeszczepiono 832

Chimeryzm, choć bardzo spektakularny,
nie powoduje wielu
niedogodności i często
odkrywany jest przypadkiem.

narządy. Problem dostępności jest więc poważny. Jedną ze strategii zwiększenia liczby organów do transplantacji mogą być ludzko-zwierzęce chimery.

Koncepcja jest dość prosta w swoich założeniach. Idealną sytuacją byłoby hodowanie narządów ludzkich w organizmach dużych zwierząt, takich jak świnia, owca czy małpa. Zarodek zwierzęcia z usuniętym genem odpowiedzialnym za rozwój danego narządu łączyłoby się z ludzkimi indukowanymi komórkami macierzystymi (uzyskiwanymi od biorcy). Komórki te miałyby zająć niszę po organie, który w związku z usuniętym genem nie powstaje z komórek zwierzęcia. Ostatecznie rodziłoby się zwierzę z gotowym (gdy osobnik podrośnie) narządem do przeszczepu.

Teoretycznie taka metoda rozwiązuje wiele problemów, które zgłaszają dziś naukowcy. Obecne sposoby hodowli narządu z komórek macierzystych *in vitro*, w laboratorium, nie bardzo sprawdzają się w przypadku narządów o skomplikowanej strukturze trójwymiarowej. Jednak w nowej metodzie hodowli organogeneza miałaby nie odbiegać od tej zachodzącej w trakcie rozwoju ludzkiego płodu. Z kolei użyte komórki macierzyste byłyby genetycznie identyczne z całą resztą komórek biorcy, co pozwoliłoby wyeliminować ryzyko odrzutu narządu. Taki pacjent nie musiałby również stosować leków immunosupresyjnych, które zmniejszają ryzyko odrzucenia przeszczepu pochodzącego od obcego dawcy.

Przełomowe badanie w tym zakresie opisał w 2010 r. zespół Hiromitsu Nakachiego. To jemu po raz pierwszy udało się z komórek macierzystych osobnika jednego gatunku wyhodować organ w ciele osobnika innego gatunku. Naukowcy pobrali komórki macierzyste myszy i połączyli ze szczurzym embriosem z usuniętym genem *Pdx-1*, który odpowiada za powstanie trzustki. Urodzony szczur pomimo braku genu miał w pełni wykształcony narząd. Na tym samym modelu siedem lat później naukowcy poszli o krok dalej i mysią trzustkę wyhodowaną w szczurze przeszczepili myszy chorującej na cukrzycę. Mysz-biorca przez kolejne 370 dni miała unormowany poziom glukozy. W dodatku przeżyła ten rok bez immunosupresji, mającej chronić przed odrzutem.

Od szczura do człowieka

Okazuje się jednak, że mysi narząd nie był zbudowany wyłącznie z mysich komórek. W wyhodowanej trzustce znajdowały się także szczurze komórki, które tworzyły naczynia i nerwy. Stanowi to ogromny problem przy potencjalnym przeszczepieniu takiej trzustki człowiekowi. Reakcja immunologiczna na obce gatunkowo komórki byłaby bardzo gwałtowna i prowadziła do odrzutu. Poza tym wciąż nie uzyskano odpowiednich ludzkich komórek macierzystych do takiej hodowli. Próby łączenia ludzkich komórek z embriionami gryzoni podejmowano od 2013 r., ale nie dawały satysfakcjonujących wyników. Przyczyną są zbyt duże różnice w rozwoju zarodkowym i odległość ewolucyjna między ludźmi i gryzonami.

Organoidy

OSOBNĄ DZIEDZINĄ NAUKI

jest hodowla organoidów, czyli uproszczonych modeli narządów powstałych z komórek macierzystych na laboratoryjnej szalce, poza organizmem człowieka lub zwierzęciem. Ludzkimi komórkami macierzystymi, za pomocą odpowiednich sygnałów chemicznych, można pokierować tak, by utworzyły np. struktury mózgowia. Uzyskane „minimózgi” służą obecnie jako modele do badania genetycznych chorób, w tym alzheimera i parkinsona. Pomimo uproszczenia i struktury nieco odmiennej od dojrzałego

mózgowia taki organoid pozwala bezpiecznie przeprowadzać eksperymenty naukowe niemożliwe do wykonania na mózgu żyjącego zwierzęcia, a tym bardziej żyjącej osoby. Problem pojawi się jednak wtedy, gdy organoidy staną się na tyle duże i rozwinięte, że zaczną upodabniać się do w pełni rozwiniętego ludzkiego mózgu. W 2017 r. w „Nature” ukazał się artykuł opisujący organoid, którego aktywność neuronalną można było kontrolować za pomocą światła. Powstały więc światłoczułe komórki, które odbierały zewnętrzne sygnały, a inne komórki na te sygnały reagowały. Pojawia się

pytanie, czy organoid odbiera także inne bodźce ze świata zewnętrznego, czy potrafi odczuwać ból. Istotne jest również wykluczenie istnienia w rozwiniętym organoidzie ludzkiej świadomości. Jak zauważają autorzy tekstu opublikowanego w „Journal of Medical Ethics” – Andrea Lavazza i Marcello Massimini – nawet jeśli powstaną obiektywne metody mierzenia świadomości, nie rozwieje to etycznych wątpliwości. Problemem stanie się to, jakie miejsce zajmie organoid w stratyfikacji życia. Czy budzący ból organoid, będący bardzo prostą formą życia, stanie się równie istotny co pacjenci z demencją?

W styczniu 2017 r. w czasopiśmie „Cell” pojawiło się doniesienie o stworzeniu pierwszej chimery ludzko-świńskiej. Świński embrion posiadał 0,001 proc. ludzkich komórek i rozwijał się przez 28 dni. Rok później ogłoszono powstanie zarodka owcy z ludzkimi komórkami. Ten również przeżył 28 dni, ale tym razem zawierał 0,01 proc. ludzkich komórek macierzystych. W sierpniu tego roku hiszpański „El País” doniósł o pracach nad chimera ludzko-mięsistą. Wyników z tego ostatniego badania jeszcze nie opublikowano.

Czas trwania tych eksperymentów nie jest przypadkowy. Naukowcy nie chcą dopuścić do pełnej organogenezy, zwłaszcza do wykształcenia układu nerwowego. Do tej pory interesowały ich jedynie zdolności ludzkich komórek macierzystych do przeżycia w organizmie zwierzęcym. W dodatku dłużej trwający eksperyment budzi poważne wątpliwości etyczne.

Ludzkie komórki macierzyste mają zdolność do przekształcania się w dowolną tkankę, jaka występuje w organizmie człowieka. O tym decydują jednak wydzielane przez pozostałe komórki zarodka czynniki biochemiczne, które regulują i ukierunkowują rozwój komórek. W opisanych eksperymentach chodziło przede wszystkim o uzyskanie konkretnego narządu, takiego jak trzustka czy serce. Pełna kontrola nad komórkami macierzystymi wprowadzonymi do zarodka zwierzęcego nie jest jednak jeszcze opanowana. Nie będzie problemu, gdy ludzkie komórki będą migrować i zacząć budować kości lub skórę, ale część badaczy obawia się, że komórki macierzyste mogą zawędrować do mózgu zwierzęcia i budować korę mózgu, a przez to jego pro-

cesy myślowe mogłyby nabrać ludzkich cech. Podobne problemy natury etycznej pojawiają się w przypadku tzw. organoidów (więcej o nich w ramce). Jak jednak rozróżnić, czy ból lub strach odczuwany przez chimera zbudowaną z dwóch typów komórek jest ludzki czy zwierzęcy?

Chimery i hybrydy

Wszystkie te pytania i wątpliwości wciąż czekają na dodatkowe dane naukowe. Nie ma pewności, że komórki za każdym razem wędrują do mózgu, przeżywają tam i budują organ, a nawet jeśli, to czy nadaje mu to ludzkich cech. Tego problemu nie da się rozwiązać kategorycznie na obecnym etapie.

W lipcu 2019 r. pojawiła się informacja, że wspomniany wcześniej Hiromitsu Nakauchi uzyskał zgodę na prowadzenie w Japonii badań nad ludzko-mysimi chimerami do czasu ich narodzin, a nawet dłużej. Pozwoliłoby to na pełny rozwój zarodków i ich organów, jednak Nakauchi już teraz podkreśla, że nie ma zamiaru dopuścić do tego, by chimery się urodziły. Ale nawet zapewnienia badaczy nie ostudziły emocji, jakie wiadomość wywołała. Niektóre media informowały m.in. o „japońskich hodowlach hybryd ludzi i zwierząt”, pojawiały się także pytania, czy tego typu zabiegi nie doprowadzą do stworzenia nowego gatunku istot.

Trzeba jednak pamiętać, że chimera nie jest tym samym co hybryda – choć oba te terminy w mediach bywają używane wymiennie. Ściśle mówiąc, hybrydy to organizmy, których materiały genetyczne, a nie komórki, zostały wymieszane. W przypadku hybrydy plem-

nik i komórka jajowa pochodzące od innych gatunków tworzą zarodek, który staje się czymś pomiędzy gatunkiem matki i gatunkiem ojca, ale wszystkie jego komórki posiadają ten sam zestaw genów. U chimer zaś mieszają się wyłącznie komórki, dlatego jeden osobnik może posiadać dwa odmienne materiały genetyczne. Przykładami hybryd mogą być tygrys (ojciec tygrys, matka lwica), jaglew (ojciec jaguar, matka lwica) albo pumpart (połączenie pumy i lamparta). W dodatku nikt nie planuje rozmnażać chimer ludzko-zwierzęcych, gdyż ich głównym przeznaczeniem ma być transplantologia.

Problemy etyczne związane z chimerami znacznie wyprzedzają rzeczywistość i naukę, która utrzymuje swoje eksperymentalne zarodki na bezpiecznym, także z etycznego punktu widzenia, etapie rozwoju.

Zapowiedziane badania Nakauchiego mają być kolejnym krokiem ku lepszemu zrozumieniu rozwoju takich zarodków i rozwiązaniu trudności, których wciąż jest sporo. Trzeba znaleźć optymalne komórki macierzyste, ograniczyć wnikanie komórek zwierzęcia do hodowanego narządu; upewnić się, że migrujące komórki nie docierają do mózgu zwierzęcia itd. Do zapowiadanych „japońskich hodowli” jeszcze długa droga.

Człowiek nie posiada zdolności mitycznych bogów, którzy potrafili bez przeszkód łączyć ze sobą różne gatunki, a nawet różne gromady zwierząt w jedno przerażające monstrum. A jeśli tego typu boskie zdolności by miał, któż wtedy potrzebowałby przeszczepów.

© BARTOSZ KABAŁA

TP

Ludzie kontra demokracja

„Tygodnik Powszechny” zaprasza na spotkanie z prof. Yaszą Mounkiem, autorem książki „Lud kontra demokracja. Dlaczego nasza wolność jest w niebezpieczeństwie i jak ją ocalić”

ŚRODA, 18 WRZEŚNIA, GODZ. 18

Kraków, aula Pałacu Larischa (ul. Bracka 12) – wejście obok kawiarni De Revolutionibus
Prowadzenie: Rafał Woś

UWAGA! Liczba miejsc ograniczona, obowiązują bezpłatne wejściówki, do pobrania na powszech.net/demokracja

■ Wywiad Rafała Wosia z Yaszą Mounkiem czytaj na powszech.net/mounk



MATERIAŁY PRASOWE

TORTURY PRZY PODWIECZORKU

Niepojęte, że człowiek tak intensywnie krążący wokół myśli samobójczej owego dnia, 18 września 1939 roku, po wkroczeniu wojsk sowieckich, nie rozporządzał niczym lepszym od tępej żylетки.

ELIZA KĄCKA

ZNAM PEWNEGO GENJUSZA Z PROWINCJI. Teoretyk sztuki... Co kilka lat wydaje wielki manifest, szereg manifestów. Raz uczy malarzy, jak trzeba malować w sposób ostateczny, jedyny i nieodwołalny. Później rzuca się na reformę teatru i ustala »klucz« dla wszelkiej twórczości dramatycznej. Jeszcze później wypływa hałaśliwie na szerokie wody filozofii... Nie umie co prawda malować, pisać ani myśleć porządnie, ale zdobył sobie sławę i rozgłos wśród naiwnych i nikt jakoś nie spostrzegł, że ten domorosły Archimedes zawraca głowę sobie i ludziom...».

Ten portret Stanisława Ignacego Witkiewicza, nieznany, zdaje się, witkacologom (ja pierwsza!) odmalował w 1935 r., na przedostatniej stronie książki „Literaturę trzeba przewietrzyć”, felietonista i popularyzator nauki Bruno Winawer. Stanisław Ignacy Witkiewicz nazwał go za to „Widmon Brudnawer”.

Od tych czasów zmieniło się wiele. Witkacy nie tylko zdobył zasłużoną pośmiertną sławę, lecz stał się nawet ikoną popkultury. Wiemy już o nim sporo. Z kim się wadził i kogo uwodził, co sądził o Wittgensteinie i jak radził sobie z hemoroidami, czemu nie zwiedził wysp Trobrianda ani Kielc, kim byli w jego życiu fryzjer Pinno i kotka Schyzia. Nie wiadomo tylko, jak to wszystko połączyć, kim był naprawdę i z jakiej pestki wyrósł. Albo inaczej: jak stworzył siebie. Osiemdziesiąt

lat po tragicznej śmierci Witkacego jest to wciąż jeszcze zagadką. I w tym jego siła.

Sztuczki sztuki

Młody Staś Witkiewicz, przyszły Witkacy, wyrastał pod ciśnieniem. Od dziecka ciążył na nim obowiązek bycia genialnym. Nikt zresztą w Zakopanem i okolicach, a już najmniej on sam, w geniusz Stasia nie wątpił. Tylko – bagatela! – jak się to robi? Siłą ojcowskiej perswazji Staś został malarzem, lecz gdy w roku 1908 zobaczył, co się maluje w Paryżu, pojął, że już nie nadąży. Mógł jeszcze zostać pisarzem, filozofem, podróżnikiem, matematykiem (złożył papiery na politechnikę lwowską), wreszcie królem życia. To akurat szło mu najlepiej. Każda z tych ról wymagała jednak myślenia, więcej: oryginalności. A z czego wydusić oryginalność? Młodopolska retoryka paradoksu podpowiadała: ze sprzeczności. I Stanisław Ignacy Witkiewicz został paradoksalistą.

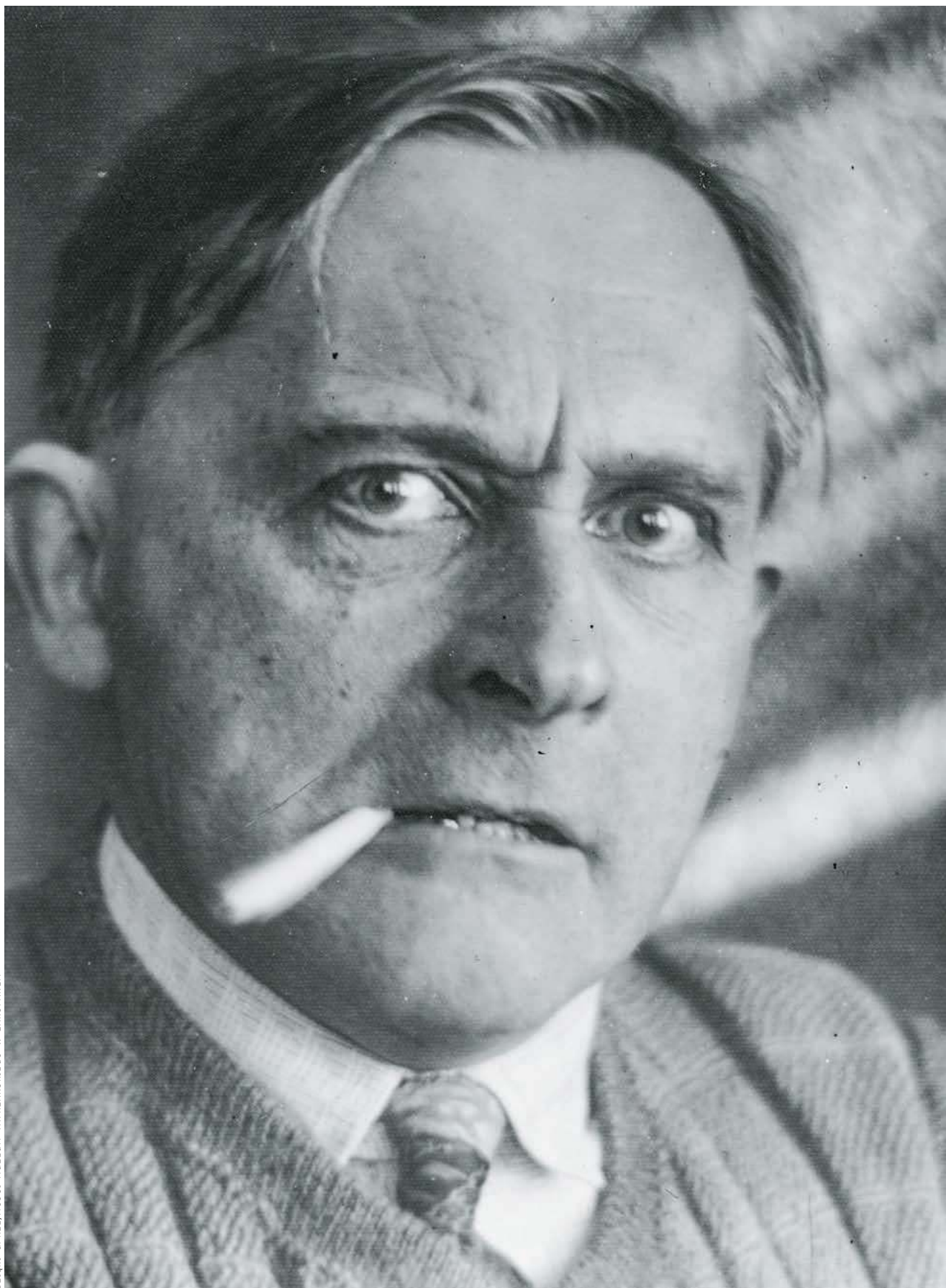
Każda samodzielna formacja kulturalna prokuruje swój zestaw bomb retorycznych. A potem spuszcza je na poprzedników. Na przełomie XIX i XX w. w arsenałach były paradoksy. „Naga dusza”, „wyrażać niewyraźne”, „natura naśladuje sztukę”, „szczytem tańca jest stać bez ruchu”, „prawdziwa miłość jest w śmierci”, „najpiękniejsza jest rzecz, która nie istnieje”, „człowiek jest najsilniejszy, gdy jest całkiem sam” – każde

z tych powiedzonek rujnowało coś bezpowrotnie. Staś Witkiewicz w garderobie duszy własnej montował nie gorsze bomby, lecz kaprys historii w postaci światowego konfliktu, rewolucji rosyjskiej i podobnych sprawił, że odpalił ją dopiero po pierwszej wojnie. Innymi słowy, styl myślenia minionej epoki przeniósł w inne czasy. Ów przemyczony szlagwort to „Czysta Forma”.

Paradoks i tajemnica

Skryty w tej nazwie paradoks – wskutek przeterminowania – zyskał jeszcze na jawowitości. Sekretu swej tajnej broni nigdy Witkacy nie zdradził. Tak wyjaśniał, by nie wyjaśnić. Jak ten kamień filozoficzny odkrył?

Pierwszą przymiarkę zawiera młodzieńczy traktacik „Marzenia improduktywa” (1903), gdzie pada zadziwiające zdanie: „Jeśli coś istnieje, to tym samym zaprzecza temu principium, według którego istnieje” (później trafi ono do pierwszej, nieopublikowanej powieści „622 upadki Bunga” z 1911 r.). Co znaczy – gdyby to przełożyć na pragmatykę egzystencji – że wszelki stan rzeczy wiedzie do swego przeciwieństwa: niepodległość do podległości, niechęć do chęci, nienawiść do miłości, ale też dobro do zła, piękno do brzydoty i na odwrót. Wszystko musi stać się własnym przeciwieństwem – i wtedy dopiero może się w istnieniu. A dodać →



DZIEKI UPRZEJMOŚCI MUZEUM TATRZAŃSKIEGO W ZAKOPANEM

Witkacy, fotografia autorstwa Józefa Głogowskiego, lata 30. XX w.

→ jeszcze należy, że każda rzecz może być każdą inną. Tak, światopogląd czasów, kiedy to było pisane, znał dwie mody: nihilizm i mistycyzm. Maturzysta Witkiewicz połączył je w sposób niemal doskonały.

Jeszcze przed pierwszą wojną wyłoniła się formuła kolejna: „jedność w wielości”. W sferze sztuki oznaczała podporządkowanie wszystkiego, co przypadkowe, końcowej rewelacji. Witkiewicz jednak, już czasem podpisujący się „Witkacy”, rozszerzył ją na psychologię. Zatem między tym, co do nas dociera, a tym, czym się stajemy, zachodzi alchemiczna transformacja: antynomie składają się na jedność osobowości. „Ja” to bowiem wynik gry przeciwieństw. A im sprzeczności więcej, im głębsza komplikacja, tym potężniejsza jedność. Kandydat na kogoś godnego miana „osoby” karmić się więc powinien tym, co na pozór niezborne. Tkwić, dajmy na to, nosem w przestrzeni Banacha, a zarazem tarzać się w rozpuszczeniu, bezbrzeżną życzliwość łączyć z aktami sadyzmu, siusiając w krzaczki przenikać wzrokiem głębi kosmosu, tworzyć ogólną teorię wszystkiego nad kuflem piwa w zakopiańskiej knajpie Bielatowicza. I Witkacy to robił.

Czystą Formę, najteższy paradoks, na jaki się zdobył, uzbroidł bodajże w Rosji, gdzie na czas pewien idee i czyny przestały podlegać prawu grawitacji. Rzecz w tym jednak, że forma to pojęcie nieodłączne od treści – a już czysta forma, w pełni treści wyzbyta, jest wręcz niewyobrażalna. Nic nie znaczy, a ściślej: znaczy nic, bo nic jej nie wypełnia, a więc

nie określa. Innymi słowy, nie może być wielu czystych form, bo wszystkie byłyby jednakowe. Na tym to spostrzeżeniu zbudował Witkacy swój paradoks: Czysta Forma to pojęcie graniczne, za którym nic już nie ma, z wyjątkiem zawrotnego absolutu. Toteż zmierzając do Czystej Formy, zerkamy, będąc artystą, tam, gdzie pędzel nie sięga. Bo przecież, jak wiadomo, Sztuka przez duże „S” winna zmierzać właśnie do absolutu, który Witkacy zwał Tajemnicą Istnienia. Za sprawą Czystej Formy owszem, zmierza – i to na skróty.

Tylko jak używać Czystej Formy? Ano – tu włącza się koncept poprzedni – stosując jedność w wielości. Im więcej dzieło sztuki nagromadzi treściowych sprzeczności, tym większa szansa, że się nawzajem zetrą na jakość formalną. Synteza ta, niczym bigos litewski z „Pana Tadeusza”, ma dać efekt tyleż cudowny, ile niepojęty. Witkiewicz łudził się, że można to zaplanować i skonstruować. Ma się rozumieć, wiedział, że na formę składają się treści (kształty, dramaturgia barw, anegdota obrazu) i że poza ich strefą zaczyna się bezformie. Toteż nigdy nie zaaprobował abstrakcji ani bełkotu. Ten ostatni krok, po którym sztuka coś reprezentująca przestawała być sobą, uczynili inni. Czysta Forma była więc, wbrew stereotypom na jej temat, czymś na kształt skafandra: miała pozwolić obcować z absolutem, w sensie metafizycznym, lecz nie dać się przezeń wchłonąć.

Dziwność

Poświęcenie się sztuce poddanej takim rygorom oznaczało, jak już powiedziano, ży-

cie paradoksalne, czyli angażowanie spo- rej energii w scalanie rozbieżnych poczy- nań i doznań w nadjałość. Witkacemu, li- cząc od jego powrotu z Rosji w roku 1918, energii tej starczyło na lat siedem.

Potem, jak wiemy, zwolnił obroty, po- rzucając malarstwo eksperymentalne i rezygnując w znacznej mierze z dra- maturgii na rzecz powieści. Później jesz- cze skupił się na zgrubsza fachowej ro- bocie filozoficznej i pouczaniu narodu. Złośliwość historii sprawiła, że z okresu największej aktywności, do roku 1925, mamy, nie licząc anegdot, nadzwyczaj mało świadectw. Przepadła masa obra- zów i tekstów, zaginęła większość kore- spondencji z czasów, kiedy Witkacy był tuzem awangardy, użerał się jak szalony z wrogami i przyjaciółmi, żył w Zakopa- nem na skale, do jakiej się nigdy w Polsce nawet nie zbliżył nikt inny, tworząc swą dziką legendę i nie mniej dzikie dzieła.

Wtedy to właśnie zaaplikował kultu- rze polskiej nieporównywalny z niczym zastrzyk dziwności. Tak bowiem w jego wydaniu wyglądało rozwiązanie kom- plesu geniusza na kredyt, który młodość spędził na dociekaniach, gdzie w nim ten geniusz tkwi. Skutkiem okazała się dziw- ność. W dziwności Witkacy spełnił się bez reszty.

Jak to w praktyce wygląda, warto po- kazać na tekście mało znanym, bo nie- kompletnym. „Nowa homeopatia zła” (1918) była pierwszą sztuką pisaną już w Polsce, w dodatku na cztery ręce z Ta- deuszem Langierem; zachował się sam początek. Co dodał Langier, nie wia- domo, bo ktoś zgubił manuskrypt, nie- mniej to, co przytoczę, jest czysto witka- cowskie. Otóż w trakcie podwieczorku na idyllicznej plebanii zjawia się inkwi- zyt Torquemada w stroju pontyfikal- nym, z fioletowymi pomponami na pan- toflach, i wszystkim obecnym z satysfak- cją obiecuje tortury.

„Nikt się nie oprze. Każdy bez przy- musu, bez hipnozy, bez żadnej siły ze- wnętrnej podda się, a potem może nie wytrzymać”. Kogoś wprawia to w za- chwył: „Podwieczorek wiejski połączony z torturami!”, ale wikary ma wątpliwo- ści, co znaczy „nie wytrzymać”. I sam udziela sobie wyjaśnienia zdaniem, z któ- rego dumni byliby tacy mistrzowie me- tafizyki w prozie, jak Gombrowicz czy Schulz: „Nie wytrzymać, to znaczy pęk- nąć – ale co będzie, jeśli nie wytrzymamy jeszcze przed pęknięciem – co zapełni ten

Miejsce, które wybrał

80 LAT TEMU, 26 sierpnia 1939, roku Witkacy – autor czterech powieści (dwie wydano pośmiertnie), kilkudziesięciu dramatów (część zaginęła), prac filozoficznych i estetycznych oraz dzieł plastycznych (w tym obfitej produkcji Firmy Portretowej) – przyjeżdża z Zakopanego do Warszawy. Zgłasza się do komisji poborowej, ale z powodu

wieku (54 lata) i stanu zdrowia nie dostaje karty wcielenia. Z 3 na 4 września jego żona Jadwiga wyjeżdża na prowincję. Witkacy opuszcza Warszawę dzień później wraz z ówczesną partnerką Czesławą Oknińską-Korzeniowską. W Brześciu znów bezskutecznie zgłasza się do wojska. Ruszają pieszko na wschód, zatrzymują się w Jeziorach na Polesiu (dziś

Ukraina). 17 września dowiadują się z radia o przekroczeniu granicy przez wojska sowieckie. Następnego dnia rano wedle relacji Czesławy (pierwszej z kilku, jakie pozostawiła) Witkacy mówi: „To dziś”. W miejscu, które wybrał na samobójstwo, dodaje: „muszę jeszcze teraz, kiedy jest Polska”. Oboje zażywają leki, Witkacy tnie sobie nadgarstki. Szukający znajdują jego ciało i nieprzytomną Czesławę. © TP TF

skrawek czasu będący granicą wszelkich urzeczywistnień?” Nim rzecz się jednak dopełni, wkracza oddział mundurowych i daje salwę. Ktoś pyta: „Z czyjego rozkazu panowie strzelają?”, a wówczas pada genialna odpowiedź: „Jesteśmy ochotnikami, należymy do batalionu ochotników rozstrzeliwaczy”.

Oto coś, by tak rzec, z samego pępka epoki: kwintesencja rewolucji. Tuż potem tekst się urywa. Siła słowa, energia absurdu i kalejdoskopowa zmienność sytuacji sumują się w wizję, której godna snu dziwności zapowiada wyzwolony, autonomiczny teatr. Piszac to, i trzydzieści innych sztuk (z których co trzecia przepadła), Witkacy wiedział, czym jest i będzie nowoczesność. I co sobie szykuje.

Dynamika

Praktyczną konsekwencją „jedności w wielości” jest wszystkoizm. Obrazy i literaturę, a także własne bycie, trzeba maksymalnie wypełnić wszystkim, co się zmieści. Tak działa *horror vacui*, lęk przed próżnią. Na obrazach panuje zamęt, a w tekstach literackich ludziska rzucają się na siebie bez aktów i stadiów pośrednich. Co do powieści, miejsca puste w szermierce słów i galopie zdarzeń przejmują wielomówny, przenikliwy i dobrze poinformowany narrator. Narrator ów, możliwie bliski Witkacego we własnej osobie, komentuje na bieżąco tyrady postaci, a także ich myśli i stany fizyczne, zwłaszcza skrajne. Aż się zaplucza, żeby nadażyć za procesami psychicznymi własnych twórców. Na co Marcel Proust zużyłby setkę stronic, ugniata w pigułę (iście końska dawka). Jego światami rządzą kontrast i dynamika. Toteż dramaty i powieści Witkacego mają rytm *accelerando* tłoków maszyny parowej z zepsutym regulatorem Watta. Spodobałoby mu się to porównanie.

Czytelnik ma wrażenie, że jego światy nie mieszczą się w sobie. Zaraz coś trzaśnie, wybuchnie, zasypie scenę szczątkami. I tak też przeważnie się dzieje. Przerysowane postacie mają, co do jednej, cechy kabotynów, wypadki gnają przez draństwo i zbrodnie ku katastrofie ogólnej, rzeczywistość od pierwszych scen przechyla się w karykaturę. Wszystko to byłoby dość ponure, gdyby nie było zarazem wstrząsająco śmieszne. I tu jesteśmy blisko sedna. Praktykę pisarską Witkacego można bowiem, gdyby ktoś musiał, imitować, można też z pewnym trudem

Czytelnik ma wrażenie,
że **jego światy**
nie mieszczą się w sobie.

Zaraz coś trzaśnie, wybuchnie,
zasypie scenę szczątkami.

dzielić ogół jego przekonań, lecz nie sposób powielić jego poczucia humoru. Drugiego takiego zjawiska nie zna – ośmiela się powiedzieć – literatura światowa.

Witkacego jednak piekielnie przejmują fakt, że dynamika, którą stara się w pisaniu odtworzyć, to dynamika rozpadu i rozkładu. Ten nieodwracalny proces trzeba jak najściślej opisać i zbadać, póki czas, dopóki działa zmysł krytyczny. Schyłek świata indywidualizmu i narodziny globalnego mrowiska, skutek podziemnych prac bezimiennych sił historii, przejawiają się w kształtach absurdu, lecz absurdalne nie są – raczej tragiczne. Trud zaangażowanego w ową dokumentację artysty jest, oczywiście, groteskowy w tym sensie, że nie zda się na nic. Żadna przyszłość go nie doceni, bo właśnie następuje metamorfoza rodu ludzkiego w owadzi. Toteż jego pracom patronuje wisielczy humor. Bo Witkacy tworzy postacie usiłujące żyć wciąż po swojemu, i jest bez reszty po ich stronie. Tak, to rozczulająco śmieszne: jakby grupa rozbitków na topniejącej krze dmuchała na nią, by ją ochłodzić. W momencie przesilenia.

Powieści i dramaty Witkacego warto czytać z intencją wyłapania, w którym punkcie świat przedstawiony staje „na przełęczy bezsensu”, waha się – i zaczyna się staczać. Jacyś ludzie, tacy i owacy, czegoś chcą, mają ze sobą różne sprawy, i wtem – na skutek zderzenia ich kaprysów, ambicji, kompleksów – zawala się, pochłaniając nieszczęsnych, cała rzeczywistość. Oni tego nie widzą, do ostatniej chwili licząc piętra w trakcie lotu w dół z wieżowca.

Ucząc takiego spojrzenia, Witkacy jest – rzecz w literaturze polskiej wyjątkowa – naprawdę wywrotowy. Obnaża samokompromitację jednostek, grup, społeczności. Jeden śni o arcydziele, drugi o wszechpotędze, trzeci skamle do wstrząsów metafizycznych, czwarty to błagier; jedna tchnie damskim demonizmem, druga doń aspiruje, trzecia, do czasu, jest spłoszoną myszką. Są

jak figury szachowe, którymi Witkacy rozgrywa odmienne, a zawsze te same końcówki. W nic innego grać nimi nie można. Nimi, czyli nami.

Uwięziony w swoim błazeńskim świecie jak Jonasz w wielorybie, zasługuje Witkacy na miano zyskane z okazji francuskiej wystawy „*Présences polonaises*” sprzed dekad: „prorok mimo woli”, *le prophète involontaire*. I wie o tym. Stąd, gdy patrzy z boku na ów świat i siebie, nie pozostaje mu nic innego, jak gest śmiechu.

Blisko drzwi

Przed połową lat 30., skończywszy „Szewców” (1934), Witkacy, jak się zdaje, odkrył w sobie więźnia własnych wizji. Zajął się wtedy czymś innym: publicystyką i filozofią. „Narkotyki” (1932) przyjęto wydzwianiem, „Niemytych dusz” (1936) nie udało się wydać, a opracowywanego przez lata traktatu „Pojęcia i twierdzenia implikowane przez pojęcie Istnienia” (1935) sprzedano do wojny ledwie sześć egzemplarzy. Był to więc sukces cząstkowy, u którego źródeł leżała przynależność autora do odmiany polemistów niezdolnych się zgodzić z kimkolwiek co do czegokolwiek. Takim Witkacego zapamiętano najlepiej: nachmurzony pan kiele pięćdziesiątki, który pod szyldem Firmy Portretowej sporządza niezliczone konterfekty państwem, a modele grobowo milczą.

Nie umiał stworzyć sobie środowiska ani kultywować przyjaźni. Miał to zapewne związek z młodzięcym odepchnięciem zaborczej miłości ojca: odąd serdeczność zdawała mu się podejrzana. Weźmy bilans stosunków Witkacego z wybitnymi postaciami epoki. Józef Piłsudski: kalumnie, potem fascynacja; Stefan Żeromski: podziw, potem żale; Bronisław Malinowski: przyjaźń, potem złośliwości; Leon Chwistek: braterstwo, potem mobbing; Karol Szymanowski: bliskość, potem nienawiść; Tadeusz Boy-Żeleński: partnerstwo, potem chłód; August Zamoyski: namiętność, potem milczenie; Antoni Słonimski: sympatia, potem zjadliwość; Aleksander Wat: ciepło, potem nic; Władysław Strzemiński: życzliwość, potem zero; Karol Irzykowski: polemika, potem przytyki; Witold Gombrowicz: zapal, potem zerwanie; Bruno Schulz: fascynacja, potem lekceważenie; Roman Ingarden: respekt; Alfred Tarski: podziw, fraternizacja na tle alkoholowym.

Co do kobiet – na każdą, z którą był bliżej, rozciągał prawo własności. ➔

⇒ Jedno ze wspomnień daje nam go u schyłku życia. Stefan Otwinowski tak pisał o warszawskim klubie literatów, który Witkacy odwiedzał milcząco i z rezerwą: „W pewnej chwili to jego wyodrębnienie zaczęło wszystkich niepokoić. Ktoś odważny spytał: »Dlaczego pan pozostaje tak jakoś z boku naszej rozmowy?«. Witkiewicz po namyśle odpowiedział: »Kiedy na was patrzę, chciałbym być jak najbliższej drzewi«. I właściwie zawsze był taki, jakby chciał wyjść z pokoju, z Warszawy, a nawet wyjść w ogóle”.

Niepojęte, że człowiek tak intensywnie krążący wokół myśli samobójczej, igrający z tą wizją i zafascynowany nią, nie zaopatrzył się przez lat dwadzieścia w broń palną (co nie było zbyt trudne) albo w skuteczną truciznę (co przy jego kontaktach z podejrzanymi farmaceutami zdaje się fraszką). Owego dnia w Jeziorach, 18 września 1939 r., dzień po wkroczeniu wojsk sowieckich, kiedy przyszła chwila, nie rozporządził niczym lepszym od żyłетки. Gorzej nawet: wedle jednej z relacji Czesławy Oknińskiej, towarzyszącej mu wtedy, przyjął z pokorą zarzut, że jest nieogolony, i przed ostatnim spacerem starannie się ogolił. A ówczesne żyłетки należało ostrzyć po każdym użyciu. Miał co prawda drugą, ale była dla niej. Siadł zatem pod dębem z tępą żyłetką w dłoni. Przeszedł w symbol, nie nadawał się na alegorię.

Czego dokonał? Bardziej niżli pisarzem, a zwłaszcza niż myślicielem hołdującym wnioskowaniom sformalizowanym, był jednym z najwybitniejszych w Polsce filozofów egzystencji praktykujących. Na tym się znał naprawdę: na życiu i śmierci. I w tym ma rangę światową. Niełatwo znaleźć formułę, która tę rzecz wyraża, lecz na myśl przychodzi Mickiewiczowska „Droga nad przepaścią w Czufut-Kale” z zaklęciami, by nie zaglądać w otchłań:

*Mirzo, a ja spojrzałem! Przez świat
szczeliny
Tam widziałem... com widział,
opowiem – po śmierci,
Bo w żyjących języku nie ma na
to głosu.*

Tym, którzy chcą wiedzieć, opowiada to dzisiaj. © ELIZA KĄCKA



JOANNA RUDNIAŃSKA

Skóry, które z siebie zdejmują

PIOTR KOSIEWSKI

Za życia stała się jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci w sztuce polskiej. Klasykiem współczesności. Lecz wraz z powszechnym uznaniem twórczość Magdaleny Abakanowicz przestawała budzić emocje.



PIOTR KOSIEWSKI



Po lewej: „Mutanty”, 2000 r., w parku Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku.

Po prawej: „Mutanty”, lata 1994–1996, we wnętrzach Centrum Rzeźby Polskiej.

Poniżej, po lewej:

„Queen, Orange with Black”, lata 1970–1980.

W 2008 r. w dawnej cysternie przy Zamku Ujazdowskim pokazano wystawę prac Magdaleny Abakanowicz. W surowych ceglanych pomieszczeniach zanurzonych w ziemi znalazły się jedynie dwie rzeźby – postacie mężczyzn, ułomne, pozbawione głów. Nie były to skończone dzieła, lecz dopiero ich zapowiedzi: artystka pokazała formy używane do wykonywania odlewu. Ujawniała swój warsztat. Jednak przede wszystkim wystawa mówiła o obecności Abakanowicz w Polsce, artystki znanej, podziwianej i zarazem rzadko pokazywanej.

Duże projekty w przestrzeni publicznej realizowała poza Polską. Dopiero w 2002 r. „Nierozpoznani” – 112 żeliwnych postaci – stanęli w parku na terenie poznańskiej Cytadeli i do dziś, poza znacznie mniejszymi pracami w Warszawie czy w Orońsku, pozostają jedną z niewielu i największą realizacją Abakanowicz w kraju.

Przegląd jeszcze niepełny

Prace z dawnej cysterny przypominano teraz przy okazji dużej wystawy „W przestrzeni Magdaleny Abakanowicz”, otwartej właśnie w Orońsku. Kuratorzy chcą bowiem przywrócić jej twórczość polskiej publiczności, ale też, jak zaznaczono w tekście towarzyszącym wystawie: „nadszedł czas badań i rekapitulacji. Jak dziś pokazywać twórczość wielkiej artystki i jej dziedzictwo, czy można powiedzieć coś nowego o jej życiu i sztuce”.

W Orońsku znalazło się zaledwie kilkanaście prac powstałych od końca lat 60. XX w. do 2000 r. Są wśród nich

dzieła monumentalne, w znacznej skali, jak „Ukon” (1994-95) z cyklu „Gry wojenne”, ale też np. powstałe ok. 1987 r. delikatne szkice rzeźb na serwetkach i papierze odnalezione w archiwum Miejskiego Ośrodka Sztuki w Gorzowie Wielkopolskim.

Poważnym ograniczeniem jest brak w Centrum Rzeźby dużych przestrzeni wystawienniczych, których wymagają dzieła Abakanowicz. Wymusiło to wykorzystanie innych miejsc, które były dostępne. Prace artystki znalazły się też w dawnej kaplicy, oranżerii oraz wozowni pałacu Józefa Brandta, w którym mieści się dziś Centrum, a także w rozległym parku. Brak okazał się szansą: pozwalało zobaczyć dzieła Abakanowicz w bardzo różnym otoczeniu – od typowej przestrzeni muzealnej poprzez dawne sakralne pomieszczenie po przestrzeń publiczną – i za każdym razem inaczej je odczytywać. Dla niej zresztą zawsze ważne było miejsce, w którym umieszczano jej prace, z jego kulturowymi i społecznymi kontekstami.

Jest to jednocześnie pokaz bardzo różnorodny, od tkanin i abakanów przez rzeźby i instalacje po rysunki. Ekspozycję uzupełniono filmami, w tym zapisem przedstawienia eksperymentalnego teatru japońskiego Butō z 1995 r. pod dyktando Akiko Motofujiego, przygotowanego we współpracy z artystką, w którym występujący aktorzy przypominali ożywione rzeźby Abakanowicz.

Tkaczka

Jest przede wszystkim kojarzona z abakanami (ten termin wszedł do słownika

języka polskiego). Na początku malowała, jednak szybko sięgnęła po tkaninę, zazwyczaj niekojarzoną ze sztuką „poważną”, „wysoką”. Jej prace z barwionego szalu zaczęły odrywać się od ścian, rozrastać, przybierać zaskakujące formy, bliższe rzeźbie niż tradycyjnym gobelinom.

Po latach pisała, że abakany „drażniły ludzi, były nie w porę”. Jednak szybko je dostrzeżono. Artystka odniosła sukces na Międzynarodowym Biennale Tkaniny w Lozannie w 1962 r. Trzy lata później otrzymała złoty medal na Biennale w São Paulo. I to abakany stały się przepustką do międzynarodowej kariery. Sama Abakanowicz miała problem z tą częścią własnego dorobku. „Nie jestem tkaczką” – powtarzała. „Tak jakby materiał i technika z samej definicji deprecjonowały rangę jej dzieł” – podkreśla Anda Rotenberg w katalogu towarzyszącym wystawie w Orońsku. Proszona o wystawy, artystka dobierała prace tak, by jej twórczość nie była łączona z tkactwem. Tymczasem „W przestrzeni...” przywraca publiczności abakany. Nawet więcej, stały się tu kluczem do dorobku autorki.

Na wystawie znalazło się kilka tkanin. Ich dobór pokazuje różnorodność form. „Queen, Orange with Black” (1970-80) oszałamia efektywnością kolorystycznych zestawień. Kontrastuje z oszczędnością „Tuby (Abakan czarny)” (1976) wyglądającej jak unoszący się w powietrzu wielki walec. Są tu prace płaskie, najbliższe tradycji gobelinów, ale też rzeźbiarskie, rozgrywające się w przestrzeni. Zaskakuje również struktura tkanin, w której Abakanowicz często wykorzystywała kontrasty. Ich fragmenty są wykonane równomiernym splotem, w innych stosowała zgrubienia, zapętlania. Pojawiają się wybrzuszenia, narośle, ale także przeciercia, prześwity.

W Orońsku dobrze widać wieloznaczność abakanów. Bywają, jak w „Czarnym ubraniu” z 1975 r., formą stroju, materia broniącą dostępu, z kolei inne prace zdają się odzwierciedlać ciało, wgląd w jego wnętrze, fizyczność, biologiczność. „Abakan turkusowy” z 1969 r. przywodzi →

→ na myśl powiększony do gigantycznych rozmiarów fragment ludzkiego lub zwierzęcego organizmu, brutalnie wyrwanego i wystawionego na pokaz. „Czym jest tkanina? Zszywany ją, kształtujemy z niej formy. Kiedy biologia naszego ciała przestaje prawidłowo działać, trzeba rozciąć skórę, aby dostać się do wnętrza, potem ją zszywać niczym materiał. Tkanina ubiera nas i okrywa. Tworzona naszymi rękami jest zapisem naszych myśli” – pisała artystka w 1978 r.

Ciało

„W przestrzeni...” pozwala zrozumieć, na czym polegało nowatorstwo abakanów, które nadal zaskakują, intrygują, prowokują do nowych odczytań. Nieprzypadkowo w ostatnich latach powstały teksty wydobywające ich cielesny, wręcz seksualny aspekt. Uderzające jest to, że artystka, bojąc się tkaniny jako pośledniejszej formy sztuki, jednocześnie afirmowała samo tkactwo, zajęcie zazwyczaj kojarzone z kobietą. Prace Abakanowicz powinny jeszcze wyraźniej zwrócić uwagę na rodzaje artystycznej twórczości, które w tradycyjnej hierarchii sztuki były i nadal są często marginalizowane. Ta zmiana optyki, odejście od hierarchii ustalonej długo przez (przede wszystkim męski) mainstream i podkreślanie znaczenia takich aktywności, jak tkactwo, szycie, wyszywanie czy ogrodnictwo, pozwala pełniej opisać historię sztuki kobiet.

W latach 70. powstają grupy rzeźb wykonywanych z jutowego płótna utwardzanego żywicą, jak obecne na wystawie „Plecy” (1976-80). Coraz większe znaczenie zaczyna mieć dla artystki figura ludzka, bardzo rzadko traktowana w sposób dosłowny. Najczęściej jest to jedynie ślad, odcisk, rodzaj skorupy. Na krótko zresztą, pod koniec tej dekady wracają formy bardziej organiczne. Imponująca kompozycja „Embriologia” (1978-80), składająca się z kilkudziesięciu jajopodobnych miękkich brył różnej wielkości, zajmująca całą ogromną salę, to dziś jedno z najbardziej przykuwających uwagę dzieł Abakanowicz, wystawiane m.in. w londyńskiej Tate Modern (w zbiorach tego muzeum znalazł się też „Abakan czerwony” z 1969 r.).

W kolejnej dekadzie artystka sięgnęła po nowe materiały: brąz, kamień, szkło, żelazo. I przede wszystkim coraz częściej ze swymi pracami wkracza w przestrzeń publiczną. Jej sztuka nie ma być jedynie dekoracją. „Mnie zależało, by stała się czymś więcej” – podkreślała. Jej prace mają wypełniać miejsca znaczeniami. W 2006 r. w Grant Parku w Chicago postawiła 106 żeliwnych rzeźb z cyklu „Agora”. To ma być miejsce „do kontemplowania ludzkiej kondycji” – komentował ustawienie dzieła Abakanowicz Alan G. Artner na łamach „Chicago Tribune”.

Amerykański publicysta dodawał, że „Agora” jest „jednocześnie dużym osią-

gnięciem i wielkim krokiem wstecz od abstrakcyjnych dzieł, które artystka tworzyła z włókna w latach 60. i 70.”. Rzeczywiście, w pracach Abakanowicz z ostatnich dekad jej życia jest coraz więcej odniesień do przeszłości sztuki, powrotów do dawnych form. Gdzieś gubiła się dawna drapieżność, ostrość jej sztuki. A może przestaliśmy ją dostrzegać?

Wystawa w Oronsku pokazuje ciągłość poszukiwań, współistnienie różnych form i to, że późniejsza twórczość artystki wiele zawdzięcza poszukiwaniom z lat 60. i 70., zwłaszcza abakanom. „Moje formy to kolejne skóry, które z siebie zdejmuję, znacząc etapy mojej drogi. Za każdym razem należą do mnie tak bardzo, i ja należę do nich, że nie możemy bez siebie istnieć. Czuwam nad ich egzystencją. Miękkie, zawierają w sobie nieskończoną ilość kształtów możliwych, z których tylko jeden jest przeze mnie wybrany jako właściwa forma znacząca” – pisała.

Wreszcie od 1987 r. zaczyna tworzyć cykl „Gry wojenne”. Dość przypadkowo zobaczyła porzucone, pokaleczone pnie, które skojarzyły jej się z korpusami pozabawionymi członków. Łączyła je z metalem sugerującym militarny charakter tych obiektów, przekształcającym je w maszyny wojenne, lub przeciwnie, będącym bandażem, który podkreśla odniesione rany. Sama nazwa cyklu powstała w kolejnym roku, podczas prezentacji tych prac na Węgrzech, w sytuacji niepewności, politycznego napięcia, oczekiwania na zmianę.

Pytania o znaczenie

Wystawa pokazuje proces przejścia zmarłej w 2017 r. artystki do bardziej trwałych materiałów, jakby pragnęła zapewnić swym pracom długie trwanie. Jednocześnie pozwala postawić pytanie o znaczenia przypisywane jej dziełom i ich aktualność dla współczesnego odbiorcy. Np. jej rzędy bezcielesnych figur niepokoją, budzą lęk. Sztuka ma wiele funkcji – tłumaczyła. Jest m.in. „wyznaniem, konfrontacją, ostrzeżeniem”. Dlatego też zaczęła pokazywać anonimowy tłum. Przerażająca bowiem – dodawała – jest świadomość, że taki bezgłowy organizm może niszczyć lub wielbić „na komendę”.

Być może Magdalena Abakanowicz była jedną z tych, którzy dostrzegli postępujące procesy uniformizacji, ale też jej anonimowe figury zdają się być zapo-



JOANNA RUDNIAŃSKA X3

wiedzą wielu obecnych zjawisk: wzrostu postaw autorytarnych, antyindywidualistycznych czy pojawiania się kolejnych polityków uwodzących tłumy. Jednak przestrzegała przed jednoznacznymi interpretacjami.

Wspominała kiedyś o pytaniach zadawanych jej o cykl „Plecy”. Czy to jakaś ceremonia religijna, wspomnienie Auschwitz, scena z tańca? „Na wszystkie te pytania można odpowiedzieć twierdząco” – podkreślała. W Orońsku prace z tego cyklu zostały ustawione w kaplicy,



przodem do ołtarza. Przypominają grupę modlących się. Tylko że to pomieszczenie dawno straciło sakralny charakter. Nawet ołtarz nie zachował się w całości. Pozostała jedynie dawna mensa i fragmenty dekoracji. To szczątki dawnego kultu, dziś już nieużyteczne, równie kalekie, jak anonimowe postacie przed nimi zebrane. Nadal poruszające, ale może też przestrzegające przed bezrefleksyjnym religijnym zawierzeniem.

© PIOTR KOSIEWSKI

W PRZESTRZENI MAGDALENY

ABAKANOWICZ, Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, wystawa czynna do 6 października br., kuratorka: Eulalia Domanowska.



Po lewej: „Giver”, z cyklu „Gry wojenne”, 1992 r. Powyżej: „Postacie stojące”, 1986–1994.



MATERIAŁY PRASOWE

Thom Yorke usiłuje uciec ze stacji metra w filmie „Anima”

Sennik antropocenu

ADAM ROBIŃSKI

„Współczesność jest jak sen, więc sądzimy, że nie grożą nam żadne konsekwencje” – mówi Thom Yorke przy okazji kolejnej solowej płyty.

LATEM W LONDYŃSKIM METRZE ZAWISŁY tajemnicze plakaty. Nieznana wcześniej nikomu firma Anima Technologies reklamowała produkt o nazwie Dream Camera. Z opisu wynikało, że jest niczym innym, jak tylko rejestratorem snów. „Masz problemy z zapamiętywaniem swoich snów? Tu w Anima znamy to uczucie aż za dobrze”, głosiło hasło, a link do strony internetowej i numer telefonu sugerowały rychły kontakt. Kiedy jednak wykręcało się podane na plakacie numery, w słuchawce rozbrzmiewał komunikat o likwidacji biznesu z uwagi na rażące i bezprawne działania.

Internauci nie mieli wątpliwości, że to przemyślana akcja marketingowa. Brzmiała jak reklama serialu, może nowego odcinka „Czarnego lustra”? I po niekąd tak właśnie było, bo publikacji

„Animy”, nowej muzyki Thoma Yorke’a towarzyszyła premiera krótkometrażowego filmu na Netflixie pod takim samym tytułem.

Film trwa raptem kwadrans i właściwie można by uznać, że nie ma żadnej fabuły. Ot, przydługi teledysk, który zszywa trzy utwory z nowo wydanej płyty. Ale już choćby fakt, że wyreżyserował go Paul Thomas Anderson, którego filmy i występujący w nich aktorzy regularnie otrzymują nominacje do Oscarów, sugeruje, że dobrze przyjrzeć mu się dokładniej i potraktować jak coś więcej niż tylko efektowny obrazek do muzyki.

Wyższość fazy REM nad jawą

Sceneria jest mocno dystopijna. Tłum jednakowo ubranych ludzi, jednorodna

masa, przemierza anonimową, pozbawioną detali przestrzeń. To niemalże pleń, pełzające skupisko tysięcy larw muchówki w poszyciu lasu. Pociąg i stacja metra, zanurzone w futurystycznej nocy ulice, wreszcie poranek w nieokreślonym środkowoeuropejskim mieście (zagrała je czeska Praga). Wszyscy tańczą, ale to bardzo dziwny taniec. Pełen niepokoju, jak nieustanna próba otrząśnięcia się z koszmaru.

Główny bohater goni w tym tłumie za króliczkiem – kobietą. Czasem pod prąd, czasem z prądem, czasem nawet wbrew grawitacji, a czasem bezwolnie włączając się w schematy, które zdają się rządzić ruchem całej reszty. W końcu stawia na swoim, w wąskiej brukowanej uliczce dopada ukochaną, ale tylko po to, by za chwilę się obudzić.

Przy okazji premiery „Animy” – płyty i krótkiego metrażu – Thom Yorke, wokalista Radiohead, ale też coraz częściej muzyk na własną rękę, dużo mówi o snach. O tym, że bez nich nasze umysły się przegrzewają, że wszystko, co najlepsze w nauce i sztuce, rodzi się w odpoczywającym mózgu. Aż chciałoby się dopisać do płyty rozwijający tematykę dzieła podtytuł: „O wyższości fazy REM nad jawą”.

Samotność, niepokój, zagubienie – taka jest właśnie „Anima”. Orwell,

Lem, Dick. To płyta w całości elektroniczna, bo wciąż brany za rockmana Yorke bez ściemniania przyznaje, że jego studyjne instrumentarium już dawno składa się wyłącznie z komputerów (jednocześnie dodając, że w towarzystwie gitary i fortepianu coraz częściej czuje ulgę i spokój ducha). W tę samą stronę poszła zresztą twórczość jego macierzystego zespołu. Na wydanej w 2016 r. „A Moon Shaped Pool” syntezatory i automat perkusyjny są tak samo ważne jak gitara czy bas. Na „Animie” wokal, choć wciąż przynoszący rytm, częściej jest tylko wypełniaczem dziur pozostawionych przez dźwięki niż budulcem muzycznej struktury.

Filmowa „Anima” rozpoczyna się komunikatem „Oglądać głośno”. Płytę mogłyby otwierać podobna sugestia.

Odrażające dziwaki

Nie da się mówić o Yorke’u nie zaczynając od Radiohead. Wszyscy członkowie zespołu – Yorke, basista Colin Greenwood, jego brat Jonny, gitarzysta Ed O’Brien i perkusista Phil Selway – poznali się w szkole w angielskim hrabstwie Oxfordshire. W 1985 r. założyli zespół. Początkowo nazywał się On A Friday, bo czas na wspólne granie mieli tylko w piątki. Obecną nazwę przyjęli dopiero po podpisaniu kontraktu z wytwórnią EMI – Radiohead to cytat z piosenki grupy Talking Heads.

Kiedy na listy przebojów piał się utwór „Creep” („Chciałbym być wyjątkowy, ale jestem odrażający, jestem dziwką, co ja tu do cholery robię, wcale tu nie pasuję”) z debiutanckiej płyty „Pablo Honey” (1993), recenzenci dostrzegali w Radiohead brytyjską odpowiedź na Nirvanę i wszystko to, co w podobnym czasie działo się po drugiej stronie Atlantyku. Dziś te porównania wydają się groteskowe. Tym bardziej że piosenkowe „Creep” nie było w żaden sposób reprezentatywne dla twórczości Radiohead. Dla stroniących od prostych rozwiązań Brytyjczyków stało się wręcz zmorą. „Creep” weszło do kanonu współczesnego rocka i jest być może najczęściej coverowaną piosenką letnich festiwali. Radiohead sięga po nie sporadycznie.

Prawdziwy komercyjny i artystyczny sukces przyniósł zespołowi trzeci w karierze album „OK Computer” z 1997 r. Krytycy piali z zachwytu, fani walili na koncerty, a i muzycy też wreszcie wyda-

wali się zadowoleni. Na wciąż mocno rockowym albumie roilo się bowiem od zapowiedzi tego, co ma nadejść. Tym czymś był kolejny krążek, „Kid A” (2000), wyznaczający nowe szlaki, które doprowadziły Radiohead do miejsca, w którym jest dziś. Miejsca zupełnie osobnego, stroniącego od etykiet, w którym muzyk bywa tak samo zaskoczony jak słuchacz.

Yorke wyznał kiedyś, że jego komponowanie jest jak budowanie z klocków Lego. Ale nie konkretnego zestawu krok po kroku za instrukcją. Chodzi o wybieranie losowych, pozornie niepasujących do siebie elementów i układanie ich w coś, co ma ręce i nogi. Każde dziecko i rodzic wie, że właśnie po to wymyślono te klocki. Do zabawy improwizowanej, ograniczonej tylko wyobraźnią, bez oglądania się na kolory i realizm.

Poznańska plama

Ta odrębność wprowadziła Radiohead i poszczególnych jego członków na muzyczny Olimp. Mogli od tej pory robić, co chcą, a ich próby za każdym razem spotykały się z należytą uwagą krytyki i fanów. Kiedy więc Jonny Greenwood nagrywał z Krzysztofem Pendereckim, pozostali muzycy zaczęli dawać upust swoim snom. W 2006 r. Yorke wypuścił solowy debiut „The Eraser”, a potem, aby wykonywać go na żywo, powołał do życia supergrupę Atoms for Peace. W jej skład weszli m.in. basista Red Hot Chili Peppers i perkusista R.E.M. W 2013 r. Atoms for Peace przyjechali do Poznania (Radiohead występowało w Polsce trzykrotnie, m.in. w 2017 r. na Open’erze), ale koncert został w ostatniej chwili odwołany. Yorke odmówił występu z uwagi na niedbałość organizatorów w kwestii bezpieczeństwa.

Swoboda twórcza przełożyła się też na pionierski charakter tego, co robili już po nagraniu nowej muzyki. Jesienią 2007 r. do internetu trafił siódmy studyjny album Radiohead zatytułowany „In Rainbows”. Każdy mógł za niego zapłacić tyle, ile uważał za stosowne – nawet jednego pensa lub nic. Ruch, który 12 lat temu był dla branży muzycznej szokiem, to dziś standard. Nowe płyty większości wykonawców trafiają najpierw na platformy streamingowe (z których korzysta się za darmo lub płacąc abonament), a dopiero potem stają się materialnym bytem: CD lub winylem.

Podobnie nowatorskich zabiegów promocyjnych Radiohead ma na koncie więcej. Wydaniu „The King of Limbs” w 2011 r. towarzyszyła publikacja jednorazowej gazety. Z kolei kiedy kilka miesięcy temu ktoś ukradł kolekcję minidisków z prywatnego archiwum Yorke’a – było na nich 18 godzin nagrań z sesji do „OK Computer” – zamiast płacić 150 tys. funtów okupu muzycy opublikowali cały materiał w internecie. Kosztował funtów kilkanaście, a zysk trafił na cele charytatywne.

Za tą momentami zawiadają pewności siebie kryją się oczywiście rozterki, dylematy, blokady i twórcze kryzysy. Oraz brak zrozumienia – po publikacji „Kid A” pisarz Nick Hornby porównywał go w „New Yorkerze” do „Metal Machine Music” Lou Reeda, sugerując, że w sprawiedliwym świecie za takie albumy płaciłoby się mandaty. Trudno się dziś nie śmiać z uznanego przecież autora. To raczej najstarsze płyty Radiohead brzmią teraz nierealnie, jak muzyka z innej planety lub chociaż innych czasów. Czasów – to perspektywa dziecka lat 80. i 90. – za którymi się tęskni w pełnej świadomości i akceptacji, że już nie wróć. Po czasie każdy jest mądry, sztuką jest być mądrym przed czasem.

Zęby Borisa Johnsona

„Za sprawą naszych urządzeń, telefonów i internetu coraz częściej żyjemy jak we śnie. Wysyłamy w świat nasze awatary i wydaje nam się, że nie musimy przejmować się konsekwencjami ich działań. Słuchamy kłamstw ulatujących pomiędzy zębów Borisa Johnsona, śmiejemy się z jego fryzury, bo to wszystko jest jak sen” – mówił Yorke po publikacji „Animy” w wywiadzie udzielonym dziennikarzowi i DJ-owi Zane’owi Lowe’owi. To oczywiście dość płytka analiza płynąca z ust domorosłego socjologa, ale artystom pozwala się zwykle na więcej niż innym. Poza tym w tym kontekście jest zrozumiałe, że ostatni akord „Animy” – utwór „Runwayaway” – brzmi jak dzwonek budzika. Głośny, zdecydowany i cholernie uparty, by postawić na nogi. Na dodatek ostemplowany tekstem: „This is when you know who your real friends are”, teraz już wiesz, komu możesz ufać.

„Yorke to bard na niepewne czasy, w których żyjemy” – zawyrokowała recenzentka „Guardiana”, bo wsparta taką →

→ puentą płyta stała się marzeniem każdego lewicującego dziennikarza. Tym bardziej że za warstwą liryczną kryje się masa publicystyki. Utyskiwania na populizmy, technologię, atomizację jednostki i wszystkie te koszmary antropocenu, symptomy jutra, którymi karmi się dzisiejsza popkultura.

W takim kontekście łatwo drwić z Yorke'a jak z jeszcze jednego współczesnego myśliciela, na którego opinie z zapartym tchem czekają internetowe portale, by potem przeliczyć je na kliki. Tylko że po drodze zgubi się muzyka, którego odważne wybory artystyczne dokonują się jak najbardziej na jawie. I rodzą poważne konsekwencje dla całej gałęzi sztuki. Te wybory pozwalają mu prawie 30 lat po debiucie tworzyć albumy intrygujące i wymuszające na kilkadziesiąt minut pełnię uwagi. Może to kolejne wyjście przed szereg? Nagranie płyty, której należy słuchać od rytmicznego „Traffic”, przez przejmujące „Dawn Chorus”, aż po to nieznośne „Runwayaway”, bo jest zamkniętą całością, a nie tylko zbiorem utworów do zonglowania na playlistach?

W recenzji sprzed lat Hornby pisał o Radiohead jako zespole, którego „trzeba słuchać w domu, noc za nocą, oddawać się paranoicznej atmosferze przełomu wieków, równocześnie próbując rozszyfrować enigmatyczne fragmenty tekstów i takie same tytuły” (zaraz potem dodawał, że w takim razie to zespół dla szesnastolatków, bo nikt poważny nie ma na to czasu). Być może miał jednak trochę racji? A może i tę recenzję, tak samo jak i tamtą, za 20 lat ktoś po prostu wyśmieje?

Ale ze snami tak już jest – dają do myślenia, ale nie wiadomo, co z nimi począć.

© ADAM ROBIŃSKI

W piwnicznej izbie

ANITA PIOTROWSKA

Koreański reżyser nie oszczędza nikogo. Bogaci są nieufni i naiwni, a przy tym karykaturalni w obyczajowej westernizacji. Przedstawiciele wyklętego ludu ziemi okazują się po prostu mściwymi „przegrywami”.

WYOBRAŹMY SOBIE WIELKĄ SPIŻARNIĘ, wypełnioną od podłogi aż po sufit półkami z jedzeniem. Na dole mamy produkty tanie, na samej górze, już poza zasięgiem ręki, towary luksusowe. I nagle do tego magazynu wpada złośliwy duszek. Zaczyna przeklejać etykiety, przestawiać słoiki i puszki, mieszając bardzo drogie z bardzo tanimi, gdzieś dodaje dziegciu bądź owocowych alergenów, a na koniec wrzuca do środka bombę – z opóźnionym zapłonem. To właśnie robi koreański reżyser Bong Joon-ho w swoim najnowszym filmie, brawurowym i mistrzowskim jednocześnie, nagrodzonym Złotą Palmą w Cannes. I nie poprzestaje na wywrotowym żarcie.

W „Parasite” (po polsku: „Pasożyt”) spiżarnia jest kluczowym miejscem akcji. Są w niej co prawda wyłącznicie dobra z wysokiej półki, jako że zamieszkuje ją dom rodzina Parków należący do finansowej elity, lecz z czasem miejsce to nabiera funkcji metaforycznej, jego fizyczna przestrzeń rozszerza się zaś w najbardziej nieprzewidywalnych kierunkach. Staje się kryjówką, pułapką, spichlerzem różnej maści tajemnic.

Zważywszy na kłopotliwe sąsiedztwo z północy, spiżarnia ma zrazu pełnić funkcję schronu pozwalającego bogatym Koreańczykom przetrwać atak nuklearny. Bombę przemycą jednak do domu Parków zupełnie inni Kimowie, ci bardziej swojszy – takie nazwisko nosi rodzina nędzarzy, która podstępnie wdiera się w ich życie. Przebrana za służących, kierowców, korepetytorów, bo tylko w takiej roli biedacy mają szansę przekroczyć progi designerskiej willi, przynosi ze sobą nieusuwalny odór suterenu. Żyją tam całą czwórka – oglądają przez okno nogi przechodniów i sikających pijaków, składają od niechcenia kartony na

pizzę, polują na pluskwy i niezabezpieczone wi-fi.

Ów „zapach zwiędłej rzodkwi” to nie tylko woń zatłoczonego metra, splajtowanych interesów, straconych szans na edukację dzieci, to również zapach ponizienia i pogardy. Sympatyczni chlebobdawcy narzucają wyraźny dystans między relacją służbową a ryzykownym spoufaleniem, pomiędzy tym, co ludzkie, a tym, co kastowe. Podobnie scenariusz Bonga, który w organizacji ekranowej przestrzeni nakreśla ostre granice między górą i symbolicznym dołem, przybierającym postać różnie zagospodarowanej piwnicznej izby.

W piwnicy można wegetować, można też gromadzić zapasy, rodzina Kimów stanowi więc dla Parków coś w rodzaju odwróconego odbicia. Pytanie, kogo należałoby nazwać tytułowym pasożytem, zależy od tego, jakie miejsce na społeczno-ekonomicznej drabinie zajmuje ten, kto pyta. A widzowi wcale nie będzie łatwo stanąć po którejś ze stron.

Koreańskiego reżysera nie zadowala ani zjadliwa społeczna satyra, ani komedia omyłek, w której pewna rodzina udaje, że nie jest rodziną, by zająć miejsce innej rodziny. U Bonga dominuje wykładnia raczej szyderczo darwinowska niż marksistowska. Biedacy, by zapewnić sobie społeczny awans, czyli załatwić posady w bogatym domu, muszą nie tylko oszukiwać swoich pracodawców, udając kogoś innego, ale wcześniej wygrzyźć jakichś innych ubogich Kimów. Zamiast klasowej solidarności, zwycięża kapitał biologiczny i bezlitosna rywalizacja.

W przeciwieństwie do Hirokazu Koreedy, który niedawno w japońskich „Złodziejaskach” tak przekonująco romanizował dzisiejszych pariasów, Bong pozostaje okrutny w swej diagnozie stosunków społecznych. A na dodatek podmi-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek

o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM

| Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój

| 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane

– 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

| Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Parasite”

nowuje opowieść potężnym ładunkiem przemocy, który musi w końcu eksplodować.

Koreańczyk od lat uprawia kino socjalnego niepokoju ubrane w międzygatunkowy kostium. „Okja” (2017) była współczesną baśnią ekologiczną, w której tytułowa gigantyczna świnia stała się przedmiotem rozgrywki z brutalnym korporacyjnym systemem. W filmie *science fiction* „Snowpiercer. Arka przyszłości” (2013) garstka ocalałych z globalnego zlodowacenia odtwarzała w pędzącym pociągu-schronie feudalną hierarchię. Wraz z „Parasite” Bong powraca na grunt ściśle koreański, jakkolwiek ten gatunkowy koktajl Mołotowa posiada uniwersalną siłę rażenia. Bezrobocie, prekaryzacja rynku pracy, coraz większe rozwarstwienie społeczne to dziś problem całego świata, a widmo wielkiego kryzysu czy społecznej rewolty powinno spędzać sen z oczu nie tylko bogatym Azjatom. I w kinie rzeczywiście spędza, o czym świadczą filmy od rosyjskiej „Eleny” (2011) i „Niemiłości” (2017) Andrieja Zwiagincewa po amerykańskie „Uciekaj!” (2017) i „To my” (2019) Jordana Peele’a.

Bong traktuje rodaków szczególnie obsesowo. Autorem zdjęć do „Parasite” jest zresztą Hong Kyung-pyo, znany ze znakomitych „Płomieni” (2018) Lee Chang-donga, gdzie przepaść dzieląca młodych Koreańczyków z różnych klas społecznych stawała się przyczynkiem do tajemniczej i wielowarstwowej opowieści. W „Parasite” dostaje się wszystkim po równo. Bogaci są jednocześnie nie-

ufni i naiwni, a przy tym karykaturalni w swej obyczajowej westernizacji, co słychać także na ścieżce dźwiękowej, a przedstawiciele wykłętego ludu ziemi okazują się po prostu chciwymi i mściwymi „przegrywami”. Odtrutką na konsumpcyjne rozpasanie jest już tylko antysystemowe bezhołowie i... jeszcze większe konsumpcyjne rozpasanie.

„Parasite” każe się oglądać bez planu, na każdym kroku znając jednak, że czuwa nad tym supersprawny i doświadczony nawigator. Geniusz Bonga polega na zuchwałym łączeniu rozmaitych tonów: od lotrzykowskiego, a chwilami wręcz slapstickowego humoru, po napięcie zrytmizowane niczym świetlny alfabet Morse’a, spełniający zresztą w filmie istotną dramatycznie rolę. A kiedy reakcją widza staje się nerwowy śmiech, reżyser wykonuje nagle kolejną wolte.

Wyzwalając spod ziemi jedne upiory, inne zatrzaskuje na głucho i rzuca na pastwę naszej wyobraźni. Lecząc z tych zwariowanych fantazji i realnych lęków serwuje przede wszystkim pyszną zabawę, która wali po głowie, jakby Bong osobiście sięgnął po tzw. kamień pejzażowy. Widzimy go już na plakacie do „Parasite”. Trzyma go krzepko jeden z rozwścieczonych bohaterów, aspirujący do bycia kimś innym w tym dziwnie skamieniałym pejzażu. ©

PARASITE (*Gisaengchung*) – reż. Bong Joon-ho. Prod. Korea Południowa 2019. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 20 września.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [14 – 20 IX]

1. Pionier



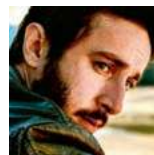
Dokumentalny, reż. Enric Bach, Hiszpania 2019, HBO GO
Na dziesięć lat przed Berlusconi pokazał, jak niebezpieczne mogą być związki wielkiego biznesu, polityki i piłki nożnej. Bohaterem czteroczęściowego serialu jest Jesús Gil – wieloletni prezes Atlético Madryt, burmistrz Marbelli, malwersant, demagog, medialne zwierzę. Słowem: bohater naszych czasów.

2. Dusza i ciało



Dramat, reż. Ildikó Enyedi, Węgry 2017, Ale kino+, 15 IX, 22.40
Romantyczna miłość w budapeszteńskiej rzeźni? To zaledwie punkt wyjścia dla przepięknej humorem i magią historii o głębokim pokrewieństwie ludzi i zwierząt, o samotności w wielkim mieście, seksie i snach. Film nagrodzony Złotym Niedźwiedziem w Berlinie.

3. Dzika grusza



Dramat, reż. Nuri Bilge Ceylan, Turcja / Francja 2018, Cineman VOD
Turecki mistrz proponuje kolejny, długi i rozgadany traktat o rodzimej prowincji, która staje się czymś więcej niż Turcją w kropki wody. Początkujący pisarz przebywa długą drogę, zanim zrozumie, że życie wcale nie jest gdzie indziej, a poczucie moralnej wyższości bywa uczuciem zgubnym i jałowym.

4. Okna, okna



Komedia, reż. Wojciech Solarz, Polska 2018, Canal+, 16 IX, 23.20, Canal+ 1, 17 IX, 0.20, Canal+ Film, 17 IX, 18.50

Podczas tropienia głuszców bohater staje się świadkiem cudu: co noc jawia się przed nim tajemniczy dom, rozbłyśkający kolejnymi oknami. Reżyserski debiut popularnego aktora to rzadki przykład poetyckiego surrealizmu we współczesnym kinie polskim, choć lepiej wymyślony niż wykonany.

Lektor:

Próba pana Deutscha



■ *Maciej Hen,*
**DEUTSCH DLA ŚREDNIO
ZAAWANSOWANYCH**
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2019, ss. 542.

KTO OPOWIADA? MAREK Deutsch, sympatyczny nieudacznik, absolwent Akademii Teologii Katolickiej i niespełniony artysta, cierpiący na chroniczny brak pieniędzy. Ma trzy byłe żony i dwie córki, z których druga, maturzystka, zaszła właśnie w ciążę. Deutsch mieszka teraz w nędznej kawalerce z dwoma pięknymi kotami (to jedyny plus!), pracuje jako ochroniarz i dorabia jako plastyk-konserwator,

co zawdzięcza zamożnemu koledze z czasów jeszcze przedszkolnych. Monotonną egzystencję przerywa telefon z kancelarii adwokackiej Piękoś i Kuczerba. No i się zaczyna... Kiedy w 2015 r. Maciej Hen wydał „Solfatara”, olbrzymią powieść dziejącą się w XVII-wiecznym Neapolu, zapanowała konsternacja. Co to za wycieczki w egzotyczną dla nas przeszłość? – pytano, choć uniwersalizm tamtej

historii był oczywisty, a Nagroda Gombrowicza zasłużona. Akcja nowej książki toczy się tu i teraz, w Polsce, zachodniej Ukrainie i Rumunii. Adwokaci informują Deutscha, że ma szansę na spadek po odległym przodku: kawałek ziemi, tyle że... na rumuńskiej Bukowinie. Są dwa problemy: drugi spadkobierca, skądinąd dawny przyjaciel narratora, przepadły gdzieś w Meksyku, i konieczność podróży celem odnalezienia dokumentów. Deutsch jest zdumiony – przecież pochodzi z rodziny żydowskiej, a jego przyjaciel to herbowy szlachcic, skąd więc wspólni przodkowie? I skąd Bukowina? Znęcony jednak pożyczką i możliwością skorzystania z samochodu (swoją dawną stracił), decyduje się wyruszyć na poszukiwanie. Nie chce psuć czytelnikowi przyjemności z rozwikływania intrygi ani spalić zakoń-

czenia. „Deutsch” to zresztą książka wielopiętrowa. Podróż bohatera – opisywana z reporterską szczegółowością, zaludniona żywymi postaciami – jest zarazem wyprawą w przeszłość rodzinną i społeczną, a także rekapitulacją własnej biografii, okółomarcowego antysemityzmu, dawnych przyjaźni i miłości. Budując tę narrację, Maciej Hen prowadzi autoironiczną grę (Marek Deutsch to jego rówieśnik, data urodzenia Deutscha-seniora też jest znacząca) i bawi się aluzjami. Kto był pierwowzorem profesora Władysława Lubicza-Powoyskiego, kto – skandalisty Wrotyliana, a kto – pisarza Ignacego Gleba, któremu Powoyski mentorował? Całość zaś, nad którą patronat mógłby przyjąć Jan Potocki, można czytać jak faustowską przypowieść o kusicielskiej próbie, z której Marek Deutsch wychodzi zwycięsko. ©@

REKLAMA

Koncert z okazji **40-LECIA**
pracy artystycznej Zbigniewa Preisnera

PREISNER'S MUSIC

Lisa Gerrard • Teresa Salgueiro
Edyta Krzemień

Sinfonia Varsovia • Cracow Singers
Wrocławski Teatr Pantomimy

Goście specjálni: Jerzy Trela • Anja Rubik

5 PAŹDZIERNIKA 2019

TAURON ARENA KRAKÓW

Organizator:

Prestige
MJJM

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

PAWEŁ

Bravo:

Polityczność sączenia



110 ZŁOTYCH. TYLE KOSZTUJE PACZKA pięciuset słomek zgodnych ze źródłosłowem, czyli ze słomy. „Kiedy wyrzucisz ją za siebie, ptak mieszkający w pobliżu użyje jej do wypłcenia gniazda. Nie zanieczyścisz nią przyrody, bo to ona jest

przyrodą. Stoją za nią ziemia, wiatr, powietrze i woda” – zachwala dostawca. Słusznie usiłuje obudzić w nas radosne skojarzenia ze zniwną dziewczyną z włosiem w nieładzie, bowiem ta opcja nosi wszelkie znamiona luksusu; normalne, czyli plastikowe, słomki są dokładnie dziesięć razy tańsze.

Dwadzieścia dwa grosze za sztukę – można by skwitować, że to bzdet, ale, wierzcie mi, nie widziałem jeszcze knajpy, która by dobrowolnie odpuściła jakiś bzdet w bilansie. Marże w branży są niskie i trzeba ciąć, ciąć na wszystkim, chyba że się prowadzi pralnię pieniędzy w imieniu wujka z Kalabrii.

Dopóki nie wejdzie w życie unijny zakaz plastikowych drobiazgów, jedynym sposobem na przekonanie restauratorów do tych dwudziestu dwóch groszy jest wychowanie klientów, żeby się słomy domagała. W tej swoistej pedagogice wstydu słomki przebiły się na czoło długiej listy przedmiotów budujących instrumentarium zachodniej wygody za bezcen, której realne konsekwencje dla planety zaczynają do nas docierać. Mieszadka do kawy? Patyczki do uszu? Patyki do balonów? Nie, nikt z nich nie robi ikony plastikowego behemota. Nawet jednorazowe woreczki do lodu nie zaprzatają nikomu głowy, chociaż ich brak za dwa lata da się nam boleśnie we znaki! Trzeba będzie powrócić do wytrząsania kostek z niewygodnych gumowych foremek albo, jeszcze gorzej, z blaszanych...

Nie wiem, z czego się to bierze, ale skromna słomka już pokazuje cały swój potencjał mitotwórczy. Widać go choćby po tym, jak ochoczo został podjęty przez przeciwników wszystkiego, co się z politycznym kontekstem ekologii kojarzy. Autor jednego z głównych prorządowych mediów wzywał niedawno: „Prawica powinna mocno podjąć zadanie ochrony przyrody. Bez lewicowej ideologii, bez szaleństwa, za to z chrześcijańską miłością do przyrody ojczystej i ludzi”. Artykułowi patronuje zdjęcie figurki świętego Franciszka – nie przypuszczam, by Biedaczyna, przemawiając do ptaków, dbał o to, czy mają certyfikat ojczystości, czy też imigrowały z Afryki.

Na biegunie zła są „zawodowi ekoaktywiści” pisani koniecznie w cudzysłowie. Czym się zajmują? Zgadliście: walką z plastikowymi słomkami. Oto narodziny nowego emblematu oderwanych od ludu elit na miarę frappuccino na sojowym mleku.

Wie o tym doskonale prawdziwy mistrz zamiany kompleksów wyborcy na polityczne złoto – Donald Trump. Jego sztab, jako gadżet budujący więź z kandydatem, wypuścił plastikowe słomki z laserowo wygrawerowanym nazwiskiem. Po niedawnej debacie kandydatów na kandydata z ramienia Partii Demokratycznej skupionej wokół tzw. Zielonego New Dealu aparat propagandowy Trumpa dokonał natychmiast tzw. framingu, czyli ustawienia przeciwnika w wygodnych do przygwożdżenia ramach. I co mianowicie ta okropna lewica chce uczynić prostemu człowiekowi? Zakazać cheeseburgerów (bo hodowla bydła na wołowinę ma kolosalny ślad węglowy) oraz słomek! Uczestnicy debaty podnosili kwestie sięgające sedna problemu z zachodnim sposobem życia oliwionym przez lobby naftowe i energetyczne. Ale spokojnie, wszystko się da sprowadzić do groteskowej obrony słomki.

Podejrzewam, i niech nasz naczelny mitolog Marcin Napiórkowski mnie poprawi, że słomka okazała się tak płodna propagandowo, bo to statusowa zdobycz: najlepiej ucieleśnia sen o przejściu zwyczajów klasy próżniaczek. Nie możemy próżnować tak jak oni, ale przynajmniej sączyć jak paniska. Słomka to atrybut człowieka, który coś pije, choć wcale nie musi. Zmęczeni pracą i upałem, wciągamy wodę – z gwinta, z kubka, z dłoni – byle szybciej, byle uzupełnić elektrolity. Sterani troskami, wprowadzamy do żył alkohol – kogo życie przygniotło, ten łyka haustem. Przez słomkę sączyć zaś ciecz, która nie jest życiowo konieczna, powolutku, a więc w sposób właściwy tym, którzy donikąd się spieszyć nie muszą. Dla czystej przyjemności, bezinteresownie.

Skoro tak, to czas rozpropagować oczywistą rzecz: iż sączyć beztrząsco, dla przyjemności można i bez słomki: pociągając drobne łyżeczki wprost z kieliszka czy szklanki. Dla dobra planety piję zatem swoje pierwsze dziś *campari spritz* z ulubionej musztardówki, a wy patrzcie i bierzcie ze mnie przykład. Dla dobra planety.

© P

Jeśli jednak czytacie moją rubryczkę w pracy, to nie namawiam was do łamania prawa, napijcie się herbaty – do niej na pewno słomka nie pasuje. Za to warto przy niej przekąsić aromatyczne ciasto cytrynowe, można je wygodnie w domu pokroić i przenieść kromeczkę zawiniętą w serwetkę. Miesza my 200 g **białej mąki** z półtorej łyżeczki **proszku do pieczenia**, łyżeczką mielonego **kardamonu** i odrobiną tartego **imbiru**. Do osobnej miski sypiemy 200 g **cukru**, dodajemy **skórkę** otartą z 2 cytryn, mieszamy palcami, aż skórka z cukrem stworzy wilgotny piaseczek. Dodajemy po jednym **4 jajka**, mieszając dokładnie, dalej **4 łyżki soku z cytryny** i pół szklanki **śmietanki**, cały czas mieszając, po czym na końcu suche składniki. Wykładamy do foremki keksowej lub podobnej (warstwa ciasta powinna mieć



3,5–4 cm grubości) wyłożonej papierem do pieczenia. Pieczemy w 180 stopniach ok. godziny, ciasto powinno być w środku suche, jeśli pod koniec zbyt się rumieni z wierzchu, okrywamy folią. Ponieważ nie jest zbyt słodka, lubię je pokryć odrobiną gęstej marmolady zrobionej w garnuszku z łyżką wody – ale wtedy się lepi do serwetki i trudno jest je zabrać do biura.

Matkami się rozgrywa

Czy literatura to kraina matek? Jak o nich pisać? Gdzie szukać języka dla uchwycenia tej najintymniejszej relacji w życiu każdego człowieka? Na te pytania próbowali odpowiedzieć tegoroczni goście gdyńskiego festiwalu Miasto Słowa.

JUSTYNA SOBOLEWSKA: „Matczyzny” – jak rozumiecie to pojęcie?

MAŁGORZATA LEBDA: Jeden z moich tomików zatytułowany jest „Matecznik”, ale to wcale nie jest książka o matce, tylko o miejscu mojego pochodzenia, o którym piszę obsesyjnie we wszystkich książkach. Częściej pojawia się tam ojciec, bo jako jedyna z trójki rodzeństwa byłam z nim bardzo blisko. Być może w ogóle dlatego mogłam tę książkę napisać... Przypominam sobie wywiad, którego Waldemar udzielił dla „Dwutygodnika”. Powiedziałeś w nim, że nie masz języka, by mówić o ojcu. Ja natomiast długo nie miałam języka, by mówić o matce. Albo zdawało mi się, że go nie mam. Natomiast ojciec jest w moich książkach postacią bardzo ważną – cały czas próbuję dokonać emocjonalnego rozpoznania naszej relacji i zbadać, jak ona wpłynęła na to, kim teraz jestem.

MONIKA OCHEŃDOWSKA: To prawda? Przecież Twoje „Echo słońca”, Waldemarze, zaczyna się właśnie od rozmowy o ojcu.

WALDEMAR BAWOŁEK: Ja ojca mało doświadczyłem, ojciec zawsze był gdzieś w świecie, pojawiał się tylko na chwilę. Zresztą nawet jak był w domu, to jakby go nie było. Nie uczestniczył w naszym życiu, wycofywał się, miał własne sprawy. Dlatego nie mam języka do jego opisu. Wszystko w naszym domu kręciło się wokół matki, to ona podtrzymywała ogień.

JS: W „La petite mort” jest takie zdanie: „Zaroilo się od mateczek, macior, macoch, mamuś, matczysków. Od czasu do czasu mignie między drzewami pięta jakiegoś ojca”.

WB: Jakby to skomentować... Na wsi ojciec jest mało widoczny. Rodziną zajmują się matki.

JS: Zyto, za to u Ciebie matczyzna jest ciemna, trudna. Nad bohaterkami „Krótkiej wymiany ognia” ciąży niewypowiedziana tajemnica.

ZYTA RUDZKA: Słowo „matczyzna” wydaje mi się zbyt obszerne, więc chyba bym go nie użyła. Mojej ostatniej powieści nie można też czytać w kontekście autobiograficznym. Chciałam opisać kobiety wydobyte ze stereotypowych ról społecznych i rodzinnych. Moje bohaterki są potrzaskane, wyrwane z korzeniami... Ale wracając do tego, co Waldemar powiedział o swoim ojcu – ciekawe, że język do jego opisu nie zrodził się u ciebie właśnie z tej pustki i braku, z wycofania miłości.

WB: Można by go było pewnie z pustki wykreować, ale nie byłby wtedy prawdziwy.

ZR: Dlaczego? Przecież w obliczu pragnienia ojca pojawia się język wyrażający tęsknotę.

WB: Ale u mnie ojciec jest figurą zupełnie poza dyskusją. To postać, o której się nie rozmawia. Stąd brak słów, by go opisać.

ZR: Brak słów jest już jakimś językiem.

MO: W poezji Małgorzaty z kolei tą nieobecną, niedookreśloną figurą jest matka. Pomija się ją w domu. Są rzeczy, o których ojciec i córka z matką nie rozmawiają – mają swoje tajemnice.

ML: To wynika z mojej bardzo bliskiej relacji z ojcem. Myślę, że gdyby siostra albo brat pisali wiersze, otrzymalibyśmy zupełnie inną poezję – oni byli bardzo blisko matki. Kiedyś jeden z czytelników spytał mnie, w jakich barwach widzę swoje dzieciństwo, a ja bez chwili wahania odpowiedziałam, że w ciemnych. Dzień później zadałam to samo pytanie mojej siostrze bliźniaczce, a ona

zaczęła opowiadać o zieleni i błękicie... Wywiązała się z tego rozmowa o tym, jak doświadczałyśmy dzieciństwa, i wyszło, że były to dwie różne perspektywy. Basia była bliżej matki, bliżej jasności, a ja – bliżej ojca. To trudna rola, bo jeśli jest się córeczką tatusia, to dużo się od ciebie wymaga. Mieszkaliśmy na wsi i to ja jeździłam ciągnikiem, a nie mój starszy brat.

JS: Zyto, wróciłabym jeszcze do Twoich bohaterek. Co się między nimi dzieje? Co one sobie, z matki na córkę, przekazują?

ZR: W „Krótkiej wymianie ognia”, gdzie główną bohaterką jest poetka Roma, tym dziedzictwem, matczyzną, jest właściwie tylko słowo: „jo” – jedyne przekazywane z pokolenia na pokolenie. Podczas pisania prowadziło mnie pytanie: skąd biorą się poetki? Gdzie jest źródło tego daru? Najkrócej rzecz ujmując: jest to książka o losie, który został rzucony w studnię. A słowa są siłą, która może ten los wydobyć.

JS: U Ciebie, Zyto, jest tak: „matkami się rozgrywa, matki są alibi do bycia nieszczęśliwymi”.

WB: To jest zupełnie kobieca perspektywa!

ZR: Ale mężczyźni też mają często takie „alibi” – bo ktoś im zmarnował dzieciństwo, na przykład nieobecny ojciec. Z drugiej strony nieobecność ojca może być bardziej inspirująca niż jego obecność, szczególnie w przypadku takiego ojca „pocziwego”, który jest na co dzień, blisko. Waldemarze, kto tobie dał język do pisania? Czy nie właśnie nieobecny ojciec?

WB: Zgoda, pisanie bierze się z jakiegoś braku.

MO: Małgorzato, a jak to wygląda u Ciebie? Z tomiku na tomik używasz

coraz krótszych fraz, język Twojej poezji jest bardzo oszczędny, a jednocześnie przecież pełen krwi i mięcha.

ML: „Granica lasu” to książka, w której dopiero szukałam dla siebie języka. Na studia wyjechałam do Krakowa, ale po czterech latach musiałam wrócić na wieś z powodu choroby mamy. Opiekowałam się nią dwa lata i stąd ta książka. To próba pisania o matce, pisania o chorobie. Czytając te teksty dziś, widzę, jak bardzo metaforycznie do tego podchodziłam, jak bardzo bałam się zbliżyć do konkretności, do szczegółu, także tego fizycznego. To było dla mnie bardzo trudne.

Kolejne książki, „Matecznik” i „Sny uckermärkerów”, to oddalanie od matki i skupienie się na ojcu... Po odejściu mamy w pół roku straciliśmy również ojca. Te książki są o utracie, dlatego język jest w nich stopniowo wyciszany. Potrzebowałam skondensowanego języka, wydawało mi się, że nie jestem w stanie używać dłuższej frazy. W moich ostatnich książkach matka jest już tłem. Ale mimo to czuję, że jej temat nie został jeszcze wyczerpany. Bycie przy niej w chorobie przez tamte dwa lata okazało się na tyle mocnym doświadczeniem, że chyba kiedyś do tego wrócę. I to „mięcho”, ta fizyczność rzeczywiście podczas pisania była niezwykle istotna. Być może wynika to także z faktu przebywania blisko ze zwierzętami, z życia blisko ziemi i lasu.

MO: Las nie jest dla Ciebie miejscem przyjemnej przechadzki, ale raczej przestrzenią wypełnioną krzykiem ginących zwierząt, chrzęstem łamanych gałęzi – w skrócie: umieraniem.

ML: Gdyby ktoś dziesięć lat temu zapytał mnie o możliwość powrotu do rodzinnej wsi, to odpowiedziałabym, że nigdy tego nie zrobię. Ale teraz, po 12 latach od wyprowadzki, na nowo się z nią oswiam, jestem w stanie tam jeździć, spędzać noce. Jeszcze pół roku temu bałam się jej, bałam się lasu, tej atmosfery. Teraz znajduję tam inspirację.

MO: Robienie zdjęć pomaga?

ML: Tak, mój znajomy fotograf Piotr Włodarczyk po lekturze „Granicy lasu” zaproponował, że wybierze się ze mną na wieś i robi zdjęcia. Spacerowaliśmy z książką w rękę – w konkretne miejsca, które opisuję. Powstały z tego niesamowite rzeczy.

JS: Skoro jesteśmy przy wyjazdach i powrotach – Waldemarze, czy można wyjechać z Ciężkowic?

WB: Ostatnio wymieniliśmy się mailami z Dorotą Masłowską – napisała mi, że wyjeżdża na dwa miesiące do Chin, a ja odpisałam, że nie wyobrażam sobie wyjazdu na dwa miesiące z Ciężkowic. No... do Gdyni może, ale góra na trzy dni! Jestem do Ciężkowic przypisany, wiem, że nigdy tej miejscowości nie opuszczę. Wszystko jest tam dla mnie poukładane, harmonijne, nie mam potrzeby niczego zmieniać.

JS: „Krótka wymiana ognia” to raczej historia opuszczenia miejsca.

ZR: Tak, Roma nie chciałaby się z pewnością budować na podstawie jakiegokolwiek geografii. Moją powieść można też czytać jako historię społecznego awansu. Główna bohaterka próbuje ustawiać własne drogowskazy, ciągle sprawdza, na ile jej los powtarza losy matki. Pisząc, sama zastanawiałam się, czy życie w oswojonym środowisku, w miejscu, gdzie żyli nasi rodzice, cokolwiek ułatwia. Dla mnie w pisaniu bardzo ważny jest opór. Nie lubię łatwego przylegania do bohatera. Sama się z moimi bohaterkami mocowałam, musiałam z nimi zbudować porozumienie – momentami było trudno. Ale nie chciałam, żeby to były osoby, z którymi łatwo złapać kontakt. Zależało mi, by bohater był dla czytelnika kimś obcym.

JS: Oprócz matczyzn jest jeszcze siostrzeństwo. O nim pisze Małgosia.

ML: To był temat tabu w naszym domu. Gdy miałyśmy mniej więcej pięć, sześć lat, dowiedziałyśmy się z Basią, zupełnie przypadkiem, że miałyśmy starszą siostrę. Byłyśmy wtedy u cioci, która nagle, wskazując na nas, powiedziała do mamy: „Weronika, zobacz, jak wspaniale – odebrano ci córkę, a dwa lata później dostałaś dwie. Ciekawe, która z nich to Magdalena”. Zaczęłyśmy sobie wtedy wyobrażać, że któraś z nas to właśnie Magdalena. Od tamtego momentu żyłyśmy z poczuciem, że jest z nami ktoś jeszcze.

Podczas gdyńskiego festiwalu
Miasto Słowa rozmawiały
©© MONIKA OCHEŃDOWSKA
i JUSTYNA SOBOLEWSKA

Spotkanie można obejrzeć na profilu
„Tygodnika Powszechnego” na Facebooku
(facebook.com/TygodnikPowszechny)

ANNA REZULAK / KFP / MAT. PRASOWE x3



MAŁGORZATA LEBDA (ur. 1985) jest poetką i fotografką. W 2014 r. obroniła doktorat poświęcony związkowi poezji i obrazu na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie. W tym roku otrzymała Nagrodę Literacką Gdynia za tomik „Sny uckermärkerów”.



ZYTA RUDZKA (ur. 1964) jest pisarką, scenarzystką i psycholożką. Laureatka Gdynińskiej Nagrody Dramaturgicznej za dramat „Zimny bufet” (2011). W tym roku otrzymała Nagrodę Literacką Gdynia za powieść „Krótka wymiana ognia”.



WALDEMAR BAWOLEK (ur. 1962) jest prozaikiem, autorem pięciu powieści i dwóch zbiorów opowiadań. Za książkę „To co obok” (2014) i „Echo słońca” (2017) był nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia. Mieszka w Ciężkowicach.



DNI HALCYJOŃSKIE

Oto miejsca bez epokowego znaczenia.
Po prostu płyniemy, jedziemy, idziemy, kontemplując rdestnice,
ramienice i grązele żółte, zarastające ścieżki, nasłuchując ryb.
Pojezierze Elckie bywa przestrzenią mityczną.

TEKST **MICHAŁ OLSZEWSKI** ZDJĘCIA **WOJTEK MOSKWA**

1 Na przykład kajakiem. Łażną Strugą spod mostku w Borkach do Połomu (trasa długa, żmudna, przez rynnowe Litygajno, bagna, skraj Puszczy Boreckiej, rzeka chwilami jest tak zarośnięta, że wiosłujesz jak przez zupe); z Połomu do Stradun (krócej, ale przy wietrznej pogodzie fale na środku Łaśmiad są tak wysokie, że grożą przewróceniem łódki); rzeką Legą z Sypitek do Stacz (krowy, pola, cisza, rzeka mętna); rzeką Elk ze Stradun do Elku (znakomity fragment przez bagna); również jeziorami: Elckim, Sunowem, Selmentem Wielkim. Lojalnie uprzedzam, że bez gwarancji dobrej pogody i pierwszej klasy czystości. Ponieważ o metafizyce spływów powiedziano w tym miejscu już bardzo dużo, wolę ograniczyć się do onomastyki i detali: znam mało równie intensywnych doznań, co skok z położonego gdzieś między szosą na Giżycko a Kijami pagórka na główkę, pod prąd chłodnej i krystalicznie czystej w tym miejscu rzeki. Wspinaliście się płynąć długo pod wodą razem z płochliwą, a jednocześnie zainteresowaną obcym ciałem drobnicą. Tak wspinaliście, że aż niebezpiecznie.

Czasami samochodem. Jest w miejscowości Cichy aleja trzystuletnich dębów, strzelistych i ciasno posadzonych obok siebie. Drzewa stoją prosto jak kompania honorowa, żegnając kolejne pokolenia okolicznych mieszkańców zdążających w stronę położonego na pagórku cmentarza; jest w położonej na obrzeżach Puszczy Boreckiej wiosce Jelonek fragment łąki schodzącej łagodnie w stronę rzeki i bagien – widzieliśmy go na przedwiośniu i do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego wyglądał tak zachwycająco, ot, sierść zeszłorocznej trawy i nic więcej; boczna droga z Elku do Giżycka, przez Grabnik i Zelki (przy odrobinie szczęścia po sezonie można tam zobaczyć stada sposobiących się do odlotu żurawi); droga przez Połom do Świętajna, droga z Juch do Połomu, droga z Woszczel do Juch. Nowe wille obok starych, nie do uratowania siedliska, cienie, duchy, gdzieś tam szybko postępujący proces renaturyzacji.

Czasami na piechotę. Przez pagórki, moreny, leśną ścieżką do niewielkiej plaży nad jeziorem Garbas, obok pensjonatów,

które nie wytrzymały próby czasu, i zamkniętych szczelnie posiadłości z szeregiem kamer dyskretnie obserwujących otoczenie. Przez duchy i zapomnienie.

Co ciągnie mnie na północ? Zadaje sobie to pytanie za każdym razem, kiedy w pojedynkę albo wspólnie z grupą przyjaciół kręci się po Mazurach Garbatych i Pojezierzu Elckim, poszukując miejsc, o których milczą drukowane na kredzie przewodniki i piewcy Polski prowincjonalnej, tej gościnnej, spod znaku łagodności, pięknych krajobrazów i lokalnych przysmaków. Nie oferuję w odpowiedzi nic poza niewyraźnymi intuicjami. Zdaje się, że szukam mazurskiego mitu, choć z największym trudem przychodzi mi sklejenie jego elementów w spójną całość – po dekadach wichrów i przemian pozostały z niego szczątki.

2 Również pociągiem. Na południowy wschód od Elku zaczyna się pejzaż, którego nijak nie sposób skojarzyć z Mazurami. Najlepiej oglądać go z rozchybotanej kolejki wąskotorowej. Jedzie się przez absolutny nigdzie-kraj, zagubiony i odległy. Jezior nie widać. Historie są niejasne i mało spektakularne: pomiędzy stacyjką Zawady-Tworki a Czarną Wsią przebiega niewidzialna, choć nadal istniejąca linia; płynie tam Lega, rzeka jakby dyskretna i niezależna, przypominająca nitkę, na której południowym krańcu rozcapierza się jak pajak Jezioro Rajgrodzkie. Źródła są raczej skąpe: w „Muzeum ziemi ojczyściej” Siegfrieda Lenza znalazłem fragment relacji przemysłowca, który poszedł jak zwykle do Kałęczyn, nie wiedząc, że miejscowość przestała istnieć, ponieważ rugująca podejrzaną nazewnictwo władza hitlerowska przemieniła ją w międzyczasie na Lenzendorf, w „Historii Mazur” Maxa Toeppena znajduje się wzmianka, że wokół Pisanicy Tatarzy hulali jak zły wichur. Niedaleko wojował waleczny Skomand, który zaciekle bronił się na tych ziemiach przed Krzyżakami. W pejzażu znać delikatne różnicowanie: o ile podróż na północ od Elku oznacza jazdę przez wyraźne ślady zlodowaceń, to okolice Kopiejek czy Wiśniewa są przestrzenią o zupełnie innym charakterze, bardziej przy-



Turowo, okolice Kalinowa, 2015 r.

pominającym prerię. Wysoczyzny morenowe spotykają się tam z płaskimi równinami sandrowymi, co brzmi niezwykle tajemniczo, choć przełożone na język geologicznego konkretnie oznacza lekkie napięcie między pagórkami a nachyloną w kierunku południowym płaszczyzną.

I jeszcze ten zatarty sens trasy pociągowej, rozdwojonej, z dziwnym łukiem linii do Turowa, najpierw prowadzącej na południowy wschód, a potem wyginającej się niespodziewanie w górę, aż za Kalinowo. Kiedyś spinała w całość najbiedniejsze, położone blisko granicy z Rzeczpospolitą, rejony Prus Wschodnich. Dzisiaj nie spina już niczego – pozostała w pejzażu jak kolejowa fanaberia, zaprojektowana bez wyraźnego celu.

3 Czy pamiętasz, jak pojechaliśmy spaliniówką nad zagubione w sosnowym lesie jezioro, przez płaski i nieruchomy pejzaż lata, patrząc na biegnące obok sarny? Woda ma tam czarną barwę, trzeba uważać ze skakaniem z pomostu, bo rośliny chwytają mocnym uściskiem.

Pamiętasz wielkanocną jazdę przez wioski wokół Barłowa? Znaleźliśmy tam zarośnięty cmentarz na wzgórzu,

zaskakująco duży jak na pustkę, pośród której był położony.

A leśny biwak na wysokiej skarpie jeziora, z gatunku tych, kiedy absolutnie wszystko wydaje się jeszcze możliwe? Świeliki migoczące przy drodze, zapach mokrego tropiku niezgrabnych namiotów?

Wrześniowy spływ Łażną Strugą? Wody było tak mało, że kajaki szorowały po dnie, przez całą niedzielę nie spotkał się ani jednego turysty, na rozchybotanym jeziorze kołysały się tylko łódki wędkarzy. Mówiliśmy mało. Las milczał, jak gdyby wszystkie ptaki odleciały, tylko górą szedł szum nadchodzącej zmiany.

Obląkańcze tarlisko uklei u ujścia Łażnej Strugi do Łaśmiad? Woda przy trzcinach wrzała, jakby coś próbowało się wydostać spod powierzchni.

Albo ten letni wyjazd: szliśmy w upale, długo, torami w kierunku Zawad, a one wyraźnie bawiły się z nami, raz pojawiając się, raz ginąc, co powinno było stać się materiałem do przemyśleń nie tylko dla domorosłych filozofów, ale również komendy powiatowej; żurawie śpiewały w nieruchomych polach, kołowały myszolowy. Rozwiązanie drżało w nagrzanym

→

⇒ powietrzu, choć nie łudziłem się, że będę w stanie je uchwycić. Później pojechaliśmy do Turowa, tam gdzie tory bez skargi roztopiają się w ziemi, zaprawdę, nie trzeba jechać do Bakczysaraju, wystarczy stanąć nad jarem, którym niegdyś biegła kolejka, teraz zarośniętym, z żelbetem kruszonym przez drzewa, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, kto czy co ostatecznie będzie górą w starciu najmocniejszych choćby konstrukcji z upartą, bezgłówną siłą. „Skróś okien różanofarbnych powoju rośliny”, bujna zieleń zjada architekturę, „i pisze Balsazara głoskami »RUINA«”, i kruszą się balustrady, rdzewieją poręcze. W końcu ironiczny, nie do końca poważny finał: w Grądzkich szukaliśmy wiaty wpisanej do rejestru zabytków, rzeczywiście, stała tam jeszcze, wykonana z blachy falistej, przechylona odrobinę i zardzewiała, pamiętająca niezliczone libacje i miłosne uściski, podobna do jednej z tych bud, które naprędce stawiali w polach plantatorzy truskawek; starsza kobieta w pobliżu owego arcydzieła architektury kolejowej pilnująca krowy spoglądała na nas jak na wariatów, kiedy tak patrzyliśmy, poważni, profesjonalni, oceniając wartość konstrukcji dla kultury rodzimej.

Mógłbym wymieniać te przygody godzinami, choć podobno jest to towarzyskie *faux pas* porównywalne chyba tylko z relacjonowaniem własnych snów. Nie posiadam jednak innych dowodów na to, że Pojezierze Elckie bywa przestrzenią mityczną.

Oto miejsca bez epokowego znaczenia, miejsca, o których skąpo opowiadają przewodniki i annały historyczne. Po prostu płyniemy, jedziemy, idziemy, bez wyraźnego celu i zaznaczonych na mapie atrakcji, kontemplując rdestnice, ramienice, jaskry, tataraki i grązele żółte, żeremia, zarastające ścieżki, nasłuchując ryb, z głośnym płaskiem spadających na wodę.

4 Atmosferę mitu odnalazłem niedawno w fotografiach Wojciecha Moskwy. Fotografiach bezcennych, nie znam bowiem tak wyciszonej, syntetycznej i świadomej rejestracji ducha terenów położonych na południowy wschód od Elku. Nie potrafię zgadnąć, czy Moskwa fotografuje jawę czy sen, czy zasadził się na realny świat, czy też trafił w miejsca, które nie istnieją do końca. Mgła, bagno, świeże ślady bobra; ruiny bunkrów; fragment szyny ledwo wystający spod gęstej trawy; delikatny desień suchych liści, przeciętych zbędnym już kawałkiem metalu, przejście pod nasypem, dla kogo, w jakim celu wybudowane, nie wiadomo, skoro nie prowadzi doń żadna droga; inne przejście, używane wyłącznie przez zwierzynę płową; znaki, które nie służą niczemu; cmentarz w zimowym polu; bezlistna jabłoń obwieszona owocami, nagrobki bez wyraźnej historii; powolny i nieustępliwy marsz natury zabierającej to, co niegdyś z niej wyrwano; zimowa droga w skośnym świetle. Niby wszystko jest tu namacalne i prawdziwe, a jednocześnie trudno oprzeć się wrażeniu, że razem z autorem kroczymy przez mazurski sen, w niewiadomym kierunku, zagubieni i odlegli. Część tych fotografii stoi poza czasem – mogła być wykonana wczoraj, czterdzieści lub sto lat temu. Rzecz bowiem dzieje się w pejzażu, w którym ślady człowieka są coraz słabiej widoczne. Pustka, samotność, zanikanie – wszystko – co było i jest istotą mazurskiego pejzażu, ze znaczącym wszakże wyjątkiem: nie ma w tej fotografii jezior. Detale, które na co dzień omijamy



Upadłe, bagna w okolicach Elku, 2014 r.

w pośpiechu, wydobyte przez fotografa, zaczynają lśnić przydymionym blaskiem.

Cóż można tu znaleźć? Z pewnością mazurskie zen: pustkę, a w niej pochowane skarby, dostępne nielicznym. Zimą zawiane drogi, dwa drzewa otwierające się na horyzoncie niczym brama. Bagna, odbicia w wodzie, ślady na sypkim śniegu, nagrobek z dawno zapomnianym nazwiskiem, zwalony krzyż żeliwny. Do tego dramatyzm krajobrazu wypełnionego symbolicznymi znakami: pień, który zrósł się z drutem kolczastym, rząd bezlistnych drzew, grubymi konarami rozszarpujących niebo, gliniana ściana domu, zdeformowana od deszczu i bardziej podobna bryle błota.

Fotograficy omijają zazwyczaj te przestrzenie, pewnie zmyleni ich jednostajnością. Jako się rzekło, wokół wąskiego toru widać pas łagodnie pofalowanych równin na północy przechodzących w pagórki, jeziora kryją się w dolinach, pejzaż oglądany z okien pociągu miewa rozmach niemal ukraiński, a przez to usypiający. Spektakularnych widoków brak. Tajemnice – podpowiada Moskwa – czekają za ścianą lasu, linią drogi, w bocznej ścieżce, w miejscu, gdzie torowisko kończy się, przysypane grubą warstwą ziemi.

To oczywiście wygodna złuda: mniej więcej orientuję się, jak straszne ludzkie historie pulsują pod podszewką łagodnych pejzaży. Z jakichś jednak powodów na Pojezierzu Elckim i Mazurach Garbatych wyraźnie brzmi ta fraza z „Henryka VI”:

*A skoro w wojnie tej jestem, czekajcie
Dni halcyjońskich i ciepłej jesieni*

(przeł. Maciej Słomczyński)

5 Tak, na północy ciągle jeszcze zdarzają się chwile, kiedy wśród wojennego zgłębku gwałtownej modernizacji nastają „dni halcyjońskie” (dobrego tłumaczenia polszczyzna nie oferuje), spokojne, rozległe i wyciszone. O takie dni i takie miejsca coraz trudniej – żeby do nich dotrzeć, nie wystarczy już zjechać z głównych dróg. Żyje się lepiej,



Mruk, okolice Olecka, 2013 r.



Mrozy Wielkie, okolice Elku, 2016 r.

żyje się weselej, co widać również w pejzażu, który z uspie-
nia wszedł w stan nerwowego rozedrgania. Era remontów,
era budów, wzrostu, konieczność nieustannego formułowa-
nia komercyjnej oferty zmieniły nasz świat nie do poznania,
a rozmyte granice pomiędzy tym, co na sprzedaż, a tym, co
nienaruszalne, sprawiają, że w poszukiwaniu miejsc, które
istnieją bez pretensji i same dla siebie, miejsc, w których naj-
lepszą rolę jest status chwilowego gościa, trzeba naprawdę
zostawić za sobą daleko w tyle szosę główną, wsiadając w ka-
jak, rozklekotaną kolejkę, skręcając w polną drogę, na któ-
rej ryzyko utraty zawieszenia jest więcej niż znaczne. W na-
grode za wytrwałość skarby: np. wrażenie zanikania, kiedy
wiosło ledwo muska wodę, a kajak bezgłośnie sunie dnem
głębokiej kotliny gdzieś między Połomem a Sajzami. Jeste-
śmy nieważni, prawie nas tu nie ma. Należy po prostu pły-
nać jak najciszej, z rzadka zatrzymując się przy szczególnie
zachęcających do kąpieli głębinkach. Nikt nie zadaje pytań
i nie wymaga jasnych deklaracji. Istnieje tylko milczący ruch
w dół rzeki, w upalne dni lipca brzęk much i hałasy ptactwa,
na początku września pogłębiające się milczenie przyrody.

6 Pod koniec sierpnia popłynęliśmy rzeką Elk na po-
łudnie, do Lipińskich. Znać na tej trasie głębokie lek-
ceważenie dla potrzeb kajakarzy. Nikt nie sprzedaje
świeżo wypieczonych drożdżówek ani nalewek własnej ro-
boty na pomostach. Brzegi wysokie, zarośnięte trzciną, nie
ma jak przycumować. Pomostów brak. Stare sieci ciągną się
przez wodę, przenoska w Nowej Wsi kosztuje trochę zdro-
wia, podobnie jak zrozumienie, dlaczego puszkę po piwie le-
piej wyrzucić do wody niż kosza na śmieci. Miejsc do kąpieli,
rozpalania ognisk, biwaków nie notuje się. Nikt niczego nie
oferuje. Nie ma quadów i dronów znudzonych letników. Nikt
nie udaje, że jesteś w tym miejscu potrzebny.

W zamian czekają drobne radości: zaafierowanie trzcinia-
ków i trzcinniczek, awantury łysiek, kolejne dowody na
triumfalny pochód czapli białej, która zmierza coraz dalej na
południe. To z lewej, to z prawej jęki żurawi, dalekie i prze-

nikliwe niczym zwiastun spraw ostatecznych. I halcyjon,
który jak szmaragdowa iskra przelatuje w oddali. Niebo
szare, niskie, za chwilę zacznie padać. Na odcinku 30 kilo-
metrów znajduje się podobno jedna wypożyczalnia kaja-
ków, co, rzecz jasna, źle świadczy o lokalnej żyłce do biz-
nesu, ale tym nielicznym, którzy decydują się na spływ, do-
starcza dużo wrażeń.

W końcu jest: za zakrętem wylania się, zarośnięte, ale
w całkiem jeszcze niezłym stanie poniemieckie siedlisko,
ruda dachówka, na oko zdrowa, ściany otynkowane; wci-
śnięte pomiędzy ciemną rzeką a ścianą sosnowego lasu wy-
gląda jak właśnie TO miejsce. Daleko od ekstrawagancji,
z cenną wodą na wyciągnięcie ręki. Miejsce dla nas.

Wieczorem szukamy na mapach. Siedlisko, owszem,
jest, pięknie położone w miejscu, do którego nie ma po co
jechać, ale tknięty instynktem dziennikarza lokalnego wpi-
suję kilka słów do wyszukiwarki. Obwodnica, węzeł, nazwa
pobliskiej miejscowości.

I oto po chwili rozwija się lista artykułów o planowanej
inwestycji drogowej, która ma zmienić wszystko. Podobno
trasą ekspresową przyjadą biznesmeni i przemysłowcy,
dzięki czemu życie w oddalonej od stolicy prowincji stanie
się łatwiejsze, choć jakie idee oraz towary mieliby tu przy-
wieźć i co wywozić – pojęcia nie mam. Bardziej prawdopo-
dobne, że powstanie kolejny kanał tranzytowy, idealny dla
kierowców ciężarówek i turystów z gatunku „musimy tu
kiedyś przyjechać”. W każdym razie kłamka zapadła: geo-
decy ostrzą już paliki. W pobliżu siedliska droga przetnie
rzekę, bezsensowne bagna, siedliska łośi, żurawi i halcyjo-
nów. Będzie tak, jak być powinno, czyli tak, jak gdzie indziej.
Kawałek zapomnianego krajobrazu stanie się wreszcie uty-
litarny, wyraźny i uporządkowany.

Co z nami, co ze mną? Cóż, pozostała jeszcze chwila, za-
nim trzeba będzie wynieść się z Mazur Garbatych w posu-
kiwaniu innych nieważnych miejsc. Zatem na kajak, na wą-
ski tor, na drogi piętego standardu, na północ!

© MICHAŁ OLSZEWSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

O polowaniu



NIHILIZM BYŁ I JEST SZALENIE DOBRYM TEMATEM do rozważań o kombinowaniu w polityce. Zacząć wypada, że nihilizm jest znakomitym pretekstem do łomotu i nigdy nie było inaczej. Jest to niesłychanie pojemna, a między nami mówiąc – bardzo prostacka i wulgarna obelga, która dość dawno odebrała się od terminologii filozoficznej. Zarzutom nihilizmu wobec swych oponentów, realnych bądź wymyślonych, posługiwali się w historii w zasadzie wszyscy znani nam totaliści, czy jak kto woli: psychopaci, odkąd słowo to weszło do języka używanego przez masy. Straszanie nihilistami ma moc magiczną, ma walor niedopowiedzenia i insynuacji, jest arcywygodne, nihilistą bowiem można nazwać dosłownie każdego, komu wypada przyłożyć, bądź, jak to się ładnie mawia: wyeliminować. Gdy szczerze i bez kompleksów weźmiemy pod lupę dzieje używania tego zarzutu – a jest to zarzut zawsze – zobaczymy, że nikt, kto go używał doraźnie, nie stracił, ale zyskał. Co było potem, to inna sprawa. Finiszem tych zabaw, jak zawsze, było biadolenie historyków i umieszczanie tych przypadków w podręcznikach szkolnych, których zresztą nikt nie czyta bez ziewania, zwłaszcza w domu.

Od słowa tego wieje grozą, zakłębieniem i czystym diableństwem. W ogóle rzecz trzeba, że używanie w Polsce słów obco brzmiących jest zawsze dobrym pomysłem z dość blatego powodu. Słowniki wyrazów obcych mają tu bardzo niskie nakłady, nikt ich nie kupuje dla przyjemności, a nawet gdy kupi,

nie czyta – bo po co. Encyklopedii już się od dawna nie drukuje. Można więc śmiało i bez ryzyka, przybrawszy odpowiednio marsową i wodzowską minę, kręcić tu językiem dowolnie, nawet gdy nie mówi się słowa w żadnym obcym narzeczu i ma się wiedzę wziętą wyłącznie z bryków sporządzonych przez propagandzistów. Gdy słuchacze są odpowiednio wyposażeni w zestaw odruchów i przesądów, a takich nigdy i nigdzie nie brakowało, można jechać z koksem. Wywieszanie na sztandarach partyjnych hasła walki z nihilizmem jest jeszcze prostsze niż wypisanie na nich słów pustych, w rodzaju: „prawo i sprawiedliwość”. Tu akurat, w tym konkretnym przypadku, dziś swe oryginalne znaczenie i sens zachował tylko spójnik. Tylko w tej jednej literce jest prawda i konkret, reszta nie pokrywa się z żadną definicją, wystarczy zerknąć do Wikipedii.

Można dziś – to wtężyć – być sobie dowolnie głośno przeciw polowaniom na zwierzęta. Jest to, zdaje się, czynność wstrętna większości, a polowaniami zajmuje się statystycznie garstka barbarzyńców, rozpaczliwie tłumacząc tę czynność a to tradycją, za przeproszeniem, rycerską, a to troską o higienę leśną. Są to lite brednie, w które wierzy, jako się rzekło, niewielu operetkowo przebranych grubasów. Opór i nacisk opinii publicznej w tej sprawie jest spory i zapewne będzie rósł, taka jest prawidłowość tego typu reakcji. Co jednak dziwne – jeśli idzie o moralność czy wrażliwość na skrzywdzenie lub znęcanie się, polowanie na ludzi jest coraz modniejsze i nie budzi w zasadzie żadnego sprzeciwu. Rzec właściwie można, że jest to czyste kłusownictwo, bo przyłożenie tego terminu do wydarzeń zaledwie ostatniego miesiąca nie jest bynajmniej interpretacją, lecz faktem. Oto nikt się specjalnie nie gniewa, gdy władza sobie poluje na ludzi, i zaiste do sztafażu brakuje tu tylko tyrolskiego kapelusika. Łomot nihilizmem jest tego dowodem.

Kto dziś w Polsce gwarantuje ocalenie dwudziestowiecznej sielanki wobec grozy XXI wieku? To już chyba wiadomo. Zgadamy się, że pytanie nie brzmi mądrze, gdy człowiek sobie przypomni to i owo. Ale to nie nasza wina, że świat wokół nas jest koktajlem sentymentów i strachów. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”

W PRENUMERACIE

4 wydania * **wraz z dostawą do domu**

za **69 zł**



* oferta dotyczy 4 kolejnych (począwszy od „Zwierząt zwierząt”) wydań (3,4/2019 i 1,2/2020).

Zamów je na powszech.net/prenumeruj

** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate,
na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez
internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze
na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY



POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

MASZ TO PO MNIE
*W malinowym
chruśniaku,
przed ciekawych
wzrokiem*

**Bolesław
Leśmian**

Żyd, Polak, warszawiak,
poeta, dramaturg,
krytyk literacki

polin.pl



Partnerzy medialni:

Wirtualne

sens

Radio

ams

VIVA!

WYBÓRZA

WYBÓRZA

WYBÓRZA

WYBÓRZA

Partner Muzeum:

ONICO